

MAGDALENA
WOLIŃSKA-RIEDI:
SŁODKO-
GORZKIE
WŁOCHY
PO PANDEMII

PROF. ANDRZEJ NOWAK:
EUROPA WRACA
DO CZASÓW BISMARCKA

MAREK BUDZISZ:
ŚWIAT PRZYSZŁOŚCI,
CZYLI „WALCZ I NEGOCJUJ”

STANISŁAW JANECKI:
CZY KONFEDERACJA
POJDZIE Z TUSKIEM

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 31 (453) 2021

2-8 sierpnia 2021

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

KS. DARIUSZ OKO

SKAZANY ZA PRAWDE

AUTOR GŁOŚNEJ KSIĄŻKI
„**LAWENDOWA MAFIA**” ZOSTAŁ
UKARANY PRZEZ NIEMIECKI SĄD.
GROZI MU NAWET WIĘZIENIE.
W ROZMOWIE Z TYGODNIKIEM „SIECI”
UJAWNIA SZOKUJĄCE FAKTY I MÓWI:
NIE ZASTRASZĄ MNIE



#SZCZEPIMYSIĘ I WYGRYWAMY

W LOTERII NARODOWEGO
PROGRAMU SZCZEPIEŃ

Zarejestruj się na
www.pacjent.gov.pl
na swoim IKP lub zadzwoń pod 989



2 x 1 000 000 zł

2 x TOYOTA C-HR

6 x TOYOTA COROLLA



6 x 100 000 zł

60 x 50 000 zł

**720 x HULAJNOGA ELEKTRYCZNA
SEGWAY**



NAGRODY NATYCHMIASTOWE

500 zł
DLA CO 2000. OSOBY

200 zł
DLA CO 500. OSOBY



KANCELARIA PREZESA
RADY MINISTRÓW



Szczegóły i regulamin na www.gov.pl/szczepimysie/loteria. Okres promocyjny trwa od 1 lipca do 30 września 2021 r. Pula nagród natychmiastowych jest ograniczona i wynosi 52 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 8082949bba

**OSTATNIA
PROSTA!**
#SZCZEPIMYSIĘ

Coraz więcej Urbana w Tusku

To będzie walka o wszystko. Bezwzględna, ordynarna i brutalna. Świadczą o tym już pierwsze słowa Donalda Tuska po powrocie do polskiej polityki. I choć się wydawało, że sześcioletni okres futrowania swojego elektoratu negatywnymi emocjami dalece przekracza wszelkie normy wytrzymałościowe, że należałoby wreszcie wyjść z propozycją, z programem, dodać otuchy, wskazać kierunek zmian, nowy lider PO zganiał swoich partyjnych kolegów za to, że dotąd za słabo uderzali w PiS. Zamiast świeżego spojrzenia z brukselskiego dystansu, zamiast zastąpienia emocji twardym przesłaniem politycznym, mamy więc nowe rozdanie jeszcze bardziej historycznej, zakłamej i wręcz jarmarcznej polityki jazgotu. Trudno bowiem inaczej opisać wystąpienie Donalda Tuska w Gdańsku.

Janusz Palikot mógłby być dumny z tak wiernego wypełnienia zaleceń dotyczących tego, jak pokonać PiS. Mówił, że należy powtarzać kłamstwa, choćby były najmniej wiarygodne. Jakże to bliskie strategii jego „duchowego ojca” Jerzego Urbana. I jak mocno ta wręcz urbanowska fraza wybrzmiała na gdańskim wiecu Tuska. Takiego nagromadzenia brutalnych przekłamań nie było w wystąpieniach publicznych od dawna. Platforma jako obrońca Kościoła niszczonego przez PiS; jako jedyna partia zdolna zapanować nad pandemią i programem szczepień; jako jedyna obywatelska formacja, która dba o rozwój społeczny; jako ostoja demokracji, praworządności i polskich wartości; jako partia zdolna uchronić Polskę przed katastrofą ekologiczną, a nawet jako pomysłodawca programu 500+.

Wizje roztaczane przez Tuska w triadzie agresja-kłamstwo-manipulacja porwały samego Jerzego Urbana. W rozmowie z Moniką Jaruzelską nie krył zachwytów. „Nawet ostatnio napisałem, że chętniej słucham teraz Tuska niż tych kompozytorów klasycznych,

których należy słuchać, jak tamte Bachy, Beethoveny i inne Mozarty. Podtrzymuję to, bo Tusk to jest piękna melodia” – stwierdził. Rzeczywiście oskarżanie PiS o „ruski ład” przez zwolennika resetu z Rosją musiało Urbana wyjątkowo ucieszyć. Sam Tusk najwyraźniej wierzy w siłę bezczelnego kłamstwa. Bo jeśli o „ruskim ładzie” mówi polityk określany przez rosyjskie media jako „nasz człowiek w Warszawie”, który potulnie spełniał oczekiwania Putina nawet po katastrofie smoleńskiej, oznacza to, że jego wiara w siłę kłamliwej propagandy jest niezachwiana.

Bezczelność tego przekazu idzie jeszcze dalej, w obszary, w których Platforma poniosła całkowitą porażkę. Tusk zarzuca obecnemu rządowi kłamstwo, brak patriotyzmu, nieudolność gospodarczą, niszczenie Kościoła, brak polityki prorodzinnej, a przecież to jego politycy domagali się świeckiego państwa, jego partia pozwalała na wasalizowanie polskiej gospodarki, ignorowała głos obywatelski, nie reagowała na skrajnie trudne warunki bytowe setek tysięcy polskich rodzin i nie miała pomysłu na zatrzymanie masowej emigracji. Fakty nie przeszkadzają jednak w kreowaniu nowej legendy.

Donald Tusk najwyraźniej przyjął strategię całkowitego przewrócenia ładu informacyjnego. To pewne, że odtąd poruszać się będziemy wyłącznie w obszarze spreparowanych pseudoinformacji, fejków, memów i stand-upów sklepanych z agresywnych wrzutek rodem z Soku i Buraka. Walka o wszystko okazała się nie walką na ambitne propozycje i wizje rozwoju Polski, lecz historyczną strategią mającą rozchwiać opinię publiczną, jeszcze bardziej zastraszyć i jeszcze mocniej zaszczuć. Tylko czy po sześciu latach takiego szantażu emocjonalnego elektorat opozycji jest w stanie to wytrzymać? Może się okazać, że biała szkapuła lidera PO padnie, zanim zdola on ruszyć w pierwszy kluczowy bój. A z każdym kolejnym wystąpieniem w Donaldzie Tusku jest coraz więcej Jerzego Urbana.

Marzena Nykiel


32

**Upadek Izby
Dyscyplinarnej**
Jan Rokita


43

**10 węgierskich miejsc
pamięci, historii
i kultury w Polsce**
Grzegorz Górny


52

**Revolucja pożera
Amerykę**
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 DONALD Z SAINT-TROPEZ**
Krzysztof Feusette
- 9 JEST ICH DWA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 LEWICOWA WALKA Z DOMINACJĄ**
Bronisław Wildstein
- 13 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 14 WALIZKA DOMINIKI DMOWSKIEJ**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 ZMIANA KLIMATU ZMIENI MIASTA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 MIŁOŚĆ W POWSTAŃCZYM KADRZE**
Adam Ciesielski

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z KS. DARIUSZEM OKO**
rozmawia Goran Andrijanić

KRAJ

- 24 EUROPA ŚRODKOWA
MÓWI O ZDRADZIE**
Marek Budzisz
- 28 Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
- 32 UPADEK IZBY DYSCIPLINARNEJ**
Jan Rokita
- 35 WIRUS TUSKA**
Stanisław Janecki
- 38 PANDEMIA DZIELI POLAKÓW**
Aleksandra Jakubowska
- 40 KONIEC ZŁOTYCH CZASÓW**
Marek Pyza

POLSKA DLA CIEKAWYCH

- 43 10 WĘGERSKICH MIEJSC PAMIĘCI,
HISTORII I KULTURY W POLSCE**
Grzegorz Górny

ŚWIAT

- 48 Z MAGDALENĄ WOLIŃSKĄ-RIEDI**
rozmawia Dorota Łosiewicz

- 52 REWOLUCJA POŻERA AMERYKĘ**
Konrad Kołodziejski

HISTORIA

- 56 HAŃBA KAPITANA**
Wojciech Łada

SIECI KULTURY

- 59 FAUN NA MOŚCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 62 7 TAJEMNIC**
Robert Tekieli
- 63 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 64 POLECA**
Łukasz Adamski

IMPRESJE

- 66 OBŁĘD**
Krzysztof Logan Tomaszewski

GOSPODARKA

- 68 PŁAĆ JAK CHCESZ, CZYLI JAK
MIEĆ WYBÓR MIĘDZY GOTÓWKĄ
A INNYMI FORMAMI PŁATNOŚCI**
Debata „Gazety Bankowej”

KUCHNIA

- 74 MOJE SZLAKI: STASZEK
KARPIEL-BULECKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 PRZYSZŁA WOJNA**
Wojciech Reszczyński
- 78 KOŚCIÓŁ ZAMKNIĘTY**
Aleksander Nalaskowski
- 79 PSYCHOTERAPEUCI POSZUKIWANI**
Jerzy Jachowicz
- 79 LIDER NA MINUTĘ**
Wiktor Świetlik
- 80 MANIFEST LENNONA**
Ryszard Makowski
- 81 WAKACYJNE PODRÓŻE
Z ILDEFONSEM...**
Leszek Długosz
- 82 „ZMIENIANIE ŚWIATA”**
Andrzej Zybortowicz

ZESTAW KIBICA

stop
cafe

ZWYCIĘSKIE POŁĄCZENIE



SPONSOR STRATEGICZNY

Promocja trwa od 1.07.2021 r. do 31.08.2021 r. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji dostępne są na www.stopcafe.pl

eprasa.pl 8082949bba

Sygnalista nadaaje

🔊 Jagna Marczułajtis-Walczak, w przeszłości snowboardzistka, a obecnie posłanka Platformy Obywatelskiej, zachwyciła się rysunkiem, na którym przedstawiono płynącą po wodzie windsurferkę. Kobieta nie trzyma jednak żagla, ale krzyż ustawiony na środku deski. „Genialne. Ale jak to tak, bez chmurki ze słowami Jezus Chrystus!” – szydziła Marczułajtis, zaczepiając w ten sposób znaną z obrony wiary i rodziny Zofię Klepacką. Cóż, zapowiedziana przez Donalda Tuska obrona wiary i Kościoła przed PiS nabiera rumieńców.

🔊 Zofia Klepacka, która niestety medalu nie zdobyła, odpowiedziała Marczułajtis krótko i dobitnie: „Podobno pani Jagna Marczułajtis nasmiewa się z mojej wiary. Powstała grafika, że zamiast żagla trzymam krzyż, płynę na desce. Tak – każdy niesie swój krzyż. Jeden jest lżejszy, drugi cięższy. Wierzę, że ci, którzy niosą ten ciężki krzyż tutaj na ziemi, w Niebie będą mieć lżej”. Tak będzie.

🔊 Klepacką wyjątkowo brutalnie zaatakował Władysław Kozakiewicz: „Uważam, że jako sportsmenka pani Klepacka jest w porządku, bo sporo potrafi i jest jedną z najlepszych zawodniczek na świecie. Ale jako człowiek jest na dnie. Jest mi bardzo przykro, że mamy taką zawodniczkę. Chciałoby się wszystkim Polakom kibicować. Ale jej nie umiem” – mówi mistrz olimpijski z Moskwy, który w 1985 r. zmienił barwy narodowe i reprezentował Niemcy. Jak widać, kibicowanie wszystkim Polakom to także umiejętność, którą można zatracić.

🔊 „Gazeta Wyborcza” postawiła pytanie, czy „Polacy to najgorsi turyści na świecie?”. „Jasne, że to stereotyp i nie każdy Polak na wakacjach tak się zachowuje, ale też nie można powiedzieć, że taki nasz obraz wziął się z kosmosu” – mówi autorka książki o polskich turystach. Stereotyp „Wyborczej”, która zawsze chętnie wyszydzi rodaków, też nie wziął się z kosmosu.

🔊 Pierwszy medal dla Polski zdobyła wioślarska czwórka podwójna. Jedną z zawodniczek, które popłynęły w Tokio, to Katarzyna Zillmann, która w czasie wywiadu na żywo w TVP dokonała coming outu, dedykując medal swojej dziewczynie Julii. „Kochajmy się wszyscy. Tak cywilnie, po ludzku. Miejsmy otwarte oczy. Nie mówmy innym, kogo im wolno kochać, a kogo nie” – dodała w jednym z wywiadów. Cóż, to chyba nie jest takie proste. Przeszliśmy długą drogę: seksualność człowieka, czyli to, co miało być sprawą prywatną, stało się w samym centrum życia społecznego.

🔊 Hubert Znajomski, aktywista tęczowej Wiosny, zadał pytanie: „Czy jeśli uważam, że transpłciowe kobiety nie powinny brać udziału w zawodach sportowych z ciskobietami, to jestem terferem?” [terf – radykalna feministka wykluczająca osoby transpłciowe – red.]. Ten akt odwagi nie trwał długo. „Napisałem chyba najgłupszą rzecz w moim życiu i bardzo chciałem przeprosić osoby transpłciowe z całego mojego serca. Dziękuję przy okazji osobom, które mnie uświadomiły w niektórych kwestiach, dzięki czemu wiem, że takich błędów w przyszłości już nie popełnię” – stwierdził parę godzin później Znajomski. Współczesna lewica parodiuje i Orwella, i stalinizm.

🔊 Aktywista LGBT **Bart Staszewski** ucieszył się z wyroku niemieckiego sądu skazującego ks. Oka: „To, że ks. Dariusz Oko, został skazany w Niemczech za mowę nienawiści a przez tyle lat sącząc jad w Polsce nie udało się zrobić tego samego pokazuje

jak pilna i niezbędna jest nowelizacja kodeksu karnego. Rujująca grzywna i kara ograniczenia wolności. Aż do skutku". Czyli nie chodzi tylko o prawo do miłości, ale i o więzienia.

🔊 Staszewski chciałby także czystki w sporcie: „Gdyby Klepacka powtórzyła w trakcie igrzysk jedną ze swoich wielu homofobicznych bredni – Komitet Olimpijski mógłby wyrzucić ją z igrzysk. Szkoda, że w podobny sposób Polski Komitet Olimpijski lub Związki nie patrzą na dobór kadry narodowej. Zamiast dumy jest zażenowanie”. Ma chłopak rozmach w tych swoich cenzorskich zapędach.

🔊 „Fakty” TVN postanowiły skompromitować „Wiadomości” i w pięciominutowym materiale zaprezentowały „the best of” z programu konkurencji. Z jednej strony promocja planów rządu, z drugiej krytyka Tuska. Widzowie stacji dowiedzieli się, że „Polski Ład jest szansą na wyjście na prostą po pandemii”, a także, że „Tusk podporządkował się polityce Berlina”. Wszystko okraszane uniżonymi, niemieckojęzycznymi cytatami z byłego premiera. Manewr dowcipny, ale ryzykowny – coś z tej prawdy w głowach widzów TVN jednak zostanie.

🔊 Sam Tusk w czasie jednej z konferencji prasowych pouczył telewizję publiczną: „Jeśli nauczycie się, a jako były dziennikarz mogę zwrócić się do pana szefów, jeżeli nauczycie się formułować też pytania mające służyć debacie, jeśli zmieniecie swoją formułę ze zorganizowanej nagonki na opozycję, wtedy będę bardzo rzetelnie odpowiadał na wasze pytania”. Cóż, czasy, w których nieprzyjemne pytania w niewygodnym stylu dostają tylko politycy PiS, już w Polsce minęły. Może wróca, ale dziś jest inaczej.

🔊 Prawdziwą gwiazdą w tym boju jest reporter TVP Info Miłosz Kleczek. Gdy Tusk oskarżył TVP o brak promocji szczepień, ten błyskawicznie, jeszcze w trakcie konferencji, ripostował: „Wprowadził pan opinię publiczną w błąd. Mam nadzieję, że nie celowo i przypomnę, że od początku pandemii Telewizja Polska uruchomiła kilka programów, które promują szczepienia (...) także prośba, żeby pan nadrobił te zaległości antenowe i wycofał się ze swoich słów, bo myślę, że tak będzie uczciwie”. Na Kleczka Tusk jeszcze nie znalazł sposobu.

🔊 Ale próbuje. Kleczek ciągnął: „Wiemy, jak pan traktował dziennikarzy. Ale chcielibyśmy, żeby te standardy nie wracały. Zadałem dwa pytania, spokojnie, elegancko, pan przewodni-

czący nie potrafi odpowiedzieć”. Tusk zareagował takim oto wistem: „Najlepszym komentarzem jest to, że raczej wzbudził pan spontaniczny śmiech, mówiąc o tym, że zadaje pan spokojnie pytanie”. Znow próba powrotu do tego, co było; za czasów Tuska dziennikarze i politycy wspólnie wyśmiewali niewygodne pytania. Dziś to także już nie zadziała.

🔊 Tusk spotkał się z ekspertami medycznymi w sprawie pandemii. W spotkaniu uczestniczyli m.in. eksperci... zasiadający w Radzie Medycznej przy premierze. Przyszli m.in. prof. Krzysztof Pyrć, prof. Robert Flisiak oraz prof. Krzysztof Simon. „Ja nie jestem politykiem. Ja jestem lekarzem. Czy wyobraża pan sobie, że lekarz odmówi pomocy potrzebującemu ze względu na kolor skóry, na poglądy, na barwy polityczne?” – tłumaczy prof. Flisiak. Nie ma co komplikować tej sytuacji: to po prostu nielojalność. Choć raczej spodziewana.

🔊 Międzynarodowa Rada Ochrony Zabytków i Miejsc Historycznych uważa, że miejsca takie jak Stocznia Gdańska nie powinny trafiać na listę światowego dziedzictwa, ponieważ mogłoby to... urazić państwa, w których nadal panuje ustrój komunistyczny. „W Polsce na szczęście komunizmu nie było...” – skomentowała sprawę prof. **Joanna Senyszyn** z Lewicy. „Jak to komunizmu nie było?” – pytał dziennikarz. „Historyczne fakty są takie, że mieliśmy socjalizm, ale nie komunizm” – odpowiedziała Senyszyn. Pozostaje zagadką, dlaczego Polacy skandowali „precz z komuną”, a nie „precz z socjalizmem”?

🔊 Prof. **Andrzej Rzepliński**, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, chętnie dzieli się swoim doświadczeniem i głęboką refleksją. „Nasze państwo było państwem rządów prawa, coraz lepiej było ułożone. Tym, którzy są chuliganami politycznymi, udało się zrobić, co zrobili. Omamili naród i za 500 zł kupić wolę tych ludzi” – mówił w czasie Tour de Konstytucja. Chyba nie było tak dobrze ułożone, skoro wystarczyło 500 zł, by je obalić.

🔊 I jeszcze jedna próbka z twórczości prof. Rzeplińskiego: „Chcemy kupić ileś tam czołgów Abrams. Ja nie mówię krytycznie, bo moi dziadkowie byli Amerykanami. Ale kupować broń, gdy budżet jest w kiepskiej sytuacji? Bez udziału Sejmu? Bez udziału komisji sejmowej? Dowiadujemy się, że wylądowały jakieś czołgi i my je kupiliśmy za pieniądze, których nie mamy”. Prawdziwy gigant myśli. Także geopolitycznej i militarnej.



Donald z Saint-Tropez



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Baczność, będę mówił, kogo trzeba wymienić...

Tomczyk: Ale jak to? Dlaczego? Przecież myśmy tak czekali... (śpiewa) Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy... to znaczy, kiedy my...

Tusk: Milczeć. Co wy mi tu oczymydlicie jakimis nacjonalistycznymi mazurkami. Do tego fałszujecie, jak Kopaczowa w orędziu. Będę mówił, kogo trzeba wymienić, ale z nazwiska...

Tomczyk: A ja myślałem...

Tusk: Niedobrze.

Tomczyk: Tak jest, myślałem niedobrze.

Tusk: Niedobrze, że w ogóle myśleliście. Nie jesteście od tego. A zatem wymieniam: Budka Borysław, przepraszam, Bogdan, nie, co ja mówię, Borys, wybac, Bogdan, to znaczy Borys...

Budka: Obecny!

Tusk: Widzę! Nie musicie krzyczeć! Za dużo już darcia mordy w polskiej polityce!

Budka: Z całym szacunkiem, ale mam wrażenie, że tych słów użyła posłanka Żukowska w odniesieniu do...

Tusk: Znowu niedobrze. Nikt od was nie oczekuje, że będziecie mieli wrażenia. Albo inaczej: możecie je prezentować w domu, rodzinie albo małżonce, ale nie na radzie krajowej.

Budka: Rozumiem.

Tusk: Lepiej. Rozumieć możecie. Natomiast myśleć, mieć wrażenia albo, co byłoby szczególnie głupie, krytykować posunięcia naczelnego kierownictwa...

Trzaskowski: Mam pytanie...

Tusk: Chwileczkę, czy ja was już wymieniałem? Na jaką literę jesteście?

Trzaskowski: Na „T”. Jak Trzaskowski.

Tusk: O, widzicie? Znowu małostkowość. Mogliście powiedzieć normalnie: „T jak Tusk”. Ale woleliście anonimowe nazwisko...

Trzaskowski: Przecież to moje.

Tusk: Przykra sprawa, trzeba będzie zmienić. To już się za bardzo kojarzy, no, sami wiecie z czym...

Budka: Może dać mu „Czajkoski”? Jak ten kompozytor?

Trzaskowski: A na ciebie mówią „Pupka”!

Tusk: Spokój. „Trzaskowski” jest po „Tomczyk”. Dlatego Tomczyk – do wymiany.

Tomczyk: Ale za co? Przecież było mówione, że tylko o nazwisko chodzi. Ja mogę zmienić! Będę po „Trzaskowski” i po „Tusk”... O, dajmy na to: „Żak”. Albo „Żuk”, jeszcze lepiej! Jak The Bitels! (znowu śpiewa) Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziem Donaldami, dał nam przykład Tuskoparte, jak zwyciężać mamy...

Tusk: Otwórzcie sobie klub i tam śpiewajcie, okej? Możecie nawet być szefem. Tu wymieni was Bogdan, przepraszam, Borysław...

Kidawa: A czemu ja jestem po nim? „Błońska” jest przed „Budka”...

Tusk: Ale „Kidawa” jest po. Nie czepiajcie się półsłówek. Zresztą, już raz zostaliście wymienieni i to się skończyło średnio.

Trzaskowski: Czemu?

Tusk: Bo niektórym odbiło.

Schetyna: A konkretnie?

Tusk: Na „S” jeszcze nie wyczytywałem. Najpierw będzie „P” jak „przekaz”.

Macie być zli. Jak wilki. Macie kasać, wyć, gryźć, szarpać, kłuć, haratać, dorzynać. Wyrzucie

z siebie wasz gniew. Waszą złość za lata bez władzy. Bądźcie wulgarni i prymitywni, ale skuteczni! Potraficie?

Budka: Jasne.

Tusk: Powiedźcie: „k...”

Budka: Po co?

Tusk: Nie „po co”, a „k...”, czego nie rozumiecie?

Budka: K...

Tusk: Teraz pani...

Kidawa: Chyba, k..., żartujesz. Nie będę przeklinała.

Trzaskowski: A na co ten test, jeśli wolno zapytać?

Tusk: Na determinację, k... Patrzcie na mnie, jaki k... jestem zdeterminowany. Tydzień gadania, tydzień urlopu i znowu tydzień gadania, potrafilibyście tak haro-

wać dla partii? Pokażcie groźną minę...

Schetyna: Nie, to już jest dziecinada. Umówmy się, że pajacować będą Nitrzas z Pomaską, a jak będzie trzeba, to się odbierze Stefanowi fasolkę, żeby kogoś zagryzł. Ale czy my musimy się do tego zniżyć?

Tusk: Skończyliście? Bo nie chciałbym wchodzić w słowo geniuszowi strategii. To co chcecie proponować? Lubnauer na prezydenta?

Lubnauer: Proszę tak nie żartować. No, gdzież ja, skromna...

Tusk: Tak, to rzeczywiście nieprzyzwoite. Panie zabawny, co pan tam szepcze?

Szłapka: Nic. Naprawdę.

Tusk: Słyszałem.

Szłapka: Mówiłem tylko, że Kasia bardzo pręźnie działała tutaj, na terenie kraju, w czasie kiedy pan przewodniczący...

Tusk: Walczył na znacznie trudniejszym terenie międzynarodowym? Pełna zgoda. O każdą złotówkę. Żeby jej nie było. Z jakiej jesteście gazety wyborczej?

Szłapka: Szłapka. Adaś Szłapka, przewodniczący Nowoczesnej...

Tusk: Czego?

Schetyna: Taka partia. Nieduża.

Lubnauer: Protestuję. Jesteśmy członkiem Koalicji Obywatelskiej i języczkiem u wagi!

Tusk: Nawet nie wiedziałem. Ale czy potraficie iść na wojnę? Czy umiecie gryźć trawę i rzucać widłami? Czy nie zawahacie się w godzinie prawdy klamać w żywe oczy bez zmużenia oka, tak żeby wam nawet powieka nie drgnęła? Czy macie potem problemy ze snem? Bo potrzebuję wyspanych. Rano kłamię się najlepiej – od razu wszystkie Kolendy puszczą to dalej. A weryfikować nie mają czasu. Walczą teraz, sami wiecie, o niezależność mediów.

Musi być ich dwóch. Donaldów Tuszków. Trudno sobie wyobrazić, by jedna i ta sama osoba mogła być nieustająco w sporze z samą sobą i głosić tezy przeciwne, a tak zdaje się robić od lat Donald Tusk.

Weźmy ubiegłotygodniową konferencję w sprawie szczepień i COVID-19. „Pierwszym zadaniem jest wyjęcie kwestii pandemii (...) z pola konfliktu politycznego” – zawyrokował były premier 29 lipca. Gdy już wydawało mi się, że stary nowy szef PO krytykuje partyjnych kolegów, którzy organizowali konferencje pod szpitalami tymczasowymi, raz nawołując do ich otwierania, innym razem wzywając do ich zamykania, albo że to krytyka Szymona Hołowni, który najpierw atakował za zbyt wolne tempo szczepień, by potem stwierdzić, że szczepią tak szybko, bo mają się odbyć wybory, Tusk pospieszył z atakiem na rząd. „Z pewnym zdziwieniem i z troską stwierdzam, że ciągle nie ma prawdziwego centrum do walki z covidem, które złożone jest z fachowców i autorytetów, które mogłoby koordynować wszystkie działania na bieżąco, mogłoby rekomendować rządowi m.in. rozwiązania legislacyjne” – tymi słowami wyjmował Tusk pandemię z pola politycznego konfliktu.

Istnienie dwóch Donaldów Tuszków rzuciło się też w oczy zaraz po ich powrocie z Brukseli do Polski. „Wróciłem, jak powiedział Borys, na sto procent!” – ogłosił były premier 3 lipca podczas Rady Krajowej PO. I już po kilku dniach „orki” udał się na urlop. Jednak nim to się stało, zdążył jeszcze ogłosić, że to PO wymyśliła 500+. „Ewa Kopacz miała już przygotowany projekt dość podobny do 500+, z podobnymi skutkami, ale ona była w tym ostatnim roku porządkowania sytuacji po światowym kryzysie finansowym. Ja wiem, że my wielu ludzi nie przekonamy, ale chcę, żebyście wiedzieli, jak to naprawdę wyglądało” – tłumaczył Tusk. A ci, którzy pamiętali, jak były premier komentował w 2014 r. program PiS, przecierali oczy i uszy ze zdumienia: „Jeżeli ktoś wie, gdzie leżą zakopane w Pol-

Jest ich dwóch

Istnienie dwóch Donaldów Tuszków rzuciło się w oczy zaraz po ich powrocie z Brukseli do Polski

że od zawsze musiało być dwóch Donaldów. Podczas swojego pierwszego exposé Tusk obiecywał: „Naczelną polityką mojego rządu będzie stopniowe obniżanie podatków i innych danin publicznych. Dotyczy to wszystkich: tych mniej zamożnych i tych bogatszych”. A później kolejne podatki rosły jak grzyby po deszczu, od którego także wprowadzono podatek.

Właściwie, gdyby wierzyć Donaldowi Tuskowi, to musieliśmy przyjąć, że nigdy nie wyjechał z Polski, a więc i nie mógł do niej wrócić, bo przecież jeszcze w 2014 r. zapowiadał, że nigdzie się nie wybiera. „Od wczesnej zimy odpowiadam już po raz 153. na to pytanie. Powiedziałem, że nie wybieram się do Brukseli i to podtrzymuję” – oświadczył Tusk w lipcu, a już 30 sierpnia było wiadomo, że lider PO został przewodniczącym Rady Europejskiej.

Cały Donald. Dwaj Tuskwie. Trudno stwierdzić, czy jest choćby jedna obietnica, wypowiedź albo deklaracja Tuska, z której drugi Tusk by się nie wycofał lub jej nie zaprzeczył. Apelując o pojednanie i spokój, podgrzewa nienawiść, obiecując otwartość w kontakcie z mediami, wyklucza niektóre z nich ze swoich konferencji lub atakuje podczas nich, ewentualnie odmawia odpowiedzi na pytania. Gdyby nie było Jarosława Kaczyńskiego, to Donald Tusk musiałby go wymyślić. Podobnie, gdyby nie było Donalda Tuska, Prawo i Sprawiedliwość musiałoby go wymyślić. Ale jest. Wrócił. Na sto procent. A może na pięćdziesiąt. A może zaraz znów wyjedzie. Kto by tam nadążył.

Dorota Losiewicz



Randka w ciemno

Iran



Kryzys demograficzny nie jest wyłącznie problemem państw wysoko uprzemysłowionych. Z podobnym wyzwaniem zmagają się od wielu lat muzułmański Iran. Wskaźnik dzietności, który kilkadziesiąt lat temu sięgał w Iranie poziomu siedmiorga dzieci przypadających średnio na jedną kobietę, dziś wynosi zaledwie 1,7. Jeśli nie uda się zatrzymać spadku liczby narodzin, to wg obliczeń demografów w połowie tego stulecia Iran będzie miał najstarszą populację na Bliskim Wschodzie. Najwyższy przywódca ajatollah Ali Chamenei określił tę perspektywę jako „przerazająco złą”. Przy czym nie chodzi tu wyłącznie o aspekt kulturowy ani społeczny załamania demograficznego, lecz również o kwestie gospodarcze. Bez młodych rąk do pracy i efektywnej gospodarki nie da się bowiem zrealizować irańskich ambicji o budowie regionalnego mocarstwa.

Co ciekawe, Iran – podobnie jak Chiny – starał się niegdyś ograniczać zbyt duży przyrost naturalny, a dziś zmagają się z odwrotnym problemem. Na razie bez powodzenia. W 2014 r. zapęd demograficzny stał się na tyle groźny, że Ali Chamenei wprost wezwał społeczeństwo do „rozmnażania się”. Z takim samym apelem do swoich żołnierzy wystąpili dowódcy elitarnego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Mimo to wskaźnik dzietności w kolejnych latach spadł o dalsze 25 proc. Załamanie demograficzne w Iranie wynika – zdaniem naukowców – głównie z problemów gospodarczych: niekończącej się recesji oraz

rosnącego bezrobocia. Dodatkowym czynnikiem jest masowa migracja ludności do miast. Wszystko to ma skłaniać młodych ludzi do odkładania decyzji o potomstwie na „lepsze czasy”.

Dostrzegając to, parlament irański przygotował w marcu br. pakiet zachęt dla przyszłych rodziców. Składają się nań wypłaty z budżetu dla młodych małżeństw i premie za posiadanie więcej niż dwojga dzieci. Planuje się również zaostrzenie przepisów dotyczących aborcji (która pod pewnymi warunkami jest wśród muzułmanów dopuszczalna).

Idąc z duchem czasu, przygotowano także specjalną aplikację randkową o nazwie Hamdam, która ma kojarzyć pary w zgodzie z zasadami islamu. Z tego też powodu zainteresowani nie mogą umieszczać na niej swoich zdjęć i dopasowywać się, korzystając z rozmaitych przycisków oraz suwaków, które służą do pomiaru cech osobowości kandydata. Procedura przewidziana w aplikacji wymaga też obecności i zalogowania się rodziców oraz specjalnego konsultanta, który – niczym przywoitka – towarzyszy skojarzonej parze jeszcze przez cztery lata po ślubie.

Znawcy tematu twierdzą, że nowa aplikacja nie podbije irańskiej młodzieży, która – jeśli już – woli korzystać z nielegalnych portali randkowych. Bardziej tradycyjnych, ale – wnioskując po spadku dzietności – równie nieskutecznych.

Konrad Kolodziejcki

Wiele wskazuje na to, że dyktator Daniel Ortega (na zdj.) zamierza rządzić Nikaragwą dożywotnio. W areszcie domowym umieszczono właśnie Nolela Vidaurre, który chciał wystartować przeciwko Ortedze w zaplanowanych na listopad wyborach prezydenckich. Zarzut? „Podkopywanie suwerenności kraju”. Aresztowanie potępiły zarówno USA, jak i Unia Europejska.

Vidaurre to już siódmy znaczący działacz opozycji przeciwko Ortedze, który został aresztowany. W czerwcu zatrzymano dziennikarkę Cristianę Chamorro, córkę byłej prezydent Violety Chamorro. Z kolei na początku lipca do aresztu trafili dwaj działacze studenci: Léshter Alemán i Max Jerez, oraz trzech chłopskich przywódców: Medardo Mairena, Pedro Mena i Freddy Navas. Oskarża się ich o gwałty, mordy na policjantach i kradzieże.

Ponadto o kontakty z zewnętrznymi wrogami państwa oskarżono w ostatnich miesiącach jeszcze 21 osób związanych z opozycją. Kilka tygodni temu aresztowano innego kontrkandydata Ortegi Félix Maradiagę. Oskarżono go o spiskowanie z siłami zagranicznymi i ter-



Przywiązany do władzy

Nikaragua

roryzm. Maradiaga został zatrzymany przed prokuraturą, gdzie postawiono mu zarzuty. Oznajmił wówczas, że nie zamierza się wycofać z wyścigu prezydenckiego. Wykreślono go jednak z listy kandydatów pod pretekstem tego, że przez cztery lata nie mieszkał w Nikaragui. Przepis taki został wprowadzony do ordynacji wyborczej niedawno i służy wyłącznie eliminacji przeciwników Ortegi. Maradiaga wyjechał z kraju po tym,

jak w 2018 r. brutalnie stłumiono protesty antyrządowe. Aresztowano wówczas ponad tysiąc osób, a 41-letniego Maradiagę brutalnie pobito.

Dwa miesiące temu do więzienia trafił też Arturo Cruz, który był kiedyś ambasadorem rządu sandinistów w USA. Po zerwaniu z reżimem wsparł opozycję. Oskarżono go o „zamach na prawa narodu nikaraguańskiego” oraz „zabijanie o obcą interwencję zbrojną”.

75-letni Daniel Ortega był szefem rządu Nikaragui w latach 1979–1990 po przejęciu władzy przez Sandinistowski Front Wyzwolenia Narodowego. Wyszkolony na Kubie Ortega był w czasie prezydentury Ronalda Reagana oskarżany przez USA o szerzenie komunizmu w Ameryce Południowej. Amerykanie wspierali wówczas antysandinistowskich bojowników Contras.

Ortega wrócił do władzy w 2007 r., wygrywając wybory prezydenckie. Od tego czasu systematycznie ogranicza demokrację. Stany Zjednoczone nałożyły na razie sankcje na członków rządu Ortegi. Jak na razie bez skutków.

Łukasz Adamski

Gwinea Równikowa

Sankcje za rozrzutność

Teodoro Obiang Mangué, syn najdłużej urzędującego prezydenta na świecie – 78-letniego Teodora Obianga Nguemy z Gwinei Równikowej, został ukarany przez rząd brytyjski sankcjami. Mangué, będący jednocześnie wiceprezydentem tego afrykańskiego kraju, otrzymał zakaz wjazdu do Zjednoczonego Królestwa. Oprócz tego zamrożono wszystkie jego brytyjskie aktywa.

Powodem tak ostrej reakcji był „rozrzutny styl życia” 53-letniego afrykańskiego polityka, niemający pokrycia w jego oficjalnych zarobkach. Jak skrupulatnie wyliczyli Brytyjczycy, Obiang Mangué kupił za 100 mln dol. rezydencję w Paryżu, prywatny odrzutowiec za 38 mln dol., luksusowy jacht oraz dziesiątki drogich aut, wśród których znalazły się modele Ferrari, Bentleya i Astona Martina. Szczytem rozrzutności okazał się zakup pamiątek po Michaelu Jacksonie, w tym pokrytej kryształami rękawiczki za 275 tys. dol., którą muzyk nosił podczas swojej trasy koncertowej „Bad”. Jak dodał brytyjski minister spraw zagranicznych Dominic Raab, większość tych zakupów była finansowana z różnych podejrzanych transakcji i łapówek.

To nie pierwsze problemy afrykańskiego polityka. W 2016 r. władze szwajcarskie skonfiskowały wszystkie samochody, które posiadał w tym kraju. Ich licytacja przyniosła miliony dolarów. Rok później Obiang Mangué został skazany za korupcję przez francuski sąd i skazany na trzy lata więzienia w zawieszeniu po tym, jak oskarżono go o defraudację funduszy publicznych i pranie brudnych pieniędzy. Wreszcie w 2018 r. brazylijska policja skonfiskowała kilka milionów dolarów w gotówce oraz zestaw luksusowych zegarków znalezionych podczas przeszukiwania jego prywatnego samolotu w São Paulo.

Gwinea Równikowa uchodzi za jeden z najbardziej zasobnych krajów Afryki. W połowie lat 90. Amerykanie odkryli tu ogromne złoża ropy naftowej. Od tego czasu zyski ze sprzedaży tego surowca przyniosły miliardy dolarów, przy czym większość zarobionych pieniędzy trafiła do kieszeni klanu sprawującego władzę. Na jego czele stoi rządzący od 1979 r. prezydent Teodoro Obiang Nguema oraz jego rodzina, w tym dwaj synowie – bohater tej historii Teodoro Obiang Mangué i jego brat Gabriel Obiang Lima, pełniący – co nie powinno chyba zaskakiwać – strategiczną funkcję ministra ds. kopalń i węglowodorów. Według magazynu „Forbes” prezydent Obiang ma dziś majątek netto w wysokości 600 mln dol., co czyni go jedną z najbogatszych głów państw na świecie. Jednak jest to majątek uzyskany kosztem obywateli. Pomimo naftowego eldorado ponad 76 proc. z nich żyje dziś w ubóstwie.

Niestety przypadek Gwinei Równikowej z jej zachłanną i skorumpowaną władzą oraz przymierającymi głodem mieszkańcami nie jest żadnym wyjątkiem. Przeciwnie, po 60 latach od dekolonizacji to w Afryce norma.

Konrad Kołodziejski



Tunezja

Prezydencki pucz

Kais Saied, prezydent Tunezji, ostatniej demokracji powstałej w wyniku Arabskiej Wiosny, która przetrwała do dziś, odwołał premiera, „zamroził” na 30 dni parlament oraz ogłosił zniesienie immunitetu deputowanych, sam przejmując – jak oświadczył – obowiązki kierowania państwem. Na ulicach pojawiło się wojsko.

Saied, „w cywilu” profesor prawa konstytucyjnego, oświadczył w telewizyjnym wystąpieniu, że zdecydował się na ten krok po to, by „ratować państwo” i „pokój społeczny” zagrożony dążeniem zdymisjonowanego premiera Hichema Mechichiego do zdobycia władzy.

W opinii obserwatorów posunięcie Saieda jest ruchem wyprzedzającym. Decyzje zostały ogłoszone w przeddzień Dnia Republiki, gdy zwykle dochodzi do antyrządowych wystąpień. W tym roku spodziewano się ich nasilenia, nastroje społeczne w związku z pandemią i załamaniem gospodarki znacznie się bowiem zradzykalizowały. Tunezyjska opinia publiczna o zły stan kraju obwiniała rząd Mechichiego, który popierany był przez umiarkowaną islamistyczną, mającą większość w parlamencie, formację Ennahda.

Sytuacja jest napięta, na ulicach Tunisu i w innych miastach trwają demonstracje zwolenników oraz przeciwników prezydenta. Najbardziej radykalny przebieg miały one w Tozeur, mieście w środkowej Tunezji, gdzie demonstrujący wdarli się do biur Ennahdy i je zdemolowali. Wściekłość ludzi wywołało i to, że liderzy Ennahdy ogłosili niedawno, iż formacja ma się zająć ubieganiem o odszkodowania, szacowane na 3,5 mld dol., za prześladowania i tortury, jakich ofiarą padli jej członkowie w latach prezydentury generała Zajna al-Abidina ibn Alego obalonego przez rewolucję w 2011 r. W kraju, który przeżywa załamanie gospodarcze, a liczba bezrobotnych przekroczyła dwucyfrowe wskaźniki, odebrano to jako wyraz niesłychanej arogancji. Powstał wówczas na Facebooku Ruch 25 Lipca, do którego zapisało się 550 tys. osób, co nie jest mało jak na liczącą 11 mln mieszkańców Tunezję.

Dodatkowo chaos potęguje to, że w Tunezji nie ma Sądu Konstytucyjnego ani innego organu, który mógłby rozstrzygnąć, czy posunięcie Saieda, powołującego się na art. 80 tunezyjskiej konstytucji, jest legalne. O sukcesie prezydenta może jednak przesądzić oświadczenie wydane przez centralę tunezyjskich związków zawodowych UGTT, które dość powszechnie odczytywane jest jako poparcie dla ruchu prezydenta.

Marek Budzisz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Lewicowa walka z dominacją



W 2013 r., kiedy tworzyliśmy telewizję Republika, w jednym z jej programów wziął udział historyk i publicysta „Gazety Wyborczej” oraz „Krytyki Politycznej” Adam Leszczyński. Wrażeniami podzielił się na Twitterze. Była to opowieść współczesnego dr. Livingstone’a, który nieustraszenie zagłębił się w samo jądro prawicowej ciemności. Środowisko doceniło odwagę i z uciechą wywiadywało się o warunki życia tubylców. Rozbawienie i fascynację wywoływały zdolności przetrwania skazanego na wymarcie gatunku. Rechotowi i żartom nie było końca. Głównym interlokutorem Leszczyńskiego był ideowy socjalista i związkowiec Wojciech Orliński. To zdaje się on wypytywał lewicowego Livingstone’a, ile herbat robi się w Republice z jednej ekspreski, jakie są ograniczenia papieru toaletowego, a jakie mydła. Leszczyński chętnie dzielił się spostrzeżeniami, które odsłaniały bidę prawicowej inicjatywy. Było w tym ziarno prawdy, bo chociaż w Republice nie istniały normy wykorzystywania ekspresowej herbaty czy materiałów higienicznych, to obowiązywała rygorystyczna oszczędność. Inaczej inicjatywa nie miałaby szans, a i tak cudem było, że przy środkach, którymi dysponowaliśmy, udało się ją zrealizować.

Czy należy się dziwić, że wypasieni na kapitale „Wyborczej”, zasilani unijną i (osobno) niemiecką kasą, wspomagani funduszami Sorosa i jemu podobnych mieli ubaw ze ściubiących drobniaków golców? Szyderstwo elit z raczkującej konkurencji, którą oni skazali już na śmierć, jest stare jak świat. Czy fakt, że ci sami uzasadniają swoją pozycję walką z dominacją, władzą czy uciskiem, coś zmienia?

Propaganda narzuciła nam stereotyp lewicowej wrażliwości społecznej. Gdyby tak było, wszyscy przyzwoici ludzie powinni być lewicowi. W rzeczywistości lewica od prawicy różni się odmienną antropologią, która skutkuje różnymi rozwiązaniami i projektami politycznymi. To w sferze idei. Na całym świecie zwolennicy lewicy często odwołują się do specyficznie konserwatywnych motywacji. Do rodzinno-środowiskowej tradycji, a zwłaszcza do wiecznej identyfikacji wrogów, głównie katolickiego Kościoła.

Owszem, natrafiamy w dziejach na lewicowe projekty materialnej pomocy i cywilizacyjnego awansu robotników – bo w przypadku chłopów w tym kierunku działały inne, zwłaszcza o katolickim rodowodzie, orientacje – ale miały

one charakter syndykalistyczny i wchodziły w konflikt z bardziej ideologicznym nurtem, który uznawał je za ugodowe. Obecna lewicowość ma właśnie owo radykalne oblicze i jest doktryną władzy, tak jak był nią komunizm. Jej głównym przeciwnikiem jest przecież wiejski czy małomiasteczkowy tradycjonalista, ów redneck czy moher.

Leszczyński wydał ostatnio „Ludową historię Polski”. To dzieje wyzysku i uciemiężenia ogółu Polaków przez szlacheckie, a potem kapitalistyczne elity. Mieści się ona w zestawie kilku książek, które wychwalane przez środowiska opiniotwórcze na polski grunt przepisują obowiązujące dziś na Zachodzie schematy. Historia ma być opowieścią o opresji i patriarchalnej dominacji, z której uwalniamy się dopiero dziś. Ten monotony opis wyzysku i zniewolenia powinien powodować w nas wstyd i chęć zerwania z paskudną tradycją. Nie ma w nim próby odniesienia wydarzeń w naszym kraju do tego, co działo się gdzie indziej. Gdyby autorzy zrobili ten wysiłek, okazałoby się, że nigdzie lepiej nie było, a dzieje ludzkości to jedno wstydlive pasmo ciemnienia większości przez mniejszość, a kobiet przez mężczyzn. W dominującym ideologicznie nurcie tak zresztą wygląda historia powszechna. Konsekwencje są jednoznaczne: zamiast rozważać to, co zostawiła nam cywilizacja, podziwiać dzieła sztuki, osiągnięcia intelektualne i organizacyjne, powinniśmy wyrzucić je na śmietnik jako efekt krzywdy oraz wyzysku.

Nie twierdzę, że problem ceny, jaką ludzie płacą za wspaniałe wykulty kultury, nie jest wart namysłu. Refleksja taka pojawia się w klasycznych tekstach. Nie ma jej natomiast za grosz we wspomnianych, adorowanych dziś pozycjach. Nawołują one do unieważnienia, czyli likwidacji, tradycyjnej, a więc jedynej istniejącej kultury, co podsumowuje sztandarowe hasło amerykańskiej lewicy: cancel culture. Na gruzach tego, co było, może dopiero zostać zbudowany nowy wspaniały świat, którego doświadczyliśmy już w komunistycznym systemie.

We wspomnianych tekstach ciemniony lud okazuje się bytem zupełnie abstrakcyjnym, sprowadzonym wyłącznie do funkcji eksploatacji, co uzasadniać ma likwidację tradycyjnego ładu i przekazania władzy lewicy, pod której przewodem dokonany zostanie ostateczny proces emancypacji.

Tezy „Ludowej historii” i rechot autora oraz jego środowiska nad gorzej sytuowanymi konkurentami. Dwa oblicza tego samego.

Nie wystarczy zakazać, trzeba dopilnować

Niestety nie mamy już biletów, z powodu epidemii w grupie mogą być tylko cztery osoby – powiedziała miła pani sprzedająca bilety na zwiedzanie pewnej modnej ekspozycji w Olsztynie. Gdy mina mi zrzedła – obiecałem synowi tę wakacyjną atrakcję – uśmiechnęła się i powiedziała: – Ale mamy wejściówki dla osób zaszczepionych!

Ucieszyłem się. Kupiliśmy bilety. Obaj z synem jesteśmy zaszczepieni, niestety młody nie miał zaświadczenia. Ale w czasach internetu to nie problem – czekając na zwiedzanie, ściągnęliśmy dokument na komórkę. Wyposażeni w odpowiednie papiery, szczelnie zabezpieczeni масечkami, wkroczyliśmy do muzeum.

Zupełnie niepotrzebnie tak się staraliśmy. Nikt naszych „paszportów covidowych” nie sprawdzał, nikt nawet nie pilnował, aby podczas oprowadzania zasłonić twarz – wraz z nami weszła upiorna rodzinka „królów życia”, z масечkami ostentacyjnie opuszczonymi pod nosy (tacy wkurzają mnie najbardziej). Niewykluczone, że to byli owi czterej niezaszczepieni członkowie naszej grupy, besserwisserzy głęboko przekonani, że ich zaraza nie ruszy.

Oczywiście nie życzę im zachorowania na koronawirusa. Ale widać, że kolejna fala zakażeń się zbliża. Z tygodnia na tydzień rośnie liczba chorych. Rząd na razie odwleka stosowanie rady-

kalnych rozwiązań i zakazów, bo wiadomo – to niepopularne, budzi opór, nie tylko w kręgach oszalałych antyszczepionkowych radykałów, ale zwykłym obywatelom też się nie spodoba. Zachęcałbym jednak do zdecydowanych działań, bo za chwilę znów zaczną się pandemiczne kłopoty.

Czas już na wariant francuski. Skoro nawet taki obrzydliwy populistą, jakim jest François Macron zdecydował się na wprowadzenie zasady, że do przeróżnych przybytków (restauracje, kawiarnie, galerie handlowe, centra kultury, parki rozrywki) wpuszczać się będzie tylko zaszczepionych, to i naszych twardej dzieli z PiS, którzy się Unii Europejskiej nie kłaniają (i słusznie), chyba na taki odważny gest stać.

Jak zawsze jednak: nie wystarczy zakazać, trzeba jeszcze dopilnować. Straż miejska, inne służby, policje tajne, widne i dwupłciowe powinny wziąć się nareszcie za niezaszczepionych warcholów z nosami na wierzchu, którzy bezkarnie krążą po sklepach, muzeach i kinach.

Dla ich dobra. I dla dobra tych, którzy są od nich bardziej odpowiedzialni.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

REKLAMA

Zabieramy rodziny i znajomych!

15 SIERPNIA 2021

TROPEM WILCZYM

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH

Bądźmy znowu razem!

Nie ma biegu w Twoim mieście?

Pobiegnij w Warszawie! Albo zabierz pakiet na wakacje!

Będzie się działo!




szczegóły i zapisy: tropemwilczym.org oraz facebook: [tropemwilczym.pl](https://www.facebook.com/tropemwilczym.pl)



PARTNER MEDIALNY
SIECI HISTORII wPolityce.pl



Walizka Dominiki Dmowskiej

wokalistki i współzałożycielki zespołu NoVela,
autorki tekstów

Podróżę to dla mnie albo relaks (typowe wakacje), albo sprawy zawodowe (koncerty). Lubię obie formy wyjazdów. Jeśli pracuję, zawsze znajdę czas na odrobinę odpoczynku w ramach przerwy. Występy na żywo warunkują miejsca, które odwiedzam wraz z zespołem. Jest to oczywiście Polska. Jeśli chodzi o wakacje, to najczęściej odwiedzam Londyn, Pragę, Sycylię lub nawet Nowy Jork. Jestem zwolenniczką niezależnych podróży zaplanowanych pod kątem zwiedzania, np. miejsc wykorzystywanych w ulubionych filmach. Kiedy jestem w Polsce, wówczas wystarczy mi nawet wyprawa do lasu czy nad rzekę, obowiązkowo z psem!

BIŻUTERIA ARTYSTYCZNA, RĘKODZIEŁO

Na wyjazdy staram się brać niezbędne rzeczy, jednak jestem kobietą i ozdoby są miłe widziane. Bardzo lubię srebro i biżuterię artystyczną, która jest – według mnie – piękniejsza od złota i drogich kamieni, a może być wykonana jedynie ze stali, szkła i suszonych kwiatów. Dla mnie cud! Każdy egzemplarz jest niepowtarzalny. Poza tym lubię wspierać takie prace.



HERBATA

Dobrze mieć pod ręką swoją ulubioną. Matcha z mlekiem to moje ostatnie odkrycie – dodaje energii i jest napojem, którym się delectuję.

TABLETKI NA GARDŁO

Jako wokalistka niewiem niedyspozycje związane z suchą śluzówką gardła. Na joba, do studia czy na próbę warto mieć w kieszeni sprawdzone tabletki nawilżające – nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.



KSIĄŻKA

O kosmosie lub o tym, jak uratować świat. Najchętniej sięgam po taką, która doczekała się ekranizacji. Obecnie kończę „Pamiętnik pozytywnego myślenia” i szczerze polecam zarówno książkę, jak i film!



BLUZA

Częściej jest mi zimno niż ciepło i nie wyobrażam sobie wyjazdu bez ulubionej bluzy. Ta z logo Aerosmith jest ze mną od wielu lat i nieraz uratowała mnie w chłodniejsze wieczory.

SUKIENKA

Dziewczęca, na lato, bawełniana, wygodna i prosta w noszeniu. Pasuje do sandałków i do tramppek. Nie gniewcie się i służy mi od lat – byłam w niej wielokrotnie na różnych wakacjach.



LEGGINSY

Najlepsze spodnie! Kwintesencja wygody i luzu. Najlepsze kolorowe. Miło kojarzą mi się z latami 80.



BALSAM/POMADKA DO UST

Suche usta to dyskomfort. Absolutnie zawsze mam przy sobie coś, co je nawilża i ładnie podkreśla. Zwłaszcza podczas podróży – mała rzecz, a skuteczna.



NERKA

Albo jak to mówią na moją sakiewkę znajomi: truskawa. Zastępuje mi torebkę. Nie lubię ich! Z tą nerką byłam trzy razy w Czechach w różnych

latkach, miałam ją też na wielu koncertach – sprawdza się idealnie, używam jej codziennie!

OKULARY PRZECIWSŁONECZNE

Uzupełnienie wielu stylizacji, a przede wszystkim ratunek przed ostrym słońcem!



PUDER

Jeśli mogłabym zabrać tylko jeden kolorowy kosmetyk, z pewnością spakowałabym puder w kamieniu. Na szybkie przypudrowanie twarzy jak znalazł!



MIKROFON

Oczywiście do tego jeszcze własny statyw na mikrofon. Są to rzeczy osobiste wokalisty, z którymi się nie rozstaje. Zwłaszcza gdy jadę na granie.



PLEYTA CD

Jestem wychowana na płytach CD, dlatego nie wyobrażam sobie laptopa czy samochodu bez napędu CD-ROM, a „Introducing Joss Stone” to moja ulubiona. Warto też mieć przy sobie płytę z własną twórczością, na okazję dania prezentu.



PODUSZKA

Jeśli jest na nią miejsce w walizce, warto ją mieć. Na własnej poduszce odpoczywa się przecież najlepiej!



SZCZOTKO-SUSZARKA DO WŁOSÓW

Przedmiot, który daje niezależność podczas mieszkania poza domem. Własna regulacja temperatury, obrotowy kabel, 2w1 i miłsza stylizacja włosów!



HAMAK DO AERIAL DANCE

Bycie wokalistką nie zwalnia z utrzymywania dobrej formy fizycznej. Aerial dance to doskonała aktywność wzmacniająca wszystkie mięśnie oraz rozciągająca ciało.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Podziękowania dla warszawskiej restauracji Portobello Pizza & Pasta za pomoc przy realizacji sesji zdjęciowej.

OGNIEM NA WPROST

„Dzieło pomorskiej kultury”



Pojawiło się światelko w tunelu. Republikanie w Kongresie USA pod przewodnictwem senatora Pata Toomeya znaleźli sposób na unieważnienie umowy Bidena z Merkel dotyczącej gazociągu Nord Stream 2. Chodzi o zastosowanie Ustawy o przeciwdziałaniu przeciwnikom Ameryki poprzez sankcje, która została przyjęta w celu kontrolowania Donalda Trumpa. Znajduje się w niej klauzula, która pozwala Kongresowi zablokować odmowę prezydenta Stanów Zjednoczonych nałożenia restrykcyjnych środków przeciwko oponentom USA. Tym razem republikanie chcą zastosować tę normę ustawodawczą przeciwko prezydentowi USA Bidenowi. Rozważana jest nawet możliwość zerwania umowy między Waszyngtonem a Berlinem w sprawie Nord Stream 2, uznania spółki Nord Stream 2 AG z siedzibą w Szwajcarii za „przeciwnika” i wprowadzenia sankcji wobec tej firmy. „Niezależnie od błędnego wyboru politycznego administracji Bidena, prezydent jest zobowiązany do przestrzegania obowiązującego prawa... i nałożenia sankcji na Nord Stream 2 AG” – czytamy w oświadczeniu kancelarii senatora Toomeya. Temat popiera nawet część demokratów. Ich kongresmenka Marcy Kaptur stwierdziła nawet, że „wraz z naszymi sojusznikami w Europie Środkowo-Wschodniej sprzeciwiam się Nord Stream 2”. I proszę! Okazało się, że aktualne jest powiedzenie „Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada”.

pracy Transgranicznej Polska-Rosja 2014-2020. A Rosja, jak wiadomo, wspiera ruch LGBT wszędzie tylko nie u siebie. W Moskwie za propagowanie gender i tego typu dziwactw policja wali pałą po głowie. Gdańsk – miasto otwarte.

Niewątpliwie nadzieją polskiej kultury, tym razem muzycznej, są dwie renomowane wokalistki, które mają wyraźne problemy z głosem, czyli Mandaryna i Gosia Andrzejewicz. Mimo to właśnie one postanowiły nagrać cover utworu „All the things she said” rosyjskiego duetu Tatu. Ponieważ o obu „artystkach” świat zdaje się zaczął zapominać, postanowiły zabłysnąć i wesprzeć swoimi głosami niszowy już ruch zwolenników Marty Lempart. „Nie będziesz szła sama” – to tytuł piosenki, w której Mandaryna i Andrzejewicz wyrażają poparcie dla postulatów tzw. Strajku Kobiet. „To, co dzieje się w Polsce, przekracza wszelkie granice przyzwoitości. To nasz artystyczny manifest w tej sprawie” – uzasadniają swoje posunięcie panie. Manifest owszem, ale z artystyzmem to nie ma nic wspólnego.

Po niedawnym przeniesieniu gdańskiego Muzeum Bursztynu z Wieży Więziennej do Wielkiego Młyna otwarto okolicznościową ekspozycję. Obok eksponatów wystawy głównej zwiedzającym zaserwowano propagandę LGBT. Mogą sobie obejrzeć sztuczne penisy (bynajmniej nie z bursztynu), jakiś „order honorowy” dla obywateli miasta Słupska w barwach homoseksualnej tęczy (chyba za wybór Roberta Biedronia na prezydenta tego miasta), naczynnik z dildem czy inne tego typu akcesoria pasujące do wyrobów z jantaru, jak prosiak do siodła. Pikanterii dodaje to, że pomysł zrobienia z wystawy szlachetnego kamienia homochlewika pochodzi od dyrektorki placówki Renaty Adamowicz – żony brata śp. Pawła – prezydenta miasta. Na koniec się okazało, że pieniądze na to „dzieło pomorskiej kultury” znalazły się m.in. dzięki wsparciu z Programu Współ-

Na stronie izby niższej holenderskiego parlamentu podano, że 30 holenderskich esesmanów nadal dostaje niemieckie emerytury. Niektórzy otrzymują nawet po 16 tys. euro rocznie. Ponadto większość z nich nie zgłosiła tego holenderskim organom skarbowym. Posel Pieter Omtzigt, który z ramienia chadeckiej CDA od lat zajmuje się tą sprawą, teraz skierował zapytanie do sekretarza stanu w ministerstwie finansów Hansa Vrijlbriefa. Z odpowiedzi wynika, że wielu Holendrów walczących po stronie III Rzeszy podczas II wojny światowej nigdy nie zgłosiło władzom skarbowym pobieranej przez siebie niemieckiej emerytury wojskowej. Jak widać, kwestie fiskusa bardziej dotyczą Holendrów niż sam udział w formacji Germaansche-SS in Nederland czy SS-Viking ok. 4 tys. rodaków. Teraz, kiedy przychodzi do nich przekaz z emeryturką z Niemiec, zapewne podpiewują sobie pod nosem stary szlagier „Uns kann die ganze Welt / aber SS uns gefaellt” („Nam może skoczyć cały świat, ale fajnie jest w SS”).

Andrzej Rafał Potocki

Zmiana klimatu zmieni miasta

Dominująca w wielu polskich miastach „betonoza” powoduje w okresie letnim znaczny wzrost temperatury oraz ich podtopienia. Pokrywanie obszarów miast betonem i asfaltem sprawia, że deszczówka nie ma gdzie wsiąkać, a nierzadko niewydolna kanalizacja nie jest w stanie zapobiec zalewaniu piwnic czy podziemnych parkingów. Rozwój miast bez uwzględnienia konieczności pozostawienia odpowiedniego obszaru terenów zielonych prowadzi do powstawania wysp gorąca oraz stref narażonych na przedostawanie się wody w związku z likwidacją naturalnych drenaży.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Małopolskie Krzeszowice stały się w ostatnim czasie słynne po eksperymencie pewnego nastolatka, który na płycie tamtejszego rynku zdołał usmażyć jajecznicę, chcąc w ten sposób zwrócić uwagę na skutki rewitalizacji centrów miast, które często wiążą się z wycinką drzew i zastępowaniem terenów zielonych powierzchniami betonowymi. Zjawisko to następuje równolegle do gęstniejącej zabudowy mieszkaniowej. Tymczasem rośliny poprawiają mikroklimat, cyrkulację powietrza, jonizują powietrze i podnoszą jego wilgotność, osuszają grunt, a rozpraszając fale dźwiękowe, ograniczają hałas. Woda odparowana przez rośliny trafia do atmosfery, skąd ponownie spada na ziemię. Woda odprowadzona sztucznie za pomocą kanalizacji deszczowej trafia do naturalnego obiegu z opóźnieniem.

W obecnie obowiązującym stanie prawnym nierzadko bardziej oplaca się ponieść koszt kary administracyjnej, niż chronić środowisko. Zdaniem ekspertów prawo powinno określać minimalny procent zadrzewienia w strukturze terenów zielonych w miastach, a także usprawnić procedury służące uzyskiwaniu pozwoleń na inwestycje retencjonujące wodę oraz realnie sprzyjające ochronie środowiska.

W ostatnich tygodniach rząd przedstawił propozycję wprowadzenia miejskich planów adaptacji do zmian klimatu w miastach powyżej 20 tys. mieszkańców. Nowy akt prawa miejscowego ma być opracowywany przez władze miast z udziałem mieszkańców i uchwalany przez radę miasta. Będzie się on odnosił do nowo powstających i aktualizowanych strategii rozwoju gmin, studiów uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gmin oraz miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego. Rozważane jest, aby nowe przepisy objęły również nowelizację regulacji dotyczącej tzw. podatku deszczowego, czyli opłaty za zmniejszenie naturalnej retencji terenu spowodowanej poprzez jego zabudowanie, do której uiszczenia zobowiązani są aktualnie właściciele nieruchomości o powierzchni przekraczającej 3,5 tys. mkw. i zabudowanych co najmniej w 70 proc. Warto wspomnieć, że analogiczne opłaty obowiązują w Niemczech, we Włoszech, w Szwecji, Korei Południowej i USA.

Nowe regulacje mają rozszerzyć stosowanie podatku w Polsce na działki większe niż 600 mkw., na których co najmniej połowa powierzchni biologicznie czynnej pozostaje zabudowana. Planowane jest zwolnienie z podatku od deszczu nieruchomości o powierzchni powyżej 600 mkw. i poniżej lub równej 3,5 tys. mkw.

w przypadku zastosowania urządzeń do retencjonowania wody opadowej o pojemności powyżej 50 proc. odpływu rocznego z powierzchni uszczelnionych trwale związanych z gruntem. Kiluminutowy deszcz może przynieść ok. 70 l wody odprowadzonej z dachu o powierzchni do 100 mkw. Woda pochodząca z opadów atmosferycznych może służyć do podlewania roślin ogrodowych, mycia samochodów, a także być używana w domowych urządzeniach, takich jak choćby centralne ogrzewanie, pralki czy toalety.

Komisja Europejska przyjęła tzw. pakiet klimatyczny, wedle którego to w szczególności od 2050 r. odpowiednie przepisy wykluczą możliwość rozbudowy miast na dziewiczych terenach, co ma chronić rolnictwo, leśnictwo i przyrodę. W UE promowana jest bowiem wizja zwartego i zielonego miasta. Koncepcja zielonych miast pojawiła się w urbanistyce przeszło sto lat temu w odpowiedzi na rosnący poziom zanieczyszczenia środowiska oraz industrializacji, a także gwałtownego wzrostu liczby mieszkańców aglomeracji. W Polsce ta idea najszerzej została zrealizowana w szczególności w okolicach Warszawy: w Podkowie Leśnej, Milanówku, Komorowie. 

REKLAMA




"Księga" - ks. Łukasz Turek
i Paweł Kęska
sobota, godz. 20.10,
niedziela, godz. 9.10

"Ewangeliarz" - codziennie,
godz. 6.15, 12.02, 15.45 i 21.22

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Miłość w powstańczym kadrze

Koncert i płyta formacji Organek i jej gości uświetniły 77. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Tytułowy motyw eksponują piosenki inspirowane zdjęciami Eugeniusza Lokajskiego ps. Brok – sportowca, fotografa, powstańca, który poległ we wrześniu 1944 r.

– Historia Lokajskiego wywarła na mnie niesamowite wrażenie – zwierza się Tomasz Organek, lider zespołu, wokalista, kompozytor i tekściarz. – Z jego zdjęć, paradoksalnie dla czasu powstańczej pożogi, bije życie. Roześmiane młode kobiety, pary łączące się w małżeństwie, aż Bóg ich nie rozłączy, mężczyźni silni w swej wierze w zwycięstwo. Jest w tym wszystkim jakaś porywająca poezja.

Teksty ośmiu piosenek, ozdobione gitarową muzyką z elektronicznym podbiciem, powstały pod wrażeniem konkretnych kadrów Lokajskiego, dokumentujących zarówno prywatne życie bohaterów, jak i ich walkę na ulicach stolicy. Nie ma natrętniej wzniosłości, ale już otwierający płytę „Fo-

tograf Brok” ujawnia nutę nostalgii. Przewija się ona przez cały repertuar – od energetycznego, przebojowego wręcz „Idziemy w miasto” („na siedemnastą” oczywiście), poprzez taneczny „Sen duchów wolnych”, do kawalka tytułowego.



Adam Ciesielski

Patos, bardzo zresztą delikatny, pojawia się w kołysance „Idź synku, idź” we wzruszającej interpretacji Magdy Umer. Pozostali goście (Klaudia Szafrńska w „Lustreczku” i Ralph Kamiński w „Aniołach upadłych”) nie wypadli podczas koncertu tak efektownie, jak w nagraniu na płycie.

Ale całość bardzo udana. To kolejny oryginalny projekt muzyczny Muzeum Powstania Warszawskiego, które w latach poprzednich animowało znakomite albumy m.in. Tomasza Stańki, Lao Che, Voo Voo czy zespołu Młynarski – Masecki.



„Ocali nas miłość”
Organek
Wyd. Muzeum Powstania Warszawskiego,
dyst. Mystic Prod.

Po nawałnicach na Łyczakowie

Z Dorotą Janiszewską-Jakubiak,
dyrektorką Instytutu Polonika, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Zawirowania pogodowe nie oszczędzają tego lata również lwowskich zabytków. Co dzieje się teraz na cmentarzu Łyczakowskim?

Dorota Janiszewska-Jakubiak: Teren nekropolii jest gęsto porośnięty drzewami, które – jak to w miejskich przestrzeniach bywa – nie są mocno ukorzenione. Wiele starych drzew przez lata pozbawione było właściwej pielęgnacji. Łamiał się przy silniejszym wietrze. Niestety już ubiegłego lata burza uszkodziła na Łyczakowie niemal 70 zabytkowych nagrobków, a w końcu czerwca tego roku nad cmentarzem przetoczyła się kolejna nawałnica. Straty ponownie są dotkliwe.

Czym trzeba się zająć?

Komisja konserwatorska potwierdziła m.in. uszkodzenia niedawno odrestaurowanych pomników Woynarów (częściowo połamane), rodziny Ziętkiewiczów (niemal kompletnie rozbity) czy upamiętnienia rodziny Simonów, gdzie wiatr powalił obelisk oraz uszkodził

cenne żeliwne ogrodzenie. Trwa szacowanie strat. Jednocześnie warto przypomnieć, że na Łyczakowie prowadzone są prace także przy innych obiektach.

Których?

Kontynuowana jest konserwacja największego zabytku cmentarza – kaplicy Barczewskich. Trwają przygotowania do remontu kaplicy Dunin-Borkowskich z rzeźbami Hartmana Witwera oraz trzech nagrobków – dwa są dłuta Antona Schimsa, a jeden Hartmana Witwera. W ramach programów dotacyjnych MKDnS „Ochrona dziedzictwa kulturowego za granicą”, którym zarządza Polonika, oraz „Miejsca Pamięci Narodowej za granicą” w 2021 r. Fundacja Dziedzictwa Kulturowego rozpoczęła konserwację m.in. nagrobków: Jakuba Pieczonki, bp. Adama Jasińskiego, bp. Marcelego Gutkowskiego, Stanisława Zarwańskiego oraz grobowca Klamutów, w którym spoczywa prof. Mieczysław Gębarowicz.





11 326

Tytu sportowców bierze udział w igrzyskach olimpijskich w Tokio.

17 mln

Tytu Polaków otrzymało pełną dawkę szczepienia przeciwko COVID-19.

60 proc.

Tytu Polaków popiera pomysł wprowadzenia tzw. paszportów covidowych (za CBOS).



„Podobno pani poseł Marczulajtis naśmiewa się z mojej

wiary (...). Tak, każdy niesie swój krzyż, jeden jest lżejszy, drugi cięższy. Wierzę, że ci, co niosą ten ciężki krzyż na ziemi, tam w niebie będą mieć lżej”.

Zofia Klepacka

Spieszcie się zadawać pytania, bo niewiele tygodni wam zostało.

Groźba Rafała Trzaskowskiego dla TVP Info sprzed roku. Czy dziś pasuje bardziej do TVN24?



Jakbym miał zamknąć wiek XX wokół jednej postaci, to byłby to z całą pewnością rotnistrz Witold Pilecki.

– powiedział dr Karol Nawrocki, nowy prezes Instytutu Pamięi Narodowej.

zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLIŃSKI, PIOTR CWINYŃSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CECYLA KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODZIEDYCJA: ANNA ŁĄBECKA, ANIA ŁĄBECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDŁEŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

E-WENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

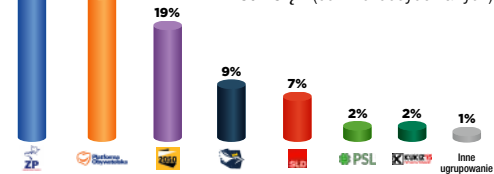


FOT. NA OKŁADKĘ: ANDRZEJ WIKTOR, MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK

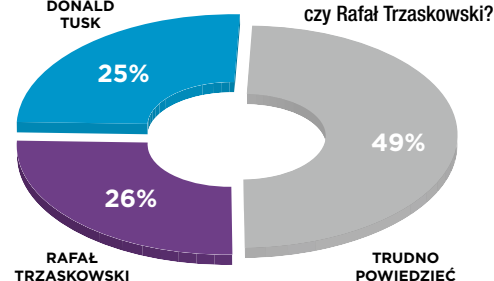


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

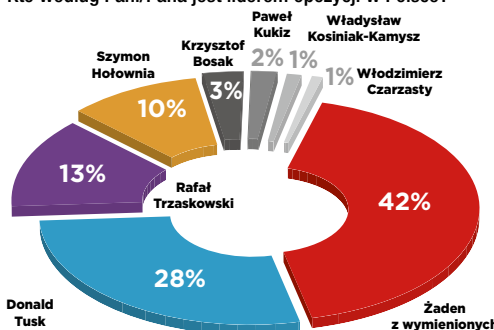
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



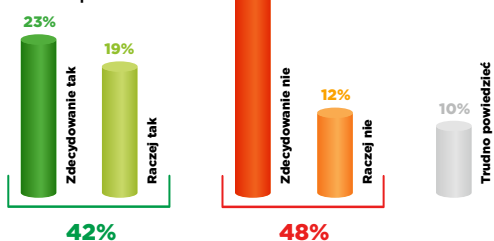
Kto według Pani/Pana byłby lepszym przewodniczącym Platformy Obywatelskiej – Donald Tusk czy Rafał Trzaskowski?



Kto według Pani/Pana jest liderem opozycji w Polsce?



Czy popiera Pani/Pan pomysł wprowadzenia w Polsce ograniczeń dla osób, które nie zaszczepiły się przeciwko koronawirusowi lub nie są ozdrowieńcami, polegających na tym, że nie mogłyby one korzystać np. z restauracji, hoteli, centrów handlowych, siłowni itp.?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1063. Zakres czasowy badania 16-19 lipca 2021 r.

Jestem gotowy na więzienie

Tak jak wszyscy musieli paść na kolana przed Hitlerem i Stalinem, tak teraz wszyscy mają paść na kolana przed gender. Ci, którzy tego nie robią, muszą zostać wyeliminowani



Z ks. *Dariuszem Oko*, skazanym w Niemczech za publikację artykułu o przestępstwach seksualnych w Kościele, rozmawia Goran Andrijanić

Niedawno opublikował książkę w Niemczech artykuł naukowy, w którym opisuje mechanizmy działania lawendowej mafii, tzn. wewnątrzkościelnej grupy przestępczej, która wykorzystuje seksualnie nieletnich i kleryków. W efekcie został książkę razem z redaktorem naczelnym czasopisma „Theologisches” skazany na grzywnę w wysokości 4,8 tys. euro za „podżeganie do nienawiści” oraz możliwą karę więzienia. Czy jest książka zaskoczony?

Dariusz Oko: Oczywiście nie jestem zaskoczony. W jakiś sposób koło się zamyka. Kiedy w 2004 r. rozpocząłem

obronę Kościoła i społeczeństwa przed homoideologią, moją główną motywacją była wiadomość o pastarze Åke Greenie ze Szwecji, który za jedno kazanie krytyczne wobec homoseksualizmu, oparte na Biblii oraz jego osobistym doświadczeniu, został oskarżony o „nawoływanie do nienawiści”. W tym momencie uświadomiłem sobie, że kolejna ideologia chce nad nami zapanować, a jej wyznawcy znowu sięgają po totalitarne środki i że musimy się bronić. Wiedziałem już od początku, że muszę się liczyć z więzieniem, i teraz to nastąpiło. Można się dziwić, że dopiero po 16 latach. To są podobne mechani-

zmy systemów totalitarnych. Ludzie, którzy nie mają Boga w sercu i odrzucają chrześcijaństwo, wyznawali wcześniej socjalizm bolszewicki albo socjalizm narodowy. I kiedy te socjalizmy były tak skompromitowane, że nie można ich było dalej wyznawać, zaczęli wyznawać socjalizm genderowy. Jego struktura i działanie są podobne do mechanizmu działania wcześniejszych socjalizmów. Oni chcą mieć totalną władzę nad nami, nad naszymi umysłami. Jak w Apokalipsie, wszyscy mają oddać pokłon bestii. Tak jak wszyscy musieli paść na kolana przed Hitlerem i Stalinem, tak teraz wszyscy

mają paść na kolana przed gender. Ci, którzy tego nie robią, muszą zostać wyeliminowani. Wcześniej załatwiano to kulą w głowę albo zastrzykiem fenolu w obozach koncentracyjnych, a teraz służy do tego więzienie.

Dogmatem ideologii gender jest uwielbienie homoseksualizmu jako czegoś, czego w żaden sposób nie można krytykować. Jakby osoby homoseksualne były postaciami boskimi, niepodlegającymi żadnej krytyce. Nawet w sytuacji, kiedy mowa jest o oczywistych zbrodniach homoseksualistów. Ale ja musiałem o tym powiedzieć. Kiedy 16 lat temu zacząłem krytykować homoideologię, wielu ludzi powiedziało mi, że nie wiem, co się dzieje w Kościele. Szybko się dowiedziałem, dlatego pisałem o homoherezji i homomafii. Teraz muszę iść za to do więzienia. I to jest potwierdzeniem moich tez o lawendowej mafii i o homoklikach, przed którymi należy bronić Kościoła. O tych zagrożeniach jasno mówili Benedykt XVI i Franciszek, a ja tylko staram się rozwinąć myśl papieży. Bo to jest strasznie zagrożenie. Chodzi o szajki lawendowej mafii w Kościele, rodzącej takich ludzi jak kardynał Theodore McCarrick z USA, który jako ksiądz gwałcił chłopców, ale to nie przeszkodziło mu zostać kardynałem. Podobnie działali kardynałowie Keith O'Brien ze Szkocji czy Hans Hermann Groër z Wiednia.

Lawendowa mafia jest potwornym zagrożeniem dla młodych mężczyzn w Kościele, tym bardziej że zaczynają tam panować warunki mafijne jak na Sycylii. Podobnie jak nie da się rozumieć sytuacji na Sycylii bez rozumienia, jaką rolę odgrywa tam mafia, nie da się także zrozumieć sytuacji w Kościele katolickim bez zrozumienia funkcjonowania lawendowej mafii.

Kim jest osoba, która złożyła zawiadomienie dotyczące księdza publikacji? Mówię o ks. Wolfgangu Rothem.

On jest właśnie prominentnym przedstawicielem lawendowej mafii. Chodzi o księdza, który publicznie błogosławił pary homoseksualne i to, jak widać, z poparciem biskupów niemieckich. Rothe był wicerektorem w austriackim seminarium w St. Pölten,

w czasach kiedy wybuchł tam skandal seksualny i kiedy się okazało, że odbywały się tam orgie homoseksualne. Rothe twierdzi, że jest niewinny, ale z seminarium musiał uciekać do Niemiec. Teraz promuje homoseksualizm, a siebie opisuje jako „apostola whiskey”, ponieważ uwielbia ten trunek i regularnie organizuje „pielgrzymki” do gorzelni w Szkocji. Niestety można powiedzieć, że on symbolizuje obraz Kościoła niemieckiego i lawendowej mafii. Mafii, która cieszy się tym, że wsadza innych ludzi do więzienia. Ale może to przyniesie dobre owoce, bo ludzie uświadamiają sobie, co się dzieje w Niemczech, że panuje tam totalitaryzm genderowy, a Kościół tańczy wokół homoseksualizmu jak naród żydowski wokół złotego cielca na pustyni.

Ksiądz naprawdę sądzi, że trafi do więzienia?

Staram się być gotowy na więzienie, bo tak to się może skończyć. Prof. Ulrich Kutschera, jeden z największych niemieckich genetyków, jako biolog krytykował mocno ideologię gender i jej absurdalną teorię 56 plci. Został oskarżony, a w tym momencie przeżywa kolejny proces trzeciej albo czwartej instancji. Co prawda, w pierwszej instancji został uniewinniony, ale jego przeciwnicy nie dali za wygraną. Jeśli tak męczą profesora niemieckiego, co zrobić z Polakiem?

A w tym samym czasie ks. Rothe błogosławi pary homoseksualne, mimo sprzeciwu Stolicy Apostolskiej, i nie grozi mu żadna kara.

Ale on jest gwiazdą Kościoła w Niemczech. Większość duchownych niemieckich i wiernych myśli tak jak on. On nadal działa, a ja i prof. Johannes Stöhr, który opublikował artykuł, mamy iść do więzienia. Kościół niemiecki uważa, że jest mądrzejszy od Jezusa. To nie jest Kościół Chrystusowy, ale hegeljański. Bo Hegel uważał, że jest mądrzejszy od Jezusa. I właściciele Niemcy teraz też tak myślą, że są mądrzejsi nawet od papieża i wszystkich innych episkopatów świata. Jeśli teraz akceptują homoseksualizm i takie „małżeństwa”, ju-

tro będą akceptowali poligamię i inne dewiacje, które już czekają w kolejce.

Ciekawi gotowość niemieckiego wymiaru sprawiedliwości do współpracy w tym ataku na wolność słowa.

Ataku na wolność religijną również. Bo ja ten artykuł napisałem jako naukowiec, ale trochę też jako prorok, który chce uratować Kościół przed lawendową mafią. Chcę ratować zagrożonych młodych kleryków przed seksualnymi predatorami jak McCarrick, a wymiar sprawiedliwości w Niemczech właśnie staje po jego stronie. Ta sytuacja pokazuje, że to państwo jest poddane ideologii. Ks. Rothe dobrze wiedział, co robi i jakie poparcie otrzyma, ponieważ gender jest oficjalną ideologią państwa niemieckiego. Sędzia był świadomy, że jeśli mnie uwolni, będzie miał kłopoty. A jak oskarży Polaka, nic mu się nie stanie. Co mu może zrobić Polaczek w państwie, w którym godzina pracy adwokata kosztuje 300 euro? Kogo z Polaków na to stać? Możliwe, że sędziowie kolejnych instancji też będą tak myśleć. Podobnie jak sędziowie byli poddani ideologii nazistowskiej i wydawali wyroki takie, jak chcieli narodowi socjaliści, teraz wydają wyroki tak, jak im dyktują socjaliści genderowi. Może jednak będą wśród nich sprawiedliwi, którzy oprą się homoterrorowi.

Szkoda, że Rothe zamiast pielgrzymki do gorzelni w Szkocji nie zorganizował pielgrzymki do Dachau, gdzie maltretowano blisko 1,9 tys. polskich księży i w bestialski sposób połowę z nich zamordowano. To tylko ok. 30 km od jego plebanii, pół godziny jazdy samochodem. Może to dałoby mu do myślenia.

Wydaje się, że wolność słowa na Zachodzie jest mocno zagrożona...

Bo tak działa ideologia. Tak jak nie było można krytykować Hitlera albo Stalina, teraz nie można krytykować gender i homoseksualizmu. Teraz nie mordują, ale wsadzają do więzienia. Tak stało się z pastorem z Bremen, Olafem Latzlem, który też ma podobny proces do mojego. Nasze historie mają służyć zastraszeniu innych. To jest

system totalitarny, w którym deptana jest wolność słowa, wolność religijna i wolność naukowa.

Z jednej strony mówi się o potrzebie walki przeciwko pedofilii w Kościele, a z drugiej praktykuje się w nim cenzurę.

Chodzi o pewne zakłamanie. Mówi się o walce z pedofilią, a przemilcza się, że pedofilia w Kościele w większości jest natury homoseksualnej. Nawet 80 proc. przestępców seksualnych w Kościele ma skłonności homoseksualne, a większość to efebofilia, czyli typowe dla gejów zбочenie polegające na pociągu do dorastających chłopców. To tak, jakby przy gwałtach na kobietach nie mówić, że większość z nich dokonują mężczyźni. My walczymy przeciw pedofilii, a nie wolno nam powiedzieć, że większość przestępców to homoseksualiści. Podczas synodu w Watykanie poświęconego walce z pedofilią słowo „homoseksualizm” było zakazane. To pokazuje, jak potężna jest ta mafia.

Mam wiele świadectw młodych kleryków, którzy uciekli z seminarium, ponieważ byli tam molestowani. Bo rządzą tam homoseksualiści, jak w polskim seminarium Orchid Lake w Stanach Zjednoczonych. My tracimy tysiące najlepszych powołań, a zostają nam członkowie lawendowej mafii.

Zakaz święcenia homoseksualistów, który zainaugurował Benedykt XVI w 2005 r., po prostu nie jest przestrzegany, i to w wielu seminariach. Przykładem są amerykańscy jezuici, którzy sprzeciwili się temu zakazowi i zaprosili homoseksualistów do swojej formacji. Niestety porządnym chłopakom coraz trudniej znaleźć miejsce, gdzie nie będą molestowani.

To jest straszne.

Niestety tak jest. Dlatego napisałem książkę „Lawendowa mafia”. Muszę bronić wspaniałych młodych ludzi, których ta mafia niszczy.

Zarzuty przeciwko księdzu opierają się na manipulacjach. Píše ksiądz np. w tekście o „pladze” przestępstw

pedofilskich, a to potem bywa określone jako mowa nienawiści wobec homoseksualistów. Jak się przeciwstawić tym manipulacjom?

Trzeba z tym walczyć poprzez prawdę. Cały artykuł jest wymierzony w mafię lawendową. Ja nie mówię o wszystkich homoseksualistach, bo wielu z nich może być bardzo porządnymi i szlachetnymi, a nawet świętymi i lepszymi ode mnie. Ja mówię o grupie przestępczej w Kościele, natomiast ks. Rothe rozszerza to na wszystkich i widać, że sąd i wielu go naśladują. Przypuszczam, że ani sąd, ani on nie przeczytali artykułu dostatecznie uważnie, bo jest długi i skomplikowany, tylko wyłapali parę słówek. Wyrok sądu niemieckiego na-

Podczas synodu w Watykanie poświęconego walce z pedofilią słowo „homoseksualizm” było zakazane. To pokazuje, jak potężna jest mafia lawendowa

wet nie podaje, jaką to grupę obrazam. Skazują człowieka na cztery miesiące więzienia, ale mogą dołożyć więcej w kolejnych instancjach, a nie podają, kogo właściwie obrażam. Pewnie zdają sobie sprawę, jak nieprawdziwe i trudne do utrzymania jest ich oskarżenie.

Jak walczyć? Należy zdawać sobie sprawę, że mamy do czynienia z totalitarnym systemem kłamstwa i przemocy, a więc trzeba się bronić. Tak jak w komunizmie – poprzez prawdę, odsłanianie kłamstw, tak jak robił to Leszek Kołakowski. Przeczytałem prawie wszystkie jego książki i to, jak on krytykował bolszewicki socjalizm. Na jego wzór krytykuję socjalizm genderowy.

Moja walka to praca intelektualna. Polega ona na uświadamianiu ludziom, z czym mamy do czynienia. Jak trzeba będzie, to pójdę do więzienia albo do podziemia. Czasami trzeba przegrać, żeby wygrać. Jak Jezus albo Sokrates. Ciekawe, że ten niejako „ojciec” największej filozofii greckiej został ska-

zany na śmierć właśnie pod wpływem homoseksualistów. To oni odgrywali główną rolę w jego skazaniu i zamordowaniu. W obu przypadkach są podobieństwa. Mord sądowy na Jezusie, na Sokratesie, na kilku tysiącach polskich kapłanów.

Czy ten totalitaryzm, o którym ksiądz mówi, trafi do Polski?

Zawsze powtarzam, że cokolwiek dzieje się w Polsce czy w Kościele polskim, to u nas, mimo wszystko, i tak jest najlepiej. Pan, pochodzący z Chorwacji, może to potwierdzić, że Kościół polski jest najmocniejszy, ma wciąż sporo powołań, wiernych w kościołach, żywe są wspólnoty, dlatego mamy szansę wygrać, tak jak wygraliśmy w przeszłości. Mam na myśli Bitwę Warszawską z 1920 r. Zwyciężyliśmy z pomocą Bożą. Podobnie teraz, jeśli się zmobilizujemy, to możemy wygrać z nawałą Zachodu, bo jesteśmy najbardziej wierzącym narodem kultury zachodniej, ale także mamy doświadczenie. My, Polacy, cierpieliśmy szczególnie na skutek zastosowania w praktyce ideologii – socjalizmu narodowego i bolszewickiego, stąd wiemy, jak zbrodnicze i absurdalne są to teorie. Nasza mądrość płynie więc z wiary i doświadczenia historycznego. Niemcy i Rosjanie wspólnie zamordowali naszą stolicę w powstaniu warszawskim, ale moralnie to Warszawa wygrała. Najbardziej znani Niemcy i Rosjanie XX w. kojarzą się głównie z nazwiskami zbrodniarzy, a kiedy mówimy o Polakach, od razu przychodzi nam do głowy św. Faustyna, Jan Paweł II, św. Maksymilian Kolbe. Na tym polega różnica między wiarą a ideologiami, między Polakami a Rosjanami i Niemcami. Na tym polega nasza szansa, Słowian generalnie.

W procesie w Niemczech bronią nas adwokaci chorwacki i bułgarski, którzy pracują w Niemczech. Nawet jeśli zamkną nas w więzieniu, jeżeli tak „przegramy”, to możemy zarazem odnieść największe zwycięstwo. Jak Jezus, Sokrates, o. Kolbe, ks. Popiełuszko, rtm. Pilecki. Ważne, żeby wygrać moralnie. Ja staram się tylko być wierny do końca, jak oni – i modłę się o to. 

ENERGETYCY w Powstaniu Warszawskim

ENERGY WORKERS IN THE WARSAW UPRISING



77 lat temu pracownicy Elektrowni Powiśle pod dowództwem kpt. Stanisława Skibniewskiego „Cubryny”, po heroicznej walce, przejęli kontrolę nad elektrownią. W pierwszym dniu walk był to jeden z najważniejszych sukcesów militarnych Powstańców. Jeszcze większym sukcesem była obrona i utrzymanie dostaw energii elektrycznej dla walczącej Warszawy, co pozwoliło funkcjonować walczącemu miastu. Dzisiaj, jako przedstawiciele branży energetycznej, oddajemy hołd bohaterskim Energetykom.

Europa Środkowa mówi o zdradzie

Stary świat gwarantujący nam bezpieczeństwo i prosperity odchodzi w przeszłość. Państwa pozycjonują się w nowym porządku, w którym bardziej będzie się liczyła realna siła



MAREK BUDZISZ

Fiodor Łukjanow, przenikliwy rosyjski ekspert ds. międzynarodowych, komentując zawarcie między prezydentem Joem Bidenem a kanclerz Angelą Merkel porozumienia w sprawie Nord Stream 2, napisał, że jest ono zwiastunem nowych czasów. Już samo to, że sformułowano deklarację na piśmie, świadczy jego zdaniem o zmianie relacji między Berlinem a Waszyngtonem. W przeszłości, kiedy dominacja Stanów Zjednoczonych nie była kwestionowana, żadne tego rodzaju dokumenty nie były potrzebne. Zwłaszcza kiedy Niemcami rządili chadecy – a tak było przez 50 z 70 lat powojennej historii – wystarczyło, że amerykańscy prezydenci formułowali linię sojuszniczej polityki, a Berlin bez nadmiernych wątpliwości dostosowywał się do niej. Te czasy minęły, a w opinii Łukjanowa batalia o Nord Stream 2 stała się punktem przełomowym w historii Europy i zwiastuje nadejście nowych realiów.

PODERWANE ZAUFANIE DO USA

Pytanie tylko, na czym ten przełom polega? Niektórzy amerykańscy komen-

tatorzy, tacy jak profesorowie Kiron Skinner i Russell A. Berman, którzy w przeszłości doradzali w Departamencie Stanu, napisali wręcz, że Biden „poddął się Merkel”, zakwestionował politykę dwóch poprzednich administracji, poszedł wobec Niemiec na znaczące ustępstwa, niczego w zamian nie uzyskując. Mało tego, skutkiem tej polityki będzie globalne zmniejszenie amerykańskich możliwości i wpływów. W Polsce, na Ukrainie i w państwach bałtyckich, ale zdaniem amerykańskich naukowców podobnego rodzaju reakcji można się spodziewać w całym regionie, elity państwowe czynią uważać, że Ameryka gotowa jest poświęcić ich interesy, w tym w zakresie bezpieczeństwa, w imię własnych partykularnych celów. Sojusznicze państwa arabskie, takie jak Jordania czy Arabia Saudyjska, zastanawiają się już zapewne, co warta jest amerykańska polityka sankcji wobec Iranu, skoro Waszyngton tak łatwo ustąpił w kwestii Nord Stream 2. Nie odbuduje się też w ten sposób jedności atlantyckiej, bo jak można ufać w zapewnieniu Niemiec – argumentują Skinner i Russell – kraju, który szczyci się tym, że złamał swoje deklaracje w sprawie wydawania 2 proc. PKB na obronę i oszukał w ten sposób sojuszników. Berlin wiele ugrał, niczego nie poświęcając, Stany Zjednoczone poszły na duże ustępstwa, nie uzyskując niczego w zamian.

Mało tego, w Moskwie i w Pekinie już doskonale wiedzą, że amerykańskie sankcje nie będą ani nadmiernie dolegliwe, ani też długotrwałe, co tylko wzmocni

ich wolę, aby „przeczekać”. Oczywistym skutkiem porozumienia Bidena i Merkel będzie upowszechnienie się w świecie przekonania, że Ameryka jest słabsza, bardziej skoncentrowana na swoich problemach i skłonna do ustępstw.

A może w całej sprawie chodzi o coś zupełnie innego? Niektórzy amerykańscy eksperci, np. Daniel Yergin, specjalista w zakresie rynków ropy i gazu, już od pewnego czasu postulowali zmniejszenie presji sankcyjnej na Nord Stream 2, co miało być gałązką oliwną wobec Rosji i w konsekwencji doprowadzić do osłabienia związków Moskwy z Pekinem. Przygotowanie kraju do strategicznej rywalizacji z Chinami jest głównym celem politycznym Bidena, więc w imię tego nieraz trzeba się zdobyć na niepopularne kroki. Ten klasyczny geopolityczny manewr w stylu Henry'ego Kissingera miałby zmienić relację sił w świecie i zwiększyć możliwości USA. Tyle że, jak zauważył Michael McFaul, były amerykański ambasador w Moskwie, Kissinger, wsiadając w 1971 r. do samolotu lecącego do Pekinu, odwiedzał kraj, który był w ostrym politycznym, a wcześniej nawet wojennym konflikcie ze Związkiem Sowieckim, co znakomicie ułatwiało jego zadanie. Teraz mamy do czynienia z przyjaźnią między Putinem a Xi Jinpingiem i trudno sobie wyobrazić, argumentuje McFaul, aby Moskwa zerwała związki z Chinami, które są fundamentem jej polityki, w imię niepewnego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. W jego opinii polityka w stylu „odwróconego Kissingera” byłaby zbudowa-



Fot. Doug Miller/POOL/CNP/afartraspho

wana nie tylko na fałszywych założeniach, a przez to nieskuteczna, lecz również Ameryka musiałaby zapłacić za zbliżenie z Rosją, poświęcając Ukrainę i Gruzję. A to oznaczałoby, zdaniem McFaula, uznanie rosyjskich stref interesów w Europie Środkowej i zawarcie czegoś w rodzaju Jałty 2.0.

MOCNE SŁOWA O ZDRADZIE

Kiedy się czyta głosy polityków i liderów opinii publicznej z państw naszej części Europy, to ma się wrażenie nie tylko głębokiego rozczarowania polityką Bidena, lecz również głęboko zakorzonego przekonania, że „Rosja wraca”, będzie chciała i mogła znacznie więcej znaczyć w Europie Środkowej, a na wsparcie Waszyngtonu można liczyć coraz mniej.

Gabrielius Landsbergis, litewski minister spraw zagranicznych, powiedział w wywiadzie, że niemiecko-amerykańskie porozumienie w kwestii Nord Stream 2 jest „wielkim zwycięstwem Putina” i „pomyłką, za którą przyjdzie nam drogo zapłacić”. Ton komentarzy na Ukrainie jest jeszcze ostrzejszy. Powszechnie mówi się o zdradzie, a deklarację sygnowaną przez Merkel i Bidena przyrównuje do memorandum budapeszteńskiego. Dokumentu, który miał gwarantować Ukrainie nienaruszalność granic, a okazał się wart tyle,

ile papier, na którym został spisany. Kijowowi w tym roku nie udało się zrealizować właściwie żadnego z deklarowanych celów politycznych. Ukraina nie uzyskała planu członkostwa w NATO, Zelenski nie został nawet zaproszony na szczyt paktu do Brukseli, nie ma przełomu w kwestii Donbasu, a ostatnio z Waszyngtonu nadeszła informacja, że ani Biden, ani Harris nie przybędą na spotkanie Platformy Krymskiej – inicjatywy, do której Kijów przywiązuje wielką wagę. Na to nałożyło się bolesne przeświadczenie o tym, że jest się w sposób otwarty lekceważonym. Niemcy i Amerykanie nie uznali za stosowne konsultować z sojusznikami z Europy Środkowej swych decyzji w sprawie Nord Stream 2, co zdaniem wielu ukraińskich komentatorów oznacza kres polityki „nic o nas bez nas”, a nawet – jak informowało politico.com – urzędnicy Departamentu Stanu wywierali presję na Kijów, aby ten nie krytykował zbyt ostro decyzji w sprawie gazociągu. Już po rozmowach Merkel–Biden w Waszyngtonie niemiecka kanclerz wróciła do kwestii „formuły Steinmeiera”, czyli faktycznej zgody Ukrainy na to, aby wybory w Donbasie odbyły się na warunkach i pod kontrolą Moskwy i jej sojuszników. To oznacza, że zwycięża polityka ustępstw wobec Rosji, a nie można wykluczyć, że niemiecki

upór, aby nie dostarczać Ukrainie sprzętu wojkowego, może się stać również linią polityczną obowiązującą w Waszyngtonie.

NOWE POLE GRY

Proamerykańscy politycy na wschodniej flance NATO „nie mają innej opcji, jak tylko Waszyngton” – otwarcie napisali o tym Kiron Skinner i Russell A. Berman, a w związku z tym mogą być lekceważeni i pomijani. Czy rzeczywiście?

Jeśli zgodzić się z argumentacją, a w świetle tego, co stało się w Waszyngtonie, jest to dość oczywiste, że Ameryka jest nie tylko słabsza niż w przeszłości, lecz również ma tego świadomość, dlatego „ceduje” niektóre obszary na sojuszników, w tym wypadku na Niemcy, to oznacza otwarcie nowego pola gry.

Berlin jest silny gospodarczo i normatywnie, kontrolując Unię Europejską może narzucać „reguły gry” państwom naszego regionu, ale w innych obszarach jest słaby i to otwiera pewne możliwości naszym krajom. Jak napisał Robert Dalsjö, ekspert szwedzkiego think tanku wojskowego FOI, „smutne jest to, że podczas gdy wszyscy ufają solidnemu Bundesbankowi, Bundeswehra to koszmar i niewielu odważyłoby się zaufać gwarancjom bezpieczeństwa sformułowanym przez RFN”.

Ten sam ekspert, po informacji o zakupie przez Warszawę 250 Abramsów, napisał, że „Polska ma potencjał, aby stać się tym, czym był RFN w czasach zimnej wojny – silnym państwem frontowym”. Do tychczas wykorzystywała, w jego opinii, te możliwości „tak sobie”. W takim ujęciu nowoczesna i silna armia gwarantująca bezpieczeństwo całemu regionowi jest nie tylko odpowiedzią na rosnące zagrożenia ze strony Moskwy, lecz przede wszystkim narzędziem poprawiającym pozycję Polski w relacjach z sojusznikami. Głównie z tego powodu, że będąc świadkami zmierzchu porządku multilateralnego, opartego na umowach i zasadach, wchodzimy w epokę, w której większe znaczenie będą odgrywać siła i potencjał państw uczestniczących w rozgrywce międzynarodowej. Nie oznacza to, że układy i porozumienia wielostronne przestaną się liczyć, a jedynie to, że w kształtującym się nowym świecie samo odwoływanie się do umów i wartości może już nie wystarczyć. Bolesnie doświadczają tego dziś Ukraina.

Być może kontury nowego świata wcześniej od innych dostrzegł Viktor Orbán, który nie tylko współpracuje z rosnącymi w siłę graczami spoza UE, w rodzaju Turcji, lecz również świadomie i celowo eskaluje napięcie na linii Budapeszt – Bruksela. Jego ostatnie decyzje w sprawie referendum związanego z ustawą zakazującą propagandy homoseksualizmu, co wzbudziło wściekłość na Zachodzie, ale przede wszystkim deklaracja, że „Węgry stworzą własny fundusz odbudowy”, jeśli Unia zablokuje środki, pokazują nie tylko gotowość do twardej rozgrywki, lecz również świadomość własnych atutów i słabości konkurentów. Jeśli Orbánowi uda się pozyskać za plecami Brukseli środki na rozwój kraju, to czy Unia wzmocni się w wyniku wojny z Budapesztem? Jeśli politycy niemieccy mówią, że współpraca gospodarcza z Rosją nie ma wymiaru geostrategicznego i nie wiąże się z przyjmowaniem moskiewskiego punktu widzenia, to dlaczego zachodnie inwestycje w Europie Środkowej miałyby pociągać za sobą przyjmowanie liberalnej agendy cywilizacyjnej? Jeśli Berlin nie kontroluje, o czym wielokrotnie mówił, własnego biznesu, który chce inwestować

w Moskwie, to czy ma moc powstrzymania napływu kapitałów do Europy Środkowej? Wreszcie silnie zmitologizowane i używane w postaci strasaka na ogólną publiczność zagrożenie wyrzuceniem z UE. Jeśli prawda jest, a co do tego nikt nie ma raczej wątpliwości, że na Unii opiera się dzisiejsza pozycja i potęga Niemiec, to czy Berlin, „pozbywając” się Europy Środkowej, będzie działał na własną szkodę?

Nie sprawdziły się też prognozy o krachu brytyjskiej gospodarki po brexicie i odpływie kapitałów z Londynu, co może oznaczać, że z gospodarczego punktu widzenia „gdzie indziej też jest życie”. Nie-

Kiedy czyta się głosy liderów opinii publicznej z państw naszej części Europy, to ma się wrażenie nie tylko rozczarowania polityką Bidena, lecz również głęboko zakorzonego przekonania, że „Rosja wraca”

wątpliwą prawdą jest, że ostatnie 20 lat to dla państw Europy Środkowej czas szybkiego rozwoju i bezpieczeństwa. Czy jednak był to „prezent” od Zachodu, za który nie zapłaciliśmy wysiłkiem całego pokolenia pracującego znacznie więcej niż np. we Włoszech i Hiszpanii, za ulamek tamtejszej płacy? Niewątpliwie na akcesji do Unii skorzystaliśmy, ale czy „stara” Europa straciła?

Wreszcie mówienie o polityce opartej na wartościach w przypadku Niemiec jest w gruncie rzeczy zabiegiem dość humorystycznym. Mamy do czynienia raczej z parawanem skrywającym realne interesy. Dobrym przykładem jest tu Bułgaria. Bojko Borysow, były premier, ulubieniec Merkel, nigdy nie stał się ze swoich 10-letnich rządów obiektem krytyki, nie mówiąc już o unijnych postępowaniach, bo zawsze był lojalnym „żołnierzem” niemieckiej kanclerz. Sofia nie naruszyła praworządności, mimo że

na polecenie Borysowa służby specjalne na masową skalę podsłuchiwały polityków opozycji. Bułgaria nie została też skrytykowana za rozpanoszoną korupcję i najsłabsze w UE tempo szczepień przeciw COVID-19. Bruksela nie zaczęła postępowania w sprawie korupcji nawet po tym, jak media obiegały zdjęcia z sypialni Borysowa, wówczas premiera, zrobione ponoć przez luksusową prostytutkę, na których widać było przechowywane przezeń sztaby złota i paczki banknotów euro, ponoć z łapówek. Do działania unijnych biurokratów nie skłoniło nawet to, że w czerwcu amerykańskie Ministerstwo

Finansów wpisało na listę objętych sankcjami za korupcję, co po raz pierwszy dotknęło podmioty z UE, 80 bułgarskich firm i trzech polityków. Zaniepokojenia Brukseli nie wzbudziły także informacje o tym, że kontrolowany przez ludzi Borysowa niewielki bank przeznaczył 500 mln euro ze środków unijnych na kredyty dla ośmiu zaprzyjaźnionych firm powiązanych z władzą.

WALCZ I NEGOCJUU

Stary świat gwarantujący nam bezpieczeństwo i prosperity odchodzi w przeszłość. Państwa pozycjonują się w nowym porządku, w którym bardziej będzie się liczyła realna siła.

Zresztą w różnych wymiarach, zarówno tradycyjnym wojskowym, jak i normatywnym, a także gospodarczym. Nie oznacza to zerwania z sojusznikami i poszukiwania nowych aliansów, ale wymusza potrzebę nowego rozumienia polityki. Przystanie ona być domeną spokojnych uzgodnień i cyzelowania kompromisów, bo na to, w obliczu szybko rysujących się zmian, nie będzie nawet czasu. Stanie się ona bardziej nerwowa, elastyczna, zmienna, oparta na formule „walcz i negocjuj”. Trochę jak dzisiejsze stosunki Turcji i Rosji, państw w tym samym czasie ostro ze sobą rywalizujących, ale też dobrze w niektórych obszarach współpracujących. Już raczej nie będziemy „wielką rodziną” narodów europejskich. Nasze stosunki bardziej będą przypominać relacje między sąsiadami, dobrze ze sobą żyjącymi, ale którym zdarzają się konflikty. Te państwa, które pierwsze zrozumieją naturę nowych porządków, mają szansę na tym wygrać. 



ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ

w dodatku historycznym przeczytasz:

- Jakimi były cele bolszewików i jaka odpowiedź Polaków?
- Jak wyglądało decydujące starcie pod Radzyminem?

Świętujemy polskie zwycięstwo dla wolności Europy!



eprasa.pl 8082949bba

Europa wraca do czasów Bismarcka i Gorczakowa

Ekipa, która doszła do władzy w Waszyngtonie, jest owładnięta duchem misyjnym, chęcią realizacji pewnego skrajnie ideologicznego programu. Jak długo będzie to trwało, tak długo niebezpieczny dla naszego położenia trend może się utrwać. Czy demokracja pozwoli skorygować ideologiczny zapal obecnej administracji i wynikające z niego strategiczne błędy?

Nie wiadomo, ale to prawdopodobny scenariusz

*Z prof. **Andrzejem Nowakiem** rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski*

Wobec kapitulacji Bidena w Europie i zbliżenia rosyjsko-niemieckiego można odczuwać zaniepokojenie, powtórkę z konferencji monachijskiej 1938 r. Czy pan profesor również tak to postrzega?

Andrzej Nowak: Myślę, że to nieadekwatne porównanie. Warto przypomnieć słowa ministra Sikorskiego, który kilkanaście lat temu porównał już Nord Stream 1 do paktu Ribbentrop–Mołotow, a więc do zagrożenia polskiej niepodległości, a później sam współpracował z państwami budującymi ten gazociąg. Dotąd na szczęście wojna nie wybuchła, choć niewątpliwie więzy Moskwy i Berlina się jakby zacieśniają i oczywiście mogą ścisnąć naszą szyję. Konferencja monachijska była wynikającym z głupoty i tchórzostwa mocarstw zachodnich preludeum do II wojny światowej, do śmierci kilkudziesięciu milionów ludzi. Dziś taki straszny scenariusz nie wydaje się realny. Choć trzeba przypomnieć, że rozlew krwi już trwa: przecież Rosja dokonała agresji na Ukrainę i na froncie pod Donieckiem nadal giną ludzie.

Czy więc analogie historyczne nie mają tu sensu?

Jeśli porównywać obecną sytuację do przeszłości, to bardziej niż wojna grozi nam powrót do tzw. koncertu mocarstw, czyli ukształtowanego w czasie rozbiorów Rzeczypospolitej i trwającego przez wiek XIX podziału stref wpływów między imperialnymi ośrodkami. Europa Środkowo-Wschodnia była w nim traktowana jako naturalna domena trzech naszych zaborców: Prus, potem II Rzeszy, Imperium Rosyjskiego i cesarstwa Habsburgów. Tego ostatniego już nie ma, za to odradza się niewątpliwie pokusa zaakceptowania układu, w którym nasza część Europy to strefa dominacji Niemiec i Rosji – do rozgraniczenia ponad

głowami jej mieszkańców. To nie jest analogia z czasami paktu Ribbentrop–Mołotow, ale z okresem porozumienia kanclerzy Bismarcka i Gorczakowa. Władimir Putin lubi przywoływać ten przykład w swoich wywiadach dla niemieckich telewizji – jako model doskonale urządzonej Europy.

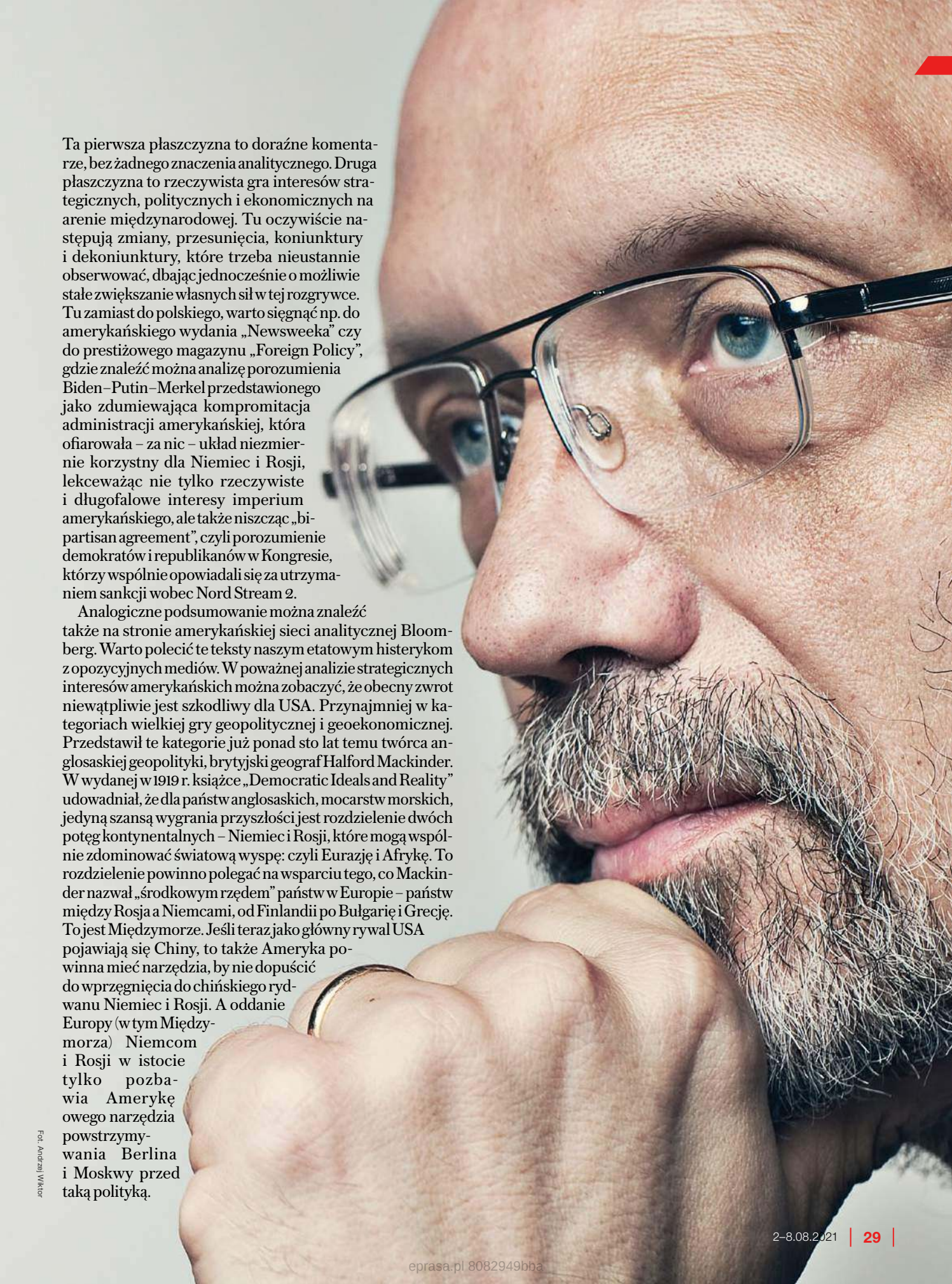
Ale odwrócenie się Białego Domu od naszego regionu nie wróży niczego dobrego.

Ameryka jako globalne mocarstwo wciąż ma tutaj strategiczne interesy i nadal jest obecna, także w Polsce, w ostatnich latach bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Może się stąd wycofać tylko z wielką stratą dla swoich interesów.

Ostatnie miesiące to jednak lawina złych wiadomości. Zwrot w Białym Domu, porozumienie niemiecko-rosyjskie, kończenie Nord Stream 2, projekty ideologiczne w Unii...

Warto to rozważać na trzech płaszczyznach. Pamiętajmy, że część tych wydarzeń jest uduktowana przez niektóre środowiska dziennikarskie, żeby wywołać atmosferę strachu i uderzyć w przeciwnika politycznego, czyli w polski rząd. Komentarze Onetu, „Wyborczej”, TVN, czy tzw. polskiego „Newsweeka” są już tak żenująco zaściankowe i histeryczne, że nie da się z nimi dyskutować. Z tych komentarzy, jakby pozbawionych jakiegokolwiek rozeznania w polityce międzynarodowej, wynika, że cała polityka światowa, a już na pewno amerykańska, kręci się wokół decyzji, rzekomo podjętej przez Jarosława Kaczyńskiego, o zniszczeniu TVN. Politycy PO wygłaszają tezy, że umowa Biden–Putin to właściwie efekt „lex TVN”...

Czyli jedna płaszczyzna to histeria środowisk – tych samych co zwykle. A kolejne?



Ta pierwsza płaszczyzna to doraźne komentarze, bez żadnego znaczenia analitycznego. Druga płaszczyzna to rzeczywista gra interesów strategicznych, politycznych i ekonomicznych na arenie międzynarodowej. Tu oczywiście następują zmiany, przesunięcia, koniunktury i dekonunktury, które trzeba nieustannie obserwować, dbając jednocześnie o możliwie stałe zwiększanie własnych sił w tej rozgrywce. Tu zamiast do polskiego, warto sięgnąć np. do amerykańskiego wydania „Newsweeka” czy do prestiżowego magazynu „Foreign Policy”, gdzie znaleźć można analizę porozumienia Biden–Putin–Merkel przedstawionego jako zdumiewająca kompromitacja administracji amerykańskiej, która ofiarowała – za nic – układ niezmierzenie korzystny dla Niemiec i Rosji, lekceważąc nie tylko rzeczywiste i długofalowe interesy imperium amerykańskiego, ale także niszcząc „bi-partisan agreement”, czyli porozumienie demokratów i republikanów w Kongresie, którzy wspólnie opowiadali się za utrzymaniem sankcji wobec Nord Stream 2.

Analogiczne podsumowanie można znaleźć także na stronie amerykańskiej sieci analitycznej Bloomberg. Warto polecić te teksty naszym etatowym historykom z opozycyjnych mediów. W poważnej analizie strategicznych interesów amerykańskich można zobaczyć, że obecny zwrot niewątpliwie jest szkodliwy dla USA. Przynajmniej w kategoriach wielkiej gry geopolitycznej i geoeconomicznej. Przedstawił te kategorie już ponad sto lat temu twórca anglosaskiej geopolityki, brytyjski geograf Halford Mackinder. W wydanej w 1919 r. książce „Democratic Ideals and Reality” udowydniał, że dla państw anglosaskich, mocarstw morskich, jedyną szansą wygrania przyszłości jest rozdzielenie dwóch potęg kontynentalnych – Niemiec i Rosji, które mogą wspólnie zdominować światową wyspę: czyli Eurazję i Afrykę. To rozdzielenie powinno polegać na wsparciu tego, co Mackinder nazwał „środkowym rządem” państw w Europie – państw między Rosją a Niemcami, od Finlandii po Bułgarię i Grecję. To jest Międzymorze. Jeśli teraz jako główny rywal USA pojawiają się Chiny, to także Ameryka powinna mieć narzędzia, by nie dopuścić do wprzęgnięcia do chińskiego rydwanu Niemiec i Rosji. A oddanie Europy (w tym Międzymorza) Niemcom i Rosji w istocie tylko pozbawia Amerykę owego narzędzia powstrzymania Berlina i Moskwy przed taką polityką.

Gdzie zatem szukać źródeł tego błędu?

Tkwią one w trzeciej płaszczyźnie rozumienia obecnej sytuacji: cywilizacyjnej czy, jak kto woli, ideologicznej. Ekipa, która doszła do władzy w Waszyngtonie, jest owładnięta duchem misyjnym, chęcią realizacji pewnego skrajnie ideologicznego programu. Tak też gest Bidena wobec Merkel i projektu Nord Stream odczytuje amerykański „Newsweek”: Biden i Kamala Harris chcą wzmocnić Berlin jako ośrodek nowej wspianej Europy – wzoru ideologicznego postępu i oddać „reakcyjne peryferie”, czyli kraje trójkąta Wyszehradzkiego – pod kontrolę Niemiec. Przede wszystkim jednak ekipa prezydencka w USA chce realizować we własnym kraju rewolucję kulturalną, taką mniej więcej jak Mao w Chinach ponad pół wieku temu. Ale Ameryka to nie komunistyczne Chiny. Już w przyszłym roku będą w USA wybory, w których zmieni się skład całej Izby Reprezentantów i 1/3 senatu. Czy demokracja pozwoli skorygować ideologiczny zapal obecnej administracji i wynikające z niego strategiczne błędy? Nie wiadomo, ale to prawdopodobny scenariusz.

Na razie sytuacja jest taka, że Polsce istotnie trudniej jest trafić do amerykańskiego partnera za pomocą racjonalnych argumentów, finansowych, militarnych czy strategicznych. Trudniej, ale trzeba próbować – bo na pewno nie cała Ameryka, nawet nie cała Ameryka „urzędowa” (np. Pentagon), zapomina o prostych zasadach kalkulacji swoich zysków i strat. Jak długo jednak rząd USA zajmuje się wielką wizją zmiany świata w duchu ideologii postępu, tak długo niebezpieczny dla naszego położenia trend może się utrzymywać. Dlatego właśnie kwestia cywilizacyjna wydaje mi się najważniejsza. I na niej powinniśmy skupić więcej uwagi.

Lewica amerykańska tłumaczy to jednak interesami – trzeba rozdzielić Rosję i Chiny, a nie koncentrować się na Europie.

Ale nie widać najmniejszych nawet perspektyw, by oddzielić Rosję od Chin. Zresztą jak – przez Mongolię? Oddanie Europy Wschodniej Putinowi na pewno Rosji od Chin nie oddzieli. Kurs międzynarodowej polityki Moskwy został już dawno wytyczony przez KGB – trzymać się Chin, dopóki trwa rywalizacja z Ameryką, czyli dopóki istnieje Ameryka. Powtórzmy zatem – rozdzielenie Niemiec i Rosji pozwoliłoby Waszyngtonowi wpłynąć na oba te kraje, tworzenie osi Niemcy–Rosja–Chiny jest zaś opcją najgorszą z możliwych. Biały Dom prędzej czy później będzie musiał wrócić do koncepcji Trójomorza – i to ze stolicą w Warszawie, bo przecież ten projekt ze stolicą w Berlinie nie ma żadnego sensu.

Czyli musimy przeczekać gorszy okres?

Ameryka albo się rozpadnie, albo otrzeźwieje – być może już w przyszłorocznych wyborach. Okaże się wtedy, że nasze dzisiejsze rozważania o plagach, jakie spadają na Polskę, będą już tylko wspomnieniem. Tymczasem nie tylko w USA sytuacja jest dynamiczna: we wrześniu odbędą się wybory federalne w Niemczech, które wyłonią nowego kanclerza. Widać teraz dwoje kandydatów do tego fotela. Kandydat CDU Armin Laschet, namiętny obrońca polityki imigracyjnej Merkel, wielokrotnie wypowiadał się w sposób szokująco proro-

syjski. Reprezentująca Zielonych Annalena Baerbock to polityk bez doświadczenia, ale mniej ostentacyjnie prorosyjska, apelowała nawet o podtrzymanie sankcji wobec Nord Stream 2. W kwietniu przyszłego roku odbędą się wybory prezydenckie we Francji. I tu wynik nie jest pewny. Czy urząd utrzyma kandydat ideologicznych elit Brukseli, pan Macron? Czy wygra pani Marine Le Pen, młot na te elity, a razem kandydatka Putina? Będzie ciekawie. Z pewnością mogę powiedzieć, że w tej chwili nic jeszcze się nie rozstrzygnęło w zmaganiach o przyszłość świata, że istnieje wiele zmiennych, wśród których Polska może prowadzić swoją grę.

Do pakietu problemów należy dołożyć TSUE i naciski z Unii.

Warto zachować spokój. Pamiętajmy, że obecnie dominująca w Brukseli grupa ideologiczna też ma poczucie kurczącego się czasu,

stąd jej historyczne hasła i fantastyczne programy, nieliczące się w ogóle z rzeczywistością, tylko ogłaszające jej radykalną zmianę. Z naszej strony warto przejść do ofensywy: w imię obrony rzeczywistości przed ideologicznym zacietrzewieniem. Nie warto odpowiadać pismakom snującym swoje czarne wizje losu Polski i świata, jak długo będzie tutaj rządziło PiS. Trzeba natomiast przedstawić własny program zmian Europy. Polska sama się nie uratuje, nie tylko przed Niemcami czy Rosją, ale w ogóle jako wyizolowana kulturowa wyspa na morzu ideologicznego szaleństwa Unii, otoczonym do tego przez ocean geopolitycznej wielkiej gry mocarstw, takich jak Chiny, Rosja czy (z zachowaniem proporcji) Izrael, które w ideologicznym samobójstwie nie zamierzają brać udziału. Musimy szukać partnerów we wszystkich krajach Europy, nie tylko w formie porozumienia z istniejącymi partiami w europarlamencie, sceptycznymi wobec dyktatu Brukseli, ale poprzez poszukiwanie i łączenie środowisk, które podzielają nasze przekonanie o kryzysie Europy, który można przezwyciężyć. Szanse tych, którzy protestują przeciwko antyeuropejskim w istocie poczynaniom unijnych biurokratów, zdecydowanie rosną.

Musimy szukać partnerów we wszystkich krajach Europy, nie tylko w formie porozumienia z istniejącymi partiami w europarlamencie, sceptycznymi wobec dyktatu Brukseli, ale poprzez poszukiwanie i łączenie środowisk dzielących nasze przekonanie o kryzysie Europy, który można przezwyciężyć

W sporze z TSUE Polska nie jest sama, bo przecież decyzje sądów niemieckiego, francuskiego czy hiszpańskiego pokazują nam, że tam także odczuwane jest zjawisko utraty kontroli nad suwerennością prawną państw. Mocniejsze zaakcentowanie, że walczymy nie tylko o pieniądze dla Kowalskiego czy Nowaka, lecz o przyszłość Europy, ocalenie narodów i po prostu zdrowego rozsądku przed narzucanymi odgórnie ideologicznymi projektami, takimi jak lansowany przez siwobrodego komisarza Timmermansa „Fit for 55” (czytaj: „Fit for suicide”, czyli gotowi na samobójstwo), byłoby właściwą odpowiedzią na zagrożenie, o których mówimy. Pora wyraźnie podkreślać, że chodzi nie tylko o nasz kraj, ale o Europę. Przytoczę postulat najpopularniejszego pisarza francuskiego, Michela Houellebecqa, który na łamach pisma „Wszystko Co Najważniejsze” zwrócił uwagę, że pora wykluczyć z UE państwa barbarzyńskie.

Które na przykład?

Te wszystkie, które zezwalają na eutanazję albo nawet zachęcają do niej. To jest bowiem najbardziej drastyczny przejaw barbarzyństwa: słabych zabijać. Powinniśmy wyraźnie sformułować platformę polityczno-ideową, w której Polska będzie nie tylko broniła słynnych 770 mld zł dla siebie, ale po prostu przyszłości Europy. I trzeba to robić z tymi Europejczykami, którzy wciąż uważają się za Francuzów, Włochów, Niemców czy Hiszpanów.

Pan profesor mówi o ofensywie, gdy tymczasem obóz Zjednoczonej Prawicy ledwo ciutą większość sejmową.

Odpowiedzią na ten, jak wierzę chwilowy, kryzys mogłoby być przejście na inny poziom polityki. Za część tego kryzysu można przyjąć postępowanie rządu, w którym Polska jawi się jedynie jako odbiorca uniijnych pieniędzy – to samo w sobie jest upokarzające. PiS dostało „zadyszki ideowej” – jakby powtarzało, choć w o wiele lepszej, skutecznej wersji, koncepcję „cieplej wody w kranie”, głoszonej niegdyś przez rząd PO. Zredukowanie całej gry politycznej do materialnego kupowania wyborców wyczerpuje swoją moc. Potrzebne jest odnalezienie siły ideowej, duchowej, a nie tylko mówienie o wyszarpieniu paru groszy z Unii. Potrzebne jest tchnięcie nadziei i pokazanie programu pozytywnego dla naszego kraju i europejskiej wspólnoty. To idea ma pociągnąć za sobą ludzi, same pieniądze nie wystarczą.

To wszystko ma się odbyć w tak trudnym czasie, jakim jest pandemia, ta sama, która przecież wysadziła Trumpan z Białego Domu.

Jeśli zgodnie z prawem pieniądze wynegocjowane przez premiera Morawieckiego zostaną przy Polsce, to według prognoz nasz kraj osiągnie pułap 675 mld dol. PKB w roku 2023, o ponad 100 mld więcej niż w roku 2020. Ten przyrost dobrobytu, mimo kryzysu pandemii, powinien być więc niezwykle efektowny. Mam wrażenie, że w obecnych władzach jest przekonanie, że to wystarczy do zwycięstwa wyborczego w 2023 r. Nie podzielam tej opinii – wyborów nie wygrywa się tylko pieniędzmi. Trzeba przedstawić program nadziei i zmiany, zwłaszcza po czasie koronakryzysu. Walka ze skutkami pandemii powinna być prowadzona w sposób racjonalny, a nie w takt polityczno-ideologicznej histerii. Nie jestem epidemiologiem, ale jako historyk znam przebieg poprzednich pandemii, które w pewnym momencie się po prostu wyczerpywały. Pojawiały się nowe mutacje, ale zawsze mniej śmiertelne. Jeżeli będziemy straszili utrzymywaniem rygorów w takiej skali jak przed rokiem, to będzie to zapowiedź nie do utrzymania ze względu na emocje społeczne i bezsensowną z punktu widzenia zdrowia i życia Polaków. Część ludzi, tych którzy zdecydowali się nie szczepić, zachoruje na własne życzenie, ale będzie ich o wiele mniej niż wcześniej.

Jak na trudne czasy, to pan profesor widzi zdumiewająco dużo szans na wyjście z kryzysu...

Nie powinniśmy w polityce odwoływać się do strachu – także w przypadku pandemii. 60–70 proc. dorosłych ludzi jest już zaszczepionych, a to oni byli najbardziej narażeni na śmierć czy na leczenie pod respiratorem. Operowanie strachem dostarczy paliwa tym, którzy żyją ze strachu, a nam potrzebny jest zastrzyk nadziei. Wizja lepszej Europy, wizja Polski, która nie jest chłopcem do bicia Unii Europejskiej, wizja polityki bez pomiatania Europą Środkowo-Wschodnią jest lepsza niż lęk przed fanatycznymi pomysłami z Brukseli, pseudoekologią pana Timmermansa, zagładą

planety i zniszczeniem natury. To, co dziś wydaje nam się zapowiedzią zagłady, jutro może się rozwiać jak mgła. Nie potrzebujemy się straszyć – także czwartą falą pandemii – ale szukać nadziei. Spokój i rozważa powinny być naszymi najważniejszymi drogowskazami. Powtórzę na koniec fragment pełnego mądrości wiersza pewnej poetki (niech państwo zgadną jakiej), bardzo trafnie wyrażający moją reakcję na straszenie tu i teraz końcem Polski czy ideologicznym końcem Historii: „kiedy zło tryumfuje, dobro się utaja; / gdy dobro się objawia, zło czeka w ukryciu. / Jedno i drugie nie do pokonania / ani do odsunięcia na bezpowrotną odległość. / Dlatego jeśli radość, to z domieszką trwogi, / jeśli rozpacz, to nigdy bez cichej nadziei...”



JAN ROKITA

*Kryzys sądownictwa
jest może
najpoważniejszym, choć
ciągłe niedocenianym
schorzeniem całej
demokracji zachodniej*

Kiedy tydzień temu Mateusz Morawiecki powiedział, iż „Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego nie spełniła oczekiwań moich i naszej formacji” – było jasne, że jest to wyrok wydany na tę instytucję. W słowach premiera pobrzmiewała z jednej strony nuta obywatelskiego rozczarowania, iż „nowi” sędziowie, za których obronę PiS zapłaciło już wielką cenę, nie okazują się wcale jakoś istotnie różni od „starych”. Ale słychać było również w tych słowach ton roztropności i realizmu polityka świadomego, że ani jego formacja, ani tym bardziej państwo polskie nie może się stać zakładnikiem jakiejś idée fixe, wedle której taki czy inny model odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów (czyli rzecz, która sama w sobie – umówmy się – w ogóle nie obchodzi normalnego obywatela) miałby się stać polityczną kwestią życia albo śmierci.

DEMORALIZACJA ELIT PRAWNICZYCH

W chwili gdy ukaże się ten numer tygodnika, czytelnicy będą być może wiedzieć więcej o tym, jakiego sposobu PiS zamierza użyć, aby zakończyć działalność Izby Dyscyplinarnej w jej dotychczasowym kształcie. Ryszard Terlecki zapowiada w związku z tym jakąś nową ustawę na jesień. Ale prawdę mówiąc, to jest szczególnie interesujący głównie sa-



Upadek Izby Dyscyplinarnej

mych prawników, no i oczywiście biurokratów oraz jurystów unijnych, którzy aby spowodować upadek Izby Dyscyplinarnej, przeprowadzili w ostatnim czasie prawdziwy nalot dywanowy na Polskę.

Dla polskiej opinii publicznej cała ta historia – jak mi się zdaje – winna być okazją do namysłu nad kilkoma kwestiami zasadniczymi dotyczącymi współczesnej kondycji naszego państwa

i uniwersalnych reguł rządzących polityką od niepamiętnych czasów.

Po pierwsze, nad kwestią prawników. Optymistyczna diagnoza, iż „nowi” sędziowie, którzy zrobili szybkie kariery dzięki wsparciu PiS, okażą się jakoś istotnie lepsi od „starych”, jest już dzisiaj co najmniej wątpliwa. Ostro pogląd wyrażony miesiąc temu przez Zbigniewa Ziobrę na temat etyki zawodowej sędziów nowej Izby Dyscyplinarnej, na-



Fot. Piotr Moleski/Euro News

wet, jeśli by była w nim pewna przesada, jest jednak spektakularnym znakiem rozczarowania samego inicjatora reform polskiego sądownictwa. Ziobro mówił, iż: „bezwstydnie stawiają oni interes korporacyjny ponad prawem i zasadami”, przyznając tym samym, że główny zarzut formułowany od lat wobec „starych” sędziów może zostać postawiony również „nowym”.

Widzieliśmy już gorszące intrygi personalne w nowej KRS, widzieliśmy skrywaną walkę o przywileje materialne, ale co najważniejsze – widzieliśmy wyroki wydawane w sposób oczywisty nie ze względu na sprawiedliwość, ale motywowane interesem „kastowym”. Łącznie z ochroną sędziów podejrzanych o przestępstwa kryminalne (niemające nic wspólnego z polityką) i odrzucaniem a vista tzw. skarg nadzwyczajnych, które zgodnie z intencją prezydenta, który je wprowadził, miały przywrócić mocno nadwerżnione w przeszłości przez sądy społeczne poczucie sprawiedliwości.

Demoralizacja elit prawniczych nie jest – jak teraz widać – ani specyfiką środowiska „starych” sędziów, ani na-

wet zjawiskiem ściśle polskim lub też postkomunistycznym. Kryzys sądownictwa jest może najpoważniejszym, choć ciągle niedocenianym, schorzeniem całej demokracji zachodniej. I mam tu na myśli nie tylko to, co dzieje się np. w Ameryce, gdzie pojedynczy sędziowie coraz nagminnie, z pobudek czysto ideologicznych, blokują demokratycznie uchwalane prawa (ostatnio np. o wolności słowa na Florydzie czy o zakazie aborcji w Arkansas). Czy też nachalne próby przejmowania władzy politycznej przez sędziów, choćby w trakcie brexitu w Anglii czy pandemicznego stanu wyjątkowego we Włoszech, Hiszpanii, Holandii. W pierwszej kolejności myślę tu bowiem o działaniu zwykłych sądów cywilnych w Europie, które miałem okazję obserwować z bliska w Berlinie czy Hamburgu z racji związków rodzinnych. I włos mi się jeżył na widok skali układów, sitwowych powiązań, kastowego myślenia, a w efekcie sądowej niesprawiedliwości wobec zwykłych ludzi.

Konkluzja w tym punkcie nie jest wesoła. Myślę, że „kastowych” stosunków się u nas nie zmienia, dopóki KRS jest konstytucyjnie umocowana do ochrony interesów korporacji sędziowskiej, a nie prawa zwykłych ludzi do szybkiego i sprawiedliwego sądu (katastrofalny art. 186 Konstytucji RP). Na dodatek o jej decyzjach rozstrzygają sędziowie stanowiący przygniatającą większość składu (jeszcze bardziej katastrofalny art. 187).

Sprytna idea Zbigniewa Ziobry, aby dla osłabienia korporacji wykorzystać lukę konstytucyjną, czyli brak ścisłego sprecyzowania, kto ma wybierać sędziów do KRS, okazuje się chyba jednak zbyt słabą podstawą dla reformy wymiaru sprawiedliwości. Trzeba po prostu radykalnie zmienić konstytucyjny ustrój państwa w takim kierunku, w jakim w 2005 r. proponował prof. Rzepliński: odebrać korporacji prawniczej kontrolę nad KRS i nominacjami nowych sędziów. To będzie kiedyś możliwe, o ile nastąpi całkowita odmiana panujących stosunków politycznych, a w miejsce partyjnej walki na śmierć i życie pojawi się znów pokolenie polityków reformatorów pragnących idealistycznie budować lepszy ustrój.

Taki czas nastąpi, ale oczywiście nieprędko. Polska musi na to jeszcze trochę poczekać.

SĘDZIOKRACJA

Druga kwestia, która przy tej okazji wymaga namysłu, to nasze myślenie o instytucjach europejskich. Pouczając lekcję eurorealizmu daje ostatnio tygodnik „The Economist” – co ważne – pismo od lat uważane za biblię i katechizm najbardziej ideowych wielbicieli integracji, Unii Europejskiej i tzw. wartości europejskich. Na tle ostatnich przypadków represyjnego zahamowania wypłat funduszy rozwojowych dla Węgier (oficjalnie) i Polski (skrycie, ale z takim samym skutkiem), całej lawiny wyroków trybunałów w Luksemburgu i Strasburgu przeciw Polsce oraz dyskusji nad sankcjami wobec państw członkowskich Unii, „Economist” (chyba pierwszy raz w swej historii) otwarcie kpi sobie z „wartości europejskich”, przyznając, iż są dzisiaj tylko „sygnalami do zadawania ciosów” wrogom ideologicznym. Praktykę karania Warszawy czy Budapesztu przyrównuje zaś do znanych przypadków mafiosa Ala Capone, którego sądy skazywały nie za prawdziwe poważne winy, lecz za łamanie przepisów ruchu drogowego.

Trafność tego porównania bierze się stąd, iż eurokraci chcieliby tak naprawdę Polskę i Węgry ukarać za to, że wybrały do władzy konserwatywne rządy. Ale nie mogąc w żaden sposób otwarcie ukarać tej „zbrodni”, zadają ciosy za pomocą zinstrumentalizowanych „wartości europejskich”, które (jak sarkastycznie pokazuje „Economist”) są dziś już ideową i moralną pustką.

To przecież jasne, że nigdy w historii wspólnot europejskich i późniejszej UE państwa członkowskie nie godziły się na to, aby ponadnarodowe sądy decydowały o ustroju państw. Owszem, w podręcznikach prawa europejskiego można się doczytać, że takie pomysły rodziły się w sądach europejskich już dawno temu, jeszcze w latach 60. XX w., ale były całkowicie ignorowane przez rządy.

Formalnie nic się w tej sprawie nie zmieniło również w traktacie lizbońskim. Art. 258 traktatu TFUE, mówiący

o „uchybieńiu przez państwo zobowiązaniom traktatowym”, nawet w snach największych euroentuzjastów nie mógł wyglądać na podstawę do decydowania przez luksemburski trybunał o tym, jak poszczególne kraje mogą, a jak nie mogą organizować swojego parlamentu, rządu, sądownictwa. Wystarczy poczytać prof. Jacka Zalesnego, jednego z tych nielicznych prawników, przeciwników PiS, którzy nie ulegli wszechpanującemu fanatyzmowi, aby zrozumieć, jak oczywista jest racja rządu polskiego, uparcie twierdzącego, iż sędziowie luksemburscy robią coś, do czego w ogóle nie mają podstaw. Cóż jednak z tego, skoro polityczne fakty są takie, jakie są. To znaczy, że Luksemburg rozszerza sobie art. 258 traktatu niczym jakąś prawniczą gumę, rządy europejskie zaś milcząco albo nawet zachęcająco przyzwalają na ten rodzaj samowoli.

Dlaczego teraz rządy godzą się na coś takiego? Tu właśnie tkwi sedno sprawy. Bo większość z nich uważa, i wcale się z tym nie kryje, że nowy konserwatyzm, który pełni się w Unii (ten spod znaku Kaczyńskiego, Salvini, Orbána, Janšy, Abascala czy Le Pen), jest wielkim politycznym zagrożeniem dla utrwalonej politycznej dominacji bezideowych, ale ciągle panujących nad Unią partii „głównego nurtu”. A Berlin czy Paryż, nie chcąc wprost angażować się w konflikty z sąsiadami, uznały, że polityczna wojna „per procura” (ostatnio modne jest określenie „proxy war”), czyli za pośrednictwem europejskich trybunałów, jest polityką dla nich wygodniejszą. Mało jest takich przywódców jak premier Rutte, który dla wojennej wyprawy na Warszawę i Budapeszt gotów zaryzykować wszystkie siły Niderlandów. Ale także ci ostrożniejsi sporo taką polityką ryzykują. Rozzuchwalać bowiem zawodowych eurokratów z Komisji Europejskiej czy trybunałów, sami wkrótce paść mogą ich ofiarą.

Faktem bezprecedensowym z ostatniego czasu jest skarga wniesiona przez Komisję przeciw Niemcom, w której żąda się wycofania się niemieckiego

trybunału w Karlsruhe z obrony wyższości konstytucji RFN nad prawem europejskim. To pasjonująca historia, zobaczmy, czy i tu europejscy sędziowie wykażą taką samą „odwagę” jak w przypadku Polski.

PUŁAPKA IDEALIZMU

Nasza polska naiwność w traktowaniu instytucji europejskich bierze się z jakiejś idealistycznej wiary, iż muszą one działać praworządnie, zgodnie z traktatami, że nie mogą instrumentalizować „wartości europejskich” (niezależnie od tego, jak je dziś rozumieć), że w końcu

Eurokraci chcieliby tak naprawdę Polskę i Węgry ukarać za to, że wybrały do władzy konserwatywne rządy. Ale nie mogą w żaden sposób otwarcie ukarać tej „zbrodni”, zadają ciosy przy pomocy trybunałów

w sytuacjach kryzysowych trzeba się zatem odwoływać do sprawiedliwości i innych świętych zasad, które powołały swego czasu Unię do życia. Paradoksalnie tego idealizmu jest dużo więcej po stronie rządzącej prawicy niżli w obozie opozycyjnego centrolewu. To właśnie z tego naiwnego idealizmu biorą się poglądy takie, jak skądinąd zacnego profesora historii (a zarazem ważnej postaci w IPN) Wojciecha Polaka, patetycznie nawołującego, aby niesprawiedliwości sądów europejskich przeciwstawić już tylko sławne słowa ministra Becka o „honorze, który nie ma swojej ceny”.

Nie tylko polityczna, ale i moralna pułapka takiego myślenia tkwi w tym, iż kryje się za nim gotowość wystawienia na szwank zasadniczych polskich interesów, w imię świętej wojny o respekt dla zasad. Opozycyjny centrolew pod

wodzą Tuska ma dziś znacznie mniej skłonności do takiego pryncypializmu i tak jak uczy teraz „Economist” – dość swobodnie używa wszelakich „wartości europejskich” jako narzędzi „do zadawania ciosów”. Po prostu po to, żeby wygrać.

Warto zatem pamiętać, gdy idzie o podpisane przez Lecha Kaczyńskiego traktaty europejskie, że (wedle znanego bon motu de Gaulle’a) „traktaty są jak dziewice, są tyle, ile są”. To, co napisane w traktatach, ma znaczenie tylko wtedy, gdy ma się polityczny sposób na skuteczną obronę tego, co tam napisane. A jeśli się go nie ma, to trzeba myśleć zawsze i wyłącznie o jednym – o dobru i interesie własnego kraju. I niewystawianiu owego dobra i interesu na szwank, ani na ryzyko, tam gdzie jest ono nadmierne. W tyle głowy warto też mieć niezbyt przyjemną co prawda świadomość, że w ostatecznym rozrachunku traktaty w pierwszej kolejności służą silnym, słabszym zaś tylko wtedy, gdy potrafią z nich zrobić korzystny dla siebie użytek.

Co zaś się tyczy Unii Europejskiej, jej komisji, parlamentów i trybunałów – to w żadnym razie nie należy oczekiwać, iż królować miałyby tam bezinteresowność, wierność gloszonym zasadom i moralny pryncypializm. Unia jak Unia.

Nasz w niej udział ma na razie głęboki sens w polskich narodowych interesach, co na dodatek świetnie rozumie przyniatająca większość Polaków. Ale Polska – wbrew mniemaniom prawicowych ideologów – nie jest krajem suwerennym, gdyż sama idea suwerenności rozplynęła się już dawno w Europie. Nie tak dawno przecież Bruksela par force zmieniała rządy w Rzymie i Atenach, by lepiej „pasowały” do obecnego kierunku unijnej polityki. A teraz nawet niemiecki Trybunał Konstytucyjny musi się bać unijnego wyroku, który za jakiś czas zapaść może w Luksemburgu. Wniosek z tego jeden i Bogu dzięki chyba rozumieją go zarówno Kaczyński, Morawiecki, jak i Ziobro. Jeśli po nagłym unijnym nalocie dywanowym trzeba zrobić unik, to trzeba go zrobić zręcznie, tak by dla Polski był on jak najmniej kosztowny.



Wirus Tuska

Fot. Piotr Miodus/East News

*Jedyną realną zdobyczą
byłego premiera po
powrocie do polskiej
polityki może być
Konfederacja. Z innymi
będzie trudno*



STANISŁAW JANECKI

Powrót Donalda Tuska wpłynął na zmianę strategii pozostałych partii opozycyjnych. Dlaczego? Bo były premier chce je ustawiać pod siebie, a tam, gdzie będzie problem, po prostu je skłócać. To nic nowego, gdyż taka była jego taktyka w czasie, gdy przez ponad 11 lat był przewodniczącym Platformy Obywatelskiej. Od tamtego czasu nauczył się lepiej czarować, ale też mało kto ma jeszcze złudzenia, że kryją się za tym dobre intencje.

Opozycyjne partie całkiem Tuska nie odrzucają, gdyż są zainteresowane rządzeniem, czyli układaniem się przed i po wyborach. Ale są ostrożne, gdyż Tusk jest dla nich politycznym drapieżnikiem, mimo że już trochę wyleniałym. Igraczem, który nie dotrzymuje umów, jeśli ma przewagę. Były premier jest więc traktowany przez wielu polityków opozycji trochę tak jak wirus. Zanim wejdą z nim w jakieś układy, chcą się przede wszystkim zabezpieczyć.

W Brukseli, zarówno w funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej, jak i szefa Europejskiej Partii Ludowej, Tusk nie musiał z nikim rywalizować. Podobnie było zresztą, gdy 3 lipca 2021 r. przejmował Platformę. Przychodził na gotowe, przygotowane zakulisowo stanowisko. W Brukseli zasłynął tym, że pracowali za niego inni, a on tylko ich wykorzystywał. To też nie sprzyja zaufaniu do niego. O ile

dość gładko przyszło mu ustawienie pod siebie Platformy, o tyle zaskoczyły go nieufność i ostrożność pozostałych partii opozycyjnych. A tu czarowanie ani dusery nie pomogą.

KOMPLEKSY HOŁOWNI

Najważniejsze dla Tuska jest odebranie tleny Polsce 2050 Szymona Hołowni, a potem występowanie w roli tego, który ten tlen dystrybuje. Wprawdzie wie, że ugrupowanie Hołowni było tworzone także jako szalupa ratunkowa dla PO i ugrupowanie rezerwowe, gdyby Platforma znacząco osłabła. Ale teraz to już historia. Jeśli jednak taki projekt rezerwowy powstanie, zwykle żyje już w dużym stopniu własnym życiem, niezależnie od intencji twórców. Wszystko zależy od poczucia podmiotowości działaczy, członków i sympatyków, a to jest wciąż spore. Mimo że powrót Tuska odebrał Polsce 2050 tych zwolenników, którzy zwątpili w odrodzenie PO. Ale oni zawsze byli zwolennikami warunkowymi.

Istnieje też oczywiście kwestia podmiotowości samego Szymona Hołowni. Na razie również jest dość silna, choć lider Polski 2050 przy Tusku traci pewność siebie. Doradcy Tuska uważają, że Hołownię rozpracowali. Twierdzą, że ma kompleks silniejszego partnera czy też szefa (formalnego i nieformalnego). Wtedy uznaje wyższość tego, kogo nie może pokonać, wobec kogo ma różne kompleksy. Zaczęło się to w 2001 r., gdy szefem był dla Hołowni ówczesny redaktor naczelny „Newsweeka” Tomasz Wróblewski (trwało to kilka lat). W latach 2008–2019 niby tworzył partnerski duet z Marcinem Prokopem (w programie TVN „Mam talent”), ale to ten drugi był szefem. Do tego stopnia, że Hołownia starał się go pod każdym względem naśladować, co momentami wyglądało komicznie. Doradcy Tuska są pewni, że ich szef jest w stanie Hołownię zdominować tak, jak zrobił to Prokop. I to mimo wzrostu asertywności Hołowni po zajęciu trzeciego miejsca w rywalizacji o polską prezydenturę. I po wzroście poziomu narcyzmu, co wywołał przeskok z telewizji do czołówki polskiej polityki.

W otoczeniu Tuska mówi się, że Rafał Trzaskowski też na początku „rumako-

wał” wobec Tuska, a chociaż ma dużo mocniejszy mandat od Hołowni, potem bardzo łatwo został zdominowany i praktycznie pozbawiony swego największego atutu, czyli wsparcia prezydentów największych miast. Hołownia to wszystko obserwował, pytanie, czy wyciągał wnioski.

Donald Tusk jest obecnie na etapie sprawdzania, na ile twierdzi zwolennicy Polski 2050 są nastawieni negatywnie do PO i nie chcą być dla niego zdybyczą. Po kilku tygodniach widać, że o ile część zwolenników Polski 2050 to dawni rozczarowani wyborcy PO, czyli politycznie labilni, o tyle większość, niezależnie od planów Szymona Hołowni, nie chce być rezerwą kadrową Tuska, a nawet jest przeciw niemu. Ich nastawienie zdaje się wyrażać posłanka Polski 2050 Hanna Gill-Piątek, która podkreśla zarówno suwerenność wyborców Hołowni, jak i ich odporność na metody uwodzenia stosowane przez byłego premiera. Hołownia może ich oględnie przekonywać do sensu jakiejś formy współpracy z Tuskiem, ale zachowując podmiotowość i organizacyjną samodzielność.

Ostrzeżeniem jest przecież przypadek Nowoczesnej, która właściwie nie istnieje, mimo że Tusk pofatygował się na posiedzenie Rady Krajowej tej partii i mocno ją komplementował. Tyle że Nowoczesna funkcjonuje już wyłącznie w roli partii zombie. Polska 2050 nie może sobie pozwolić na rozmycie się w większej koalicji, skoro jako samodzielny podmiot nie uczestniczyła jeszcze w żadnych wyborach (w przeciwieństwie do Nowoczesnej w 2015 r.). Dlatego Polska 2050 jest właściwie skazana na samodzielne pójście do wyborów, żeby Szymon Hołownia był brany pod uwagę w jakichkolwiek powyborczych konfiguracjach personalnych. A ważna posada rządowa Hołowni się marzy. Na razie wydaje się wystraszony powrotem Tuska, a ten umiejętnie pokazuje mu miejsce w szeregu. To powoduje skarżenie się lidera Polski 2050, że Tusk do niego nie dzwoni, nie umawia się, nie chce rozmawiać. Tyle że to klasyczna metoda działania byłego premiera.

Mimo że Tusk chce Polskę 2050 ograć i oskubać, szanse na to są niewielkie. A to oznacza, że Polska 2050

może pozostać ugrupowaniem mającym wciąż ok. 15 proc. poparcia, a gdyby po początkowym wzroście notowań PO zaczęło ono trochę spadać, wzmocni się niechęć do Tuska i Platformy w szeregach partii Hołowni, a on sam nie będzie miał innego wyjścia, jak demonstrować suwerenność. Tak więc najważniejszy element planu Tuska po powrocie nie wydaje się łatwy do zrealizowania, a typowa dla Tuska arogancja może Hołownię wzmocnić i uszytwnić.

WRÓG CZARZASTY

Tuskowi natomiast udało się prawie od razu skłócić Lewicę i wywołać bunt przeciwko Włodzimierzowi Czarzastemu. Choć właściwie jest to efekt knucia przeciwko Czarzastemu przede wszystkim byłego premiera, a obecnie eurodeputowanego Leszka Millera. On sam jest już poza Lewicą, ale organizuje intrygi wśród polityków wywodzących się z SLD. Te intrygi trafiły na podatny grunt i poseł Tomasz Treli zgromadził wokół siebie buntowników chcących obalić przewodniczącego Czarzastego. Pod zarzutem podsuwającym przez PO i Millera, czyli bieżącej współpracy z PiS, a co ma być jeszcze gorsze – gotowości do zawarcia z PiS koalicji po wyborach w 2023 r. Z tego powodu Tusk wyraźnie się od jakichkolwiek rozmów z Lewicą dystansował, chcąc wśród jej polityków i zwolenników wywołać poczucie izolacji, a nawet istnienia kordonu sanitarnego. Zawinionego przez Czarzastego bratającego się z PiS.

Na razie nie udało się podzielić Lewicy. Ale takie próby będą jeszcze podejmowane. Po tych manewrach Tusk ma jednak wroga we Włodzimierzu Czarzastym. Lider Lewicy publicznie nie kryje, że uważa Tuska za politycznego oszusta, który szepcze czule słówka, a potem zawsze wpuszcza w jakiś kanał, np. apelując do wyborców, żeby nie tracili głosów, oddając je na słabszego. Poza tym Włodzimierz Czarzasty jest jednym z najbardziej biegłych liderów w politycznych grach, w przeciwieństwie np. do Borysa Budki czy Tomasza Treli, więc sztuczki Tuska nie robią na nim żadnego wrażenia. Nie nabiera się na pozory i dobrze wie, że słowo Tuska nic nie jest warte.

Ta część Lewicy, która wywodzi się z Wiosny, uważa Tuska za zagrożenie i wiarołomnego partnera, bo pamięta niezrealizowane zapewnienia byłego premiera w sprawach obyczajowych i dotyczących mniejszości. Taktycznie Tusk godzi się obecnie na większość tego rodzaju postulatów dawnej Wiosny, ale jej politycy nie mają złudzeń, że wykiwa ich przy pierwszej nadarzającej się okazji. Dlatego że Tusk w tych sprawach zawsze gra i manipuluje. Politycy wywodzący się z Wiosny ani nie są Tuskiem zauroczeni, ani nie widzą się w roli przekąski dla niego. Jednak byli premier liczy na to, że Lewica sama do niego przyjdzie, a przynajmniej jej znacząca część.

Choć początkowe próby wasalizacji Lewicy poprzez jej rozbijanie się nie powiodły, kolejne będą podejmowane. Tyle że konkwistadorskie nastawienie Tuska do Lewicy wylewa kubel zimnej wody na większość polityków i zwolenników tego ugrupowania. Borys Budka i Rafał Trzaskowski mieli może mniejszą siłę przyciągania do PO ewentualnych koalicjantów, ale nie mieli w sobie arogancji Tuska, która od bliższych związków raczej odstręcza. Na razie cele Tuska względem Lewicy nie zostały zrealizowane, a jeśli Czarzasty nie zostanie wyeliminowany, były premier zyskał szczerego i zdeterminowanego przeciwnika.

CHŁODNE PSL, GORĄCA KONFEDERACJA

Mimo że Władysław Kosiniak-Kamysz najbardziej przychylnie spośród liderów opozycji zareagował na powrót Tuska, ani w Koalicji Polskiej, ani w PSL nie ma wcale wielu zwolenników ścisłej z nim współpracy. Prezes PSL będzie zwodził lidera PO mglistymi obietnicami, ale warto pamiętać, że nie jest już ministrem w rządzie Tuska. Prezes PSL został jako minister pracy przez Tuska bezwzględnie wykorzystany, firmując najbardziej niepopularne posunięcia, czyli podniesienie wieku emerytalnego i nacjonalizację środków z OFE. To do dziś ciągnie się za Kosiniakiem-Kamyszem, tym bardziej że odegrana wtedy

rola jest wyjątkowo upokarzająca. I lider PSL za tamto upokorzenie będzie chciał się zrewanżować.

Ocieplenie relacji między Tuskiem a Kosiniakiem-Kamyszem nastąpiło wtedy, gdy w 2019 i 2020 r. były premier podpuszczał swego ministra, zapewniając, że to właśnie on najbardziej nadaje się na lidera całej opozycji oraz na jej kandydata na prezydenta. Tyle że tamte dusery nie miały żadnego politycznego

Choć Donald Tusk liczył na to, że po szybkim zwycięstwie we własnej partii także pozostałe opozycyjne ugrupowania potraktują go jako jedyne rozwiązanie problemu odcięcia PiS od władzy, w praktyce nic nie wygląda różowo. Tusk jest powszechnie uznawany za polityka podstępnego, wiarołomnego i bezwzględnego. A współpraca z nim jest postrzegana jako wpuszczanie lisa do kurnika

znaczenia. A teraz Tusk jest po prostu bezpośrednim rywalem Kosiniaka-Kamysza. Rywalem o tyle niebezpiecznym, że znającym słabe strony prezesa PiS. To sprawia, że Kosiniak-Kamysz będzie wobec Tuska ostrożny i nieufny. Nie pozwoli też zniszczyć swego najważniejszego dzieła, czyli Koalicji Polskiej, która jest kołem ratunkowym dla PSL w miastach oraz wśród konserwatywnych wyborców.

Tusk jest dużo bardziej niebezpieczny dla Koalicji Polskiej i PSL, niż mogli być Budka i Trzaskowski. Dlatego szanse na ścisłą współpracę przed wyborami w 2023 r. są niewielkie. Są realne po wyborach, ale najpierw trzeba stworzyć w kolejnym Sejmie większość.

Paradoksalnie najłatwiej może mieć Donald Tusk z zainfekowaniem Konfederacji. To ugrupowanie jest tak negatywnie zafiksowane na punkcie PiS, że może działać z byłym premierem. W PO długo przed powrotem Tuska pojawiały się głosy o możliwości współpracy, np. ze strony Sławomira Neumanna. A Sławomir Nitras straszył Lewicę, że w przyszłej koalicji PO będzie rządzić, Konfederacja zajmie się zaś Lewicą.

Nitras zaprzeczał, ale jego słowa zostały w Sejmie zarejestrowane. Tusk ma utrzymywać kontakty z niektórymi politykami Konfederacji i mieć ich ministerialnymi posadami we wspólnym rządzie. A przede wszystkim obiecywać rośnięcie Konfederacji kosztem PiS, gdyby ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego straciło władzę. No i wspólne z PO pod wodzą Tuska mają być zasady i wartości liberalne.

W tej koncepcji Konfederacja ma być lepem na prawicowych wyborców, nietraktujących Platformy i Tuska jako prawicowców. Wzajemne umizgi trwają od co najmniej dwóch lat i wynikają z tego, że Konfederacja uważa PiS za wroga, natomiast PO za sprzymierzeńca. Oczywiście Konfederacja nie może pójść na wybory w koalicji z Platformą, ale gdyby odniosła sukces, mogłaby być jedynym pewnym partnerem po wyborach.

Choć Donald Tusk liczył na to, że po szybkim zwycięstwie we własnej partii także pozostałe opozycyjne ugrupowania potraktują go jako jedyne rozwiązanie problemu odcięcia od władzy PiS, w praktyce nic nie wygląda różowo. Tusk jest powszechnie (może poza Konfederacją) uznawany za polityka podstępnego, wiarołomnego i bezwzględnego. A współpraca z nim jest postrzegana jako wpuszczanie lisa do kurnika. Poza tym były premier nie działa na młodych wyborców, a wręcz ich drażni.

Bilans powrotu Tuska dla całej opozycji na razie jest wyraźnie negatywny, choć sama Platforma zyskała, ale nie kosztem poparcia dla PiS. Skromnie jak na zadęcie towarzyszące temu powrotowi.



Pandemia dzieli Polaków

Obrazki spod punktu szczepień w Grodzisku Mazowieckim, gdy grupa osób usiłowała wtargnąć do środka, atakując pracowników i ochronę oraz wznosząc okrzyki protestu przeciw „eksperymentom medycznym” i „ograniczaniu wolności”, muszą skłonić do postawienia pytania, jak to się stało, że doszło do tego typu incydentu i czy pandemia podzieliła Polaków do tego stopnia, że antyszczepionkowcy przeszli od agresji słownej do fizycznej



ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

Szczepienia, mające chronić przed drastycznymi skutkami zachorowania na COVID-19 i śmiercią w ekstremalnych przypadkach, nie są obowiązkowe, a więc obywatele mają prawo decydowania o tym, czy chcą się im poddać, czy z przyczyn, których nie muszą podawać, szczepionki nie przyjmą. A przyczyny bywają różne, poczynając od medycznych przeciwwskazań, a kończąc na wierze w spiskowe teorie o tym, że szczepionki są groźniejsze dla naszego zdrowia i życia niż choroba wywołwana przez wirus SARS-CoV-2.

Nie należy jednak utożsamiać antyszczepionkowców z ludźmi wątpliwymi, atakowanymi ze wszystkich stron fake newsami, podawanymi w mediach społecznościowych informacjami o ustaleniach różnych, przedstawianych jako autorytety medyczne, osobistości, których opinie trudno zweryfikować, czy też przykładami przypadków nieskuteczności lub wręcz zabójczego działania szczepionek. Niepożądane objawy poszczepienne urastają w przekazach często anonimowych informatorów do rozmiarów zaplanowanej wręcz eksterminacji ludzkiej populacji. Oczywiście opowieści o tym, że „siostra mojej znajomej opowiadała, że jej sąsiadka po pierwszej dawce szczepionki została sparaliżowana, dwie nauczycielki zmarły, a kuzyn kolegi z pracy dostał udaru”, mają swój destrukcyjny wpływ na psychikę

ludzi i nawet jeśli przyjmuje się je z pewnym powątpiewaniem, czy rzeczywiście mają oparcie w autentycznych przypadkach, to jednak niepokój pozostaje. Tym większy, im trudniej jest zweryfikować atakujące nas w przestrzeni publicznej wzajemnie wykluczające się przekazy o skuteczności szczepionek i niebezpieczeństwach związanych z ich przyjęciem.

Antyszczepionkowcy wątpliwości nie mają. Przegrana w Sejmie batalia o zakaz obowiązkowych szczepień dzieci niosła nadzieję, że ten wielce szkodliwy ruch umrze śmiercią naturalną, ale pandemia koronawirusa, brak lekarstw, które skutecznie mogą leczyć chorobę nim wywołaną, a więc konieczność masowych szczepień jako jedynej metody ograniczania i walki z rozprzestrzenianiem się tej groźnej choroby, reanimowały totalnych przeciwników szczepień. I to oni, zaprawieni w bojach w mediach społecznościowych, bo tam budowali swój zasięg, wiodą prym w rozsiewaniu fałszywych informacji i zniechęcaniu ludzi do szczepień, wywołując w nich irracjonalny strach i lęk.

Spadek tempa szczepień w Polsce, notowany od dłuższego czasu, jest w dużej mierze skutkiem tych działań, a biorąc pod uwagę to, że także niektórzy przedstawiciele środowiska medycznego i mediów kibicują antyszczepionkowym teoriom, rodzi się pytanie, jak je neutralizować i czy rzeczywiście zachęty do szczepień, apele i różne akcje propagandowe w tym starciu okazały się skuteczne. Akcje promocyjne w dużej mierze zastąpiły rzetelne działania edukacyjne, które powinno się było prowadzić właściwie już od momentu uzyskania pewności, że pierwsze partie szczepionek trafią do obywateli.

WOLNOŚĆ A BEZPIECZEŃSTWO

Bojówka spod punktu szczepień w Grodzisku Mazowieckim – bo trudno znaleźć dla tej grupki ludzi inne, bardziej adekwatne określenie – krzyczała o „ograniczaniu wolności”, tak jakby w Polsce odbywały się uliczne łapanki na niezaszczepionych i siłą ich zmuszano do przyjęcia dawki. Tymczasem to właśnie oni chcieliby ograniczyć wolność wyboru tych, którzy zdecydowali się zaszczepić. Hasło „wolność” bywa ostatnimi czasy mocno nadużywane, tymczasem wolni tak naprawdę jesteśmy tylko w chwili narodzin, a potem już podlegamy różnym ograniczeniom, które poważnie akceptujemy, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi bezpieczeństwo nasze i naszych rodzin, wspólnoty czy kraju. W tych przypadkach jesteśmy skłonni zgodzić się na daleko idące ograniczenia naszej wolności, nawet jeśli są one dla nas uciążliwe.

Może warto przypomnieć sobie, jak w pierwszym okresie pandemii, bez nakazów i kar, chroniliśmy naszych starszych członków rodziny, z własnej woli godząc się na to, by nie odwiedzać ich czasami przez wiele tygodni. Z jaką starannością zakładaliśmy maseczki, dezynfekowaliśmy ręce i zachowywaliśmy dystans w miejscach publicznych. Strach przed czymś, czego wówczas nie potrafiliśmy zdefiniować, a więc skutecznie zwalczać, a co z taką siłą zaatakowało cały świat, sprawił, że poczucie odpowiedzialności za innych, nie tylko najbliższą rodzinę, zaowocowało swoistą solidarnością, empatią i potrzebą wspierania się wzajemnie w tych nieniosących wówczas zbyt wiele nadziei czasach. Warto także przypomnieć sobie, jak bardzo czekano na pierwsze informacje o wyprodukowaniu

skutecznej szczepionki i wyrażano obawy, czy jej produkcja będzie na tyle masowa, by mogła z niej skorzystać jak najszybciej jak największa liczba ludzi. Warto także przypomnieć sobie, jak w czasach, kiedy szczepionki były przeznaczone tylko dla ochrony zdrowia i seniorów, piętnowano powszechnie celebrytów i polityków, którzy wykorzystali swoje znajomości, by zaszczepić się poza kolejką. A teraz, kiedy można się zaszczepić bez zbędnych formalności, okazuje się, że pożądanymi próg osób zaszczepionych, który pozwoliłby na powrót do życia sprzed pandemii, oddala się i zmusza do rozważań o tym, jakie kroki należy podjąć, by

Najbardziej restrykcyjne obowiązują od 21 lipca we Francji, gdzie osoby udające się do kina, teatru lub innych miejsc kultury i rozrywki (w których jest więcej niż 50 osób), muszą być zaszczepione, być ozdrowieńcami albo okazać negatywny wynik testu na koronawirusa. Od 1 sierpnia takie same wymogi dotyczą osób udających się do restauracji, kawiarni, centrów handlowych, placówek ochrony zdrowia, a także podróżujących pociągiem, autobusem na duże odległości oraz samolotem. We Włoszech od 6 sierpnia już jedna dawka szczepionki przeciwko COVID-19 uprawniać będzie do wejścia do restaura-

ograniczenia wprowadziły Czechy, a nawet Izrael, chwalony za wzorową kampanię szczepień, dzięki której odnotowano nieznaczne zakażenia i brak przypadków śmiertelnych. Zupełnie inną strategię przyjęła Wielka Brytania – 19 lipca zniosła wszelkie restrykcje i ku zaskoczeniu ekspertów, którzy wieszczili gwałtowny wzrost zachorowań, nawet do 100 tys. dziennie, po pierwszym tygodniu od tej decyzji dzienny wskaźnik zachorowań jest 32 proc. niższy niż w poprzedzającym tygodniu, gdy restrykcje jeszcze obowiązywały.

Prof. Neil Ferguson, epidemiolog z Imperial College London, twierdzi, że dzięki



nie wrócić do sytuacji, kiedy szpitale musiały się zajmować wyłącznie chorymi na COVID-19, liczba zmarłych liczona była w tysiącach, a jedynym kontaktem z lekarzem dla pozostałych była teleporada.

Wielu z nas chce wierzyć, że to już końcówka pandemii, codzienne raporty pokazujące liczbę zarażonych powyżej setki, dni, w których nikt nie zmarł na COVID-19, budzą nadzieję, że wreszcie jednak pokonaliśmy pandemię, ale coraz częściej mówi się o realnej możliwości czwartej fali, która ma nadejść jesienią.

OGRANICZENIA DLA NIEZASZCZEPIONYCH?

Apele nie przekonają niezaszczepionych, dlatego należy wprowadzić ograniczenia w ich dostępie do niektórych publicznych miejsc i usług – twierdzą jedni, a drudzy protestują, mówiąc o segregacji, łamaniu praw jednostki i ograniczaniu jej wolności. Wiele krajów, zaniepokojonych tempem, w jakim rozprzestrzeniła się wariant delta, wprowadziło ograniczenia dla niezaszczepionych i niebędących ozdrowieńcami.

Może warto przypomnieć sobie, jak w pierwszym okresie pandemii poczucie odpowiedzialności za innych, nie tylko najbliższą rodzinę, zaowocowało swoistą solidarnością i potrzebą wspierania się wzajemnie

cji w zamkniętych pomieszczeniach, do teatru i kina, wstępu na basen, siłownię, targi, zjazdy, do parków rozrywki, term i salonów gry, a także do udziału w imprezach sportowych. W Irlandii od 26 lipca do środka restauracji, baru i pubu mogą wejść tylko osoby w pełni zaszczepione i te, które w ciągu poprzednich sześciu miesięcy zachorowały na COVID-19. W Austrii certyfikat szczepionkowy obowiązuje w restauracjach, hotelach, siłowniach, na basenach, w teatrach i salonach fryzjerskich. Podobne

szczepionkom znacznie zmniejsza się ryzyko hospitalizacji i zgonów: „Jestem przekonany, że pod koniec września lub w październiku większość pandemii będziemy mieli za sobą”. W Wielkiej Brytanii pierwszą dawkę szczepienia otrzymało prawie 85 proc. społeczeństwa, w Polsce nieco ponad 47 proc., a w pełni zaszczepionych (dwoma dawkami) jest 36,7 proc. Zalecenia WHO mówią o konieczności zaszczepienia dorosłej populacji w 80 proc.

Brytyjski minister zdrowia Michael Gove, pomimo zniesienia restrykcji, w dalszym ciągu zachęca do szczepień tych Brytyjczyków, którzy jeszcze tego nie zrobili: „Osoby, które odmawiają przyjęcia szczepionki przeciw COVID-19, są samolubne i narażają życie innych na ryzyko”.

„Obecnie wyzwaniem jest przekonanie Polaków do szczepień” – przyznał niedawno szef KPRM Michał Dworczyk, pełnomocnik rządu ds. narodowego programu szczepień. Czy to się uda? Czy – jak twierdzą pesymiści – apele nie przekonają nieprzekonanych i trzeba będzie pójść śladem Francji i innych krajów europejskich?

Koniec złotych czasów



MAREK PYZA

P przed aresztem w Lublinie 15 lipca grupka parunastu osób nie posiada się z radości. Jest kilku działaczy tzw. ulicznej opozycji, są rodzice podejrzanego. Kilka osób robi sobie z nim zdjęcia, działacz Homokomanda wywija tęczową flagą. Ktoś podsuwa telefon, jest wideopojęcie z Ludmiłą Kozłowską. „Do zobaczenia wkrótce” – słyszy od męża.

Te plany państwa Kramków muszą poczekać. Kozłowska nie może bowiem wjechać do Polski – cudzoziemka w związku ze swoją działalnością jest uznawana za persona non grata. Pan Bartosz zaś nie może opuszczać kraju – taki zakaz nałożyła prokuratura w związku z kuriozalną decyzją sądu, o której za chwilę.

LEWE MILIONY

23 czerwca Bartosz Kramek został zatrzymany przez funkcjonariuszy ABW i przewieziony do lubelskiej prokuratury. Tam usłyszał dwa zarzuty: poświadczania nieprawdy na kilkudziesięciu fakturach wystawionych przez liczne firmy zagraniczne – część z nich to spółki zarejestrowane w rajach podatkowych, inne np. w Wielkiej Brytanii (ale kontrolowane przez podmioty z rajów podatkowych). Zdaniem śledczych Kramek „z popełnienia przestępstwa uczynił sobie stałe źródło dochodu”. Drugi zarzut dotyczy przyjmowania na rachunki bankowe pieniędzy pocho-

Chciał „wyłączyć rząd” i sprawić, by państwo polskie „stanęło”. Razem z żoną stworzył wehikuł usługowy wobec postsowieckich oligarchów. Wpadł za sprawą jego nielegalnego finansowania. Ale nawet mimo jednoznacznych postanowień sądów wciąż może liczyć na wsparcie tzw. autorytetów. Bartosz Kramek znów jest na wolności, lecz z zarzutami, za które grozi 10 lat więzienia

dzących z przestępstwa. Grozi mu 10 lat pozbawienia wolności.

Na czym polegał proceder? Firma Kramka Silk Road Biuro Analiz i Informacji sp. z o.o. miała rzekomo świadczyć „usługi konsultacyjne”, „usługi IT” czy „usługi VOIP” na łączną wartość 5,3 mln zł (946 tys. dol., 76 tys. euro, 117 tys. zł). Problem w tym, że według ustaleń śledczych żadnych usług nie było, a wszystko odbywało się tylko na papierze, by wypruć pieniądze. „Rachunki bankowe tych spółek były prowadzone m.in. na Łotwie, a rzeczywistym beneficjentem ich działalności byli m.in. obywatele Rosji i Ukrainy” – napisała prokuratura w komunikacie. Pieniądze pozyskane przez Kramka były następnie transferowane, głównie do fundacji Otwarty Dialog prowadzonej przez jego żonę (Kramek jest szefem jej rady).

O niejasnych interesach Kramka napisaliśmy jako pierwsi z Marcinem Wikłą w tygodniku „Sieci” już w 2018 r. Ujawniliśmy wówczas m.in., że okazałe sumy trafiały na konto Silk Road od dwóch firm ze Szkocji. Pierwszą jest Kariastra Project LP (przełała na konto Silk Road równowartość 3,2 mln zł). Firma nie ma nawet strony internetowej, numeru telefonu, nie wiadomo, czym się zajmuje.

Druga to Stoppard Consulting LLP (istniała w latach 2010–2017), zasilila konto Silk Road kwotą co najmniej 1,5 mln zł. Udziałowcami tego podmiotu były inne rejestrowane w rajach podatkowych (Belize, Seszele, Panama). Część z nich miała być elementami sieci przedsiębiorstw, za pomocą których z sektora bankowego Mołdawii wyprowadzono co najmniej miliard dolarów – to ustalenia amerykańskiej agencji śledczej Kroll wynajętej przez rząd w Kiszyniowie, aby rozpracować aferę, która zachwiała gospodarką państwa i postawiła je na krawędzi bankructwa.

Dziś znamy już więcej „kontraheńców” Kramka. Na liście pojawiają się podmioty o nazwach: Flow Health INC, Agni Data INC, Hangars And Canopies LLP, Laton-C, Virtual Communications Ltd czy European Systems LP. Ale wciąż niewiele o nich wiadomo. W łotewskich rejestrach odnajdujemy spółkę Lexico Telecom LTD – jej rzeczywisty beneficjent ma się znajdować na Ukrainie, a według dokumentów z afery Panama Papers ma ona być powiązana z podmiotami z Brytyjskich Wysp Dziewiczych. Kolejna firma, IWC Global LTD, jest zarejestrowana w Belize. To od niej Silk Road miała otrzy-



Fot. Andrzej Witko

mać w 2012 r. pierwszy przelew (tytułem: „zapłata za usługi doradcze”) na 23 tys. zł.

Lubelskie śledztwo zaczęło się od zawiadomienia szefa Krajowej Administracji Skarbowej (wtedy był nim Marian Banaś) po kontroli przeprowadzonej przez Łódzki Urząd Celno-Skarbowy. Śledczy (oraz lubelska delegatura ABW) przeanalizowali przepływy finansowe fundacji Otwarty Dialog i spółki Silk Road, wykonali czynności w ramach międzynarodowej pomocy prawnej i Europejskich Nakazów Dochodzeniowych, przesłuchali wielu świadków. Dowody zebrano w 40 tomach akt.

KURIOZALNE ZWOLNIENIE

25 czerwca Sąd Rejonowy w Lublinie przychylił się do wniosku prokuratury i zdecydował o trzymiesięcznym areszcie dla Kramka, z zastrzeżeniem, że wyjdzie na wolność, jeśli wpłaci 300 tys. zł kaucji. Trzy tygodnie później to postanowienie podtrzymał Sąd Okręgowy. Tu dochodzimy do zadziwiającej logiki wymiaru sprawiedliwości. Większość uzasadnienia wydanego przez sąd II instancji (ujawnił je portal wPolityce.pl) wskazywałaby bowiem, że Kramka pod żadnym pozorem nie należy wypuszczać z aresztu.

„Wbrew stanowisku obrońców zgromadzony w sprawie materiał dowodowy w dużym stopniu uprawdopodobnia popełnienie przez podejrzanego czynów objętych zarzutami. (...) Nie budzi również zastrzeżeń kwalifikacja prawna zarzucanych mu czynów w kontekście ujawnionych w sprawie okoliczności, wbrew temu co podnosi w zażaleniu obrońca”. Sąd potwierdził tym samym dobrą robotę prokuratury.

Do podejrzanego nie ma zaś za grosz zaufania: „Istnieje uzasadniona obawa, iż podejrzany mógłby nakłaniać do składania fałszywych zeznań lub w inny bezprawny sposób utrudniać postępowanie. Przedstawione podejrzanemu zarzuty oraz zgromadzone w sprawie dowody, w tym także wyjaśnienia podejrzanego złożone na posiedzeniu, wskazują na specyficzne relacje, wzajemne powiązania rodzinno-towarzyskie oraz zależności pomiędzy osobami zaangażowanymi w działalność spółki i fundacji prowadzonych przez Bartosza Kramka. Powyższe sprawia, że w pełni uzasadnioną jest obawa, iż podejrzany mógłby podejmować próby mactwa oraz innych działań utrudniających postępowanie”.

Podsumujemy: według sądu Kramek najprawdopodobniej dopuścił się przestępstw wyprania ponad 5 mln zł i wystawiania lewych faktur, zapewne zostanie skazany, ale zanim to nastąpi, będzie próbował w sprawie mataczyć. Dlaczego zatem sąd mu na to pozwolił? Nie sposób zrozumieć takiego stanowiska sędziego Wiesława Pastuszaka (zaangażowanego w działalność Stowarzyszenia „Iustitia”), zwłaszcza że śledztwo wcale nie zostało zakończone i podejrzany może je jeszcze skutecznie utrudniać.

Ostatecznie Kramek wyszedł na wolność, bo jego przyjaciółom udało się zebrać 300 tys. zł poręczenia majątkowego. Od niedawna przepisy nie pozwalają gromadzić w tym celu środków za pomocą zbiórki. Prokuratura mogłaby więc – jak w sprawie Sławomira Nowaka – nie przyjąć tej gotówki. Jednak Kramek został zobowiązany do wpłaty poręczenia nie do prokuratury, lecz do sądu. Pieniądże przyjęto.

PRZYJAZNE WYWIADY

Czy Kramek próbuje utrudnić śledztwo prokuraturze? Czy wpływa na świad-

ków, instruując ich, co mają zeznawać? Czy uczestniczy w tworzeniu fikcyjnej dokumentacji, by zalegalizować miliony ze Wschodu? Tego nie wiemy. Odbywa za to tournée po usługowych mediach, gdzie kontynuuje spektakl przedstawiania się jako więźń polityczny, który obrywa za krytykę obecnej władzy.

Choć to grubymi nićmi szyta narracja (przypomnijmy: „zgromadzony w sprawie materiał dowodowy w dużym stopniu uprawdopodobnia popełnienie przez podejrzanego czynów objętych zarzutami”), są dziennikarze, którzy chętnie udają ślepych na jedno oko.

Tygodnik „Polityka” z troską pochyla się nad ciężkim losem Kramka wreszcie i zadaje pytania w stylu: „To powiem panu, co boli prokuratora. Zarabiał pan kasę za granicą i płacił na fundację, która według PiS przygotowywała pucz”. Albo: „Jak udowodnić, czy kilka lat temu pan doradzał, czy pan jednak nie doradzał firmie z Wysp Dziewiczych?”. I nie reaguje, gdy w odpowiedzi słyszy zupełne głupoty: „Ciężar dowodu spoczywa na prokuraturze. Może chodzić po prostu o to, by utrzymać mój status jako podejrzanego i wykorzystywać sprawę propagandowo”.

Wyjaśnijmy: w dokumentacji spółki znajduje się faktura za wykonaną usługę, a nie ma najmniejszego dowodu na realizację umowy. Jedyne możliwe wnioski: faktura była fikcyjna. Jeśli jest inaczej, podejrzanemu musi to udowodnić. Mówimy o prezesie i jedynym właścicielu firmy, który zarabiał w niej co najmniej kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie, podpisywał dokumenty i wiedział, jakie spoczywały na nim obowiązki. Dziś odwraca kota ogonem. Nic dziwnego, grozi mu dekada za kratami. Nie sposób oprzeć się pokusie wykorzystania przyjaciół w mediach. Ale co kieruje dziennikarzami, którzy wszak odpowiadają za swoje publikacje nie przed Kramkiem, a przed czytelnikami?

Nie martwi się o nich Onet. Wszystkie publikacje tego portalu dotyczące Otwartego Dialogu wyglądają na zadziwiający lobbying na rzecz fundacji. I tu mamy więc festiwal Kramkowych zwodów, na które nie reaguje dziennikarz. Zapytany, czy kontrahenci Silk Road staną przed sądem i wyjaśnią, jak było, Kramek odpowiada:

„To jest niestety bardziej skomplikowane, bo mówimy o sprawach sprzed nawet dziewięciu lat i kontrahentach zagranicznych. Niektóre z tamtych spółek już nie istnieją. Współpracował z nimi brat mojej żony, ukraiński przedsiębiorca Petro Kozłowski, który obsługiwał część swoich klientów w ramach naszej spółki. Mieszka dziś w USA, ma serdecznie dosyć całej tej awantury”. Naprawdę można się zmartwić relacjami w rodzinie Kramków-Kozłowskich, skoro szwagier pana Bartosza może odmówić zeznań w jego obronie tylko dlatego, że „ma serdecznie dosyć”.

„Wbrew stanowisku obrońców zgromadzony w sprawie materiał dowodowy w dużym stopniu uprawdopodobnia popełnienie przez podejrzanego czynów objętych zarzutami” – sąd potwierdził tymi słowami dobrą robotę prokuratury

Mówiąc poważnie, rzeczywiście nie ma co spodziewać się, że Petro Kozłowski uratuje skórę mężowi swojej siostry. W tej sprawie jest on bowiem jednym z czarnych charakterów. To on miał najsowiciej wspierać Otwarty Dialog pieniędzmi z wątpliwych źródeł (robił potężne interesy na kontrolowanym przez Rosjan Krymie). To on miał stać za łańcuszkiem firm krzaków, które współpracowały z Silk Road. I to on musiałby się gimnastykować z opowieściami Kramka, według którego to Petro znajdował kontrahentów i z nimi wszystko załatwiał, a sam prezes spółki w zasadzie o niczym nie wiedział. Trudne zadanie.

DZIENNIKARSTWO ZAANGAŻOWANE

Odnotowując wywiady pana Bartosza po opuszczeniu aresztu, warto wspomnieć ten dla kanału Asymetriści online. Za-

intrygowany tym, że SokzBuraka dużo pisał o powrocie Tuska, prezes Silk Road stwierdza: „SokzBuraka już nie jest od tego, by promować tutaj Tuska czy jakichś platformersów”. Przyznał, że SokzBuraka się zmienił: „To jest teraz medium obywatelskie”. Czym więc był wcześniej?

Na pytanie, czy PiS może pożałować, że Kramek zostaje w Polsce (sic!), nasz bohater odpowiedział: „Mam taką nadzieję. Mam nadzieję, że ten plan na Majdan w Polsce uda się w końcu zrealizować”. Nawiązał tu do swojego „manifestu” z 2017 r., w którym nawoływał

do masowych strajków w celu sparaliżowania państwa, nieplacenia podatków, marzył też o „całkowitym zablokowaniu” parlamentu, KPRM, Pałacu Prezydenckiego, siedziby PiS, a nawet domu Jarosława Kaczyńskiego.

Niezawodna i w tej sprawie jest „Gazeta Wyborcza”. 14 lipca, dzień przed opuszczeniem aresztu przez Kramka, publikuje list otwarty wzywający do uwolnienia podejrzanego. Podpisują się m.in. Lech Wałęsa, Leszek Balcerowicz, Michał Boni, Robert Biedroń, Agnieszka Holland, Paweł Kasprzak, Jarosław Kurski, Marta Lempart, Tomasz Lis, Wojciech Sadurski, Róża Thun. Gdyby nie kilkanaście nazwisk z zagranicy, mielibyśmy idealne odwzorowanie listy dyżurnych „autorytetów”, które

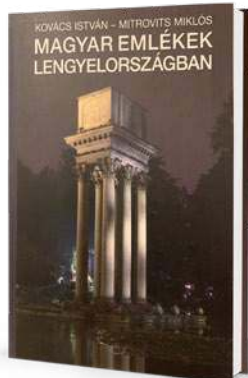
podpiszą się pod wszystkim w kontrze do obecnego rządu. W gazecie Michnika obszernie sprawę aresztu opisuje Wojciech Czuchnowski. On sam też podpisał się pod wspomnianym listem. Nie ma się jednak czemu dziwić, z dziennikarstwa wypisał się już dawno.

W jednym z ostatnich wywiadów, tłumacząc, że nie miał pieniędzy na kaucję, Kramek rzucił: „Nie, nasze złote czasy już dawno się skończyły”. To akurat prawda. Skończyło się liczenie milionów z niejasnych źródeł i transferowanie ich na konta własne oraz fundacji Otwarty Dialog. Kramek z Kozłowską chyba już wcześniej doszli do takiego wniosku. Przenieśli się do Brukseli, tam mają biuro FOD i – pod tym samym adresem – nową spółkę King’s Landing. Po polsku ta nawiązująca do „Gry o Tron” nazwa oznacza „królewską przystań”. Ale do niej Kramek szybko nie zawinie. 

10 węgierskich miejsc pamięci, historii i kultury w Polsce

Niedawno
w Budapeszcie ukazał
się przewodnik po
naszym kraju napisany
przez dwóch autorów:

Istvána Kovácsa
i Miklósa Mitrovitsa.
Jest to dzieło jedyne
w swoim rodzaju,
ponieważ proponuje
naszym bratankom
podróż po Polsce
tropem węgierskich
miejsc pamięci, historii
i kultury. Zapraszamy
do wędrówki także
polskich turystów



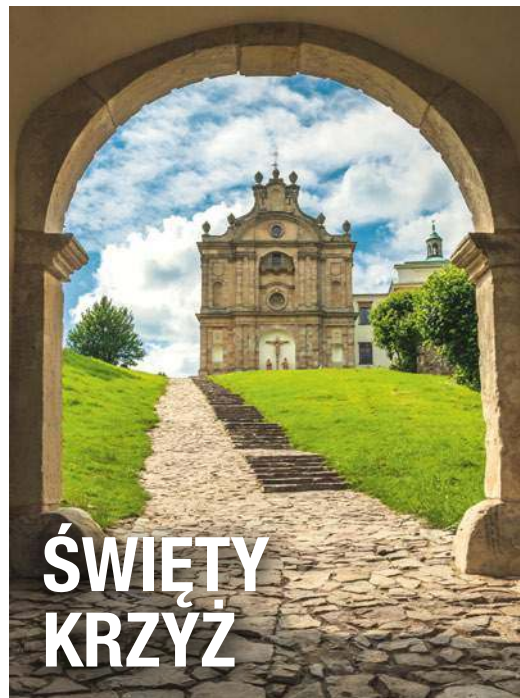
GRZEGORZ GÓRNY

Okazuje się, że przez ostatnie tysiąc lat Mądzarzy pozostawili po sobie na terenie Rzeczypospolitej setki śladów – podobnie zresztą jak inni nasi sąsiedzi: Niemcy czy Rosjanie. W odróżnieniu jednak od Niemców czy Rosjan nie są to miejsca upamiętniające najazdy, mordy, grabieże czy okupacje. Wręcz odwrotnie, niemal wszystkie lokalizacje związane są z postaciami lub wydarzeniami wywołującymi pozytywne skojarzenia.

Autorzy przewodnika to przedstawiciele dwóch pokoleń polonofilów na Węgrzech. Pierwszym jest 76-letni István Kovács – wybitny poeta, historyk, wykładowca akademicki i dyplomata. Jego przygoda z Polską zaczęła się ponad pół wieku temu, gdy przyjeżdżał do naszego kraju jako przedstawiciel tzw. pokolenia autostopowiczów. Po 1956 r. podróżowanie autostopem było bowiem na Węgrzech surowo zabronione, dlatego tamtejsza młodzież, by zbuntować się przeciw systemowi i skosztować zakazanego owocu, wyruszała do Polski, żeby przemierzać nasz kraj wzdłuż i wszerz, korzystając z uprzejmości przypadkowo napotkanych kierowców. To właśnie podczas tych podróży István Kovács ze zdumieniem odkrywał, jak wiele jest w Polsce miejsc, w których jego rodacy pozostawili po sobie ślad.

Drugim autorem jest 43-letni Miklós Mitrovits, historyk i socjolog, który napisał doktorat o Solidarności.

Liczba miejsc, do których dotarli twórcy książki, jest naprawdę imponująca. Tylko 10 z nich spróbujemy przybliżyć naszym czytelnikom.



Na tej górze znajduje się najstarsze sanktuarium na ziemiach polskich. To właśnie tam w 1006 r. założony został pierwszy klasztor benedyktynów. Jak pisał Jan Długosz: „Powstał klasztor, wzniesiony z kamienia przez króla Bolesława Wielkiego, pierwszego króla Polski, w którym drzewa Krzyża Pańskiego znaczna znajduje się częśćka niosąca ludziom dobrodziejstwa, tu pozostawiona przez św. Emeryka, syna św. Stefana, króla Węgier, za zaleceniem anioła widzenia”.

Św. Emeryk (Imre) przybył do Polski na grób św. Wojciecha za panowania Bolesława Chrobrego. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem jako rękojmię bezpieczeństwa zabrał ze sobą w podróż mały relikwiarz z częstką Krzyża Świętego. W czasie drogi wziął udział w polowaniu. Według średniowiecznej legendy, w pogoni za jeleniem miał widzenie anioła, który poprosił go, by na Świętym Krzyżu zostawił swoją relikwię. Udał się więc na górę i ofiarował benedyktynom partyculę Krzyża Prawdziwego. Relikwia do dziś przechowywana jest w sanktuarium, obok którego postawiono pomnik św. Emeryka.



KRAKÓW

Najwięcej madziarskich miejsc pamięci można się doliczyć w Krakowie. Szczególną rolę wśród nich odgrywa katedra na Wawelu, gdzie znajdują się m.in. grobowce św. Jadwigi czy Stefana Batorego. Na wyjątkową uwagę zasługuje jednak kaplica Zygmuntowska. Jej powstanie zawdzięczamy królowi Zygmuntowi Staremu, który postanowił zbudować mauzoleum dla swej ukochanej żony Barbary Zapolyi, która zmarła w 1515 r. jako dwudziestoparolatka.

Ta siedmiogrodzka księżniczka, córka węgierskiego magnata i cieszyńskiej Piastówny, była trzecią koronowaną monarchinią na krakowskim tronie pochodzącą z Węgier. Podobnie jak jej dwie poprzedniczki (św. Kinga i św. Jadwiga) zmarła w opinii świętości. Panowała zaledwie trzy lata. W dokumentach najczęściej tytułowano ją „Barbara regina Poloniae”, choć niekiedy używano dodatkowego określenia „Barbara Hungara”. Zmarła na skutek komplikacji po porodzie. Zrozpaczony mąż postanowił wznieść ku jej czci pomnik. Tak powstała słynna kaplica, będąca dziełem włoskich artystów i perłą architektury renesansowej.



TARNÓW

Z tym miastem związana jest postać bohatera dwóch narodów: gen. Józefa Bema, który urodził się tam w 1794 r. Jako nastolatek walczył w szeregach armii napoleońskiej, odwagą wykazując się m.in. podczas obrony twierdzy gdańskiej, za co odznaczony został krzyżem Legii Honorowej. Był jednym z bohaterów powstania listopadowego, dowodził wojskami polskimi podczas zwycięskiej bitwy pod Iganiami. Pod Ostrołęką uratował powstańczą armię przed całkowitym pogromem.

Po upadku niepodległościowego zrywu wyemigrował do Francji. Gdy w 1848 r. wybuchła Wiosna Ludów, objął dowództwo wojsk węgierskich w Siedmiogrodzie. Odnosił tam wiele zwycięstw nad Austriakami, wypierając ich zupełnie z Transylwanii. Z czasem mianowano go nawet naczelnym dowódcą armii węgierskiej. Dowodzone przez niego wojsko odnosiło sukcesy za sukcesami i zapewne Węgry odzyskałyby niepodległość, gdyby Austria nie zwróciła się o pomoc do Petersburga. Wkroczenie armii rosyjskiej położyło kres węgierskiemu zrywowi.

Po upadku powstania z resztkami wojsk przekroczył granicę z Turcją. W imperium osmańskim przyjął islam, by służyć w armii tureckiej. Spodziewał się bowiem wybuchu konfliktu między carem a sułtanem, który przyczyniłby się do pokonania zaborczych mocarstw i oswobodzenia Polski. W armii tureckiej jako Murad Pasza dosłużył się rangi marszałka, jednak nie doczekał się wybuchu wielkiej wojny. W 1850 r., mając do dyspozycji zaledwie 1,2 tys. żołnierzy i 16 armat, zdołał obronić twierdzę w Aleppo, oblężoną przez 30-tysięczną armię beduińską.

Jego prochy przewiezione zostały do Polski w 1929 r. i złożone w Mauzoleum Józefa Bema w parku Strzeleckim w Tarnobrzegu. Znajduje się ono na środku stawu porośniętego liliami wodnymi i nenufarami. Wzniesiono je na sześciu wysmukłych jońskich kolumnach. W środku mieści się sarkofag kryjący prochy generała. Jego ciało celowo umieszczone jest wysoko, gdyż prawo kościelne zabraniało chowania innowierców (w tym przypadku muzułmanina) w poświęconej ziemi. Na ścianach sarkofagu widnieją napisy w języku polskim: „Józef Bem”, węgierskim: „Ojczulek Bem, największy wódz walki wolnościowej Węgier 1848–1849” oraz pismem arabskim: „Ferik Murad Pasza” oraz daty: 1794 (narodzin), 1850 (śmierci) i 1929 (powrotu szczątków do kraju).

GNIEZNO

Pierwsza stolica Polski była miejscem, w którym splatały się dynastyczne związki Piastów i Arpadów, a także centralnym miejscem kultu św. Wojciecha – patrona Polski oraz węgierskiej archidiecezji prymasowskiej (Esztergom-Budapeszt). Wraz z 12 benedyktynami założył on opactwo w Brzeńnowie (Břevnov) na przedmieściach Pragi, z którego pochodziło wielu późniejszych biskupów Czech, Moraw, Polski i Węgier. Zamieszki polityczne w Czechach zmusiły go do ucieczki. W latach 994–995 głosił Ewangelię na Węgrzech. To właśnie jemu przypisuje się chrzest i bierzmowanie św. Stefana.

W Gnieźnie mieszkała też córka Mieszka II – Ryksa, która wyszła za mąż za węgierskiego króla Belę. Ze związku tego narodzili się dwaj przyszli królowie Węgier: Geza I i św. Władysław I (Łaszło I). Ten drugi, choć był władcą Węgier, to jednak – jak pisze Gall Anonim – „od lat dziecińczy wychowywał się w Polsce i tak pod względem moralności, jak i sposobu życia stał się Polakiem”. To właśnie on zapewnił na Węgrzech schronienie Bolesławowi Śmiałemu, gdy król został wypędzony z kraju po mordzie na krakowskim biskupie św. Stanisławie ze Szczepanowa.

W Gnieźnie znajdują się do dziś relikwie bł. Jolanty, córki węgierskiego króla Beli IV i siostry św. Kingi, która w 1256 r. została żoną księcia Bolesława Pobożnego. Po śmierci małżonka wstąpiła do klasztoru klarysek w Gnieźnie, założonego przez jej męża.



LIDZBARK WARMIŃSKI

W Lidzbarku Warmińskim stoi pałac biskupi, który w latach 1589–1599 stanowił siedzibę Andrzeja Batorego. Był to książę siedmiogrodzki, kardynał, bratanek króla Stefana Batorego. Wykształcenie zdobył w Kolegium Jezuitów w Pułtusku, gdzie jednym z jego nauczycieli był ks. Jakub Wujek. Wówczas nauczył się języka polskiego. Edukację kontynuował w Rzymie, gdzie poznał m.in. św. Roberta Bellarmina i św. Karola Borromeusza. W 1584 r. został przez papieża mianowany biskupem, a wkrótce potem kardynałem, choć nie posiadał święceń. Po śmierci Stefana Batorego kanclerz wielki koronny Jan Zamoyski wysunął nawet jego kandydaturę na króla Polski, jednak nie zdobył on należytego poparcia.

W 1589 r., po śmierci bp. Marcina Kromera, objął diecezję warmińską. Przeprowadzał kościelne reformy w duchu soboru trydenckiego. Stworzył dwór, na którym otaczał się humanistami. Sprowadził na Warmię wielu Węgrów.

W 1599 r. jego stryjeczny brat Zygmunt Batory przekazał mu władzę w Siedmiogrodzie. Andrzej udał się tam, jednak został pokonany w bitwie pod Sibiu przez hospodara wołoskiego, a podczas ucieczki zginął zamordowany przez seklerskich chłopów. Przed wyjazdem zdążył ufundować dla siebie i brata renesansowy nagrobek we franciszkańskim kościele św. Andrzeja w Barczewie. Ostatecznie jednak nie został w nim pochowany.

CZĘSTOCHOWA

Na początku XIII w. na Węgrzech powstał zakon paulinów, który z czasem stał się nadwornym zakonem tamtejszych królów. Wielką sławą cieszył się zwłaszcza ich klasztor w Nosztre, w którym znajdował się elitarny ośrodek wychowawczy dla synów królewskich i książęcych. Nauki pobierał tam m.in. Władysław Opolczyk, skoligacony z dworami panującymi w Polsce i na Węgrzech. To właśnie on w 1382 r. sprowadził spod Budy do Częstochowy grupę węgierskich paulinów, dla których ufundował klasztor na Jasnej Górze. Wkrótce potem trafiła tam również Cudowna Ikona Matki Bożej, którą – zdaniem prof. Wojciecha Kurpika – przywiozła ze sobą do Polski z Węgier św. Jadwiga.

Z czasem Jasna Góra stała się najważniejszym sanktuarium w Polsce, jednak na każdym kroku można tam się natknąć na pamiątki wskazujące na jego związki z Węgrami: pomnik założyciela paulinów bł. Euzebiusza z Esztergomu, poczet królów węgierskich czy malowidła przedstawiające męczeństwo węgierskich paulinów z rąk tureckich okupantów. Co roku do Częstochowy przybywa też Narodowa Pielgrzymka Węgierska, na czele której stoi zwyczajowo przewodniczący parlamentu w Budapeszcie.





ZAMEK KAMIENIECKI

Mało kto w Polsce wie, że z naszym krajem związane były losy najwybitniejszego węgierskiego poety okresu renesansu Bálinta Balassiego. Jego rola w historii tamtejszej literatury porównywana może być tylko do Jana Kochanowskiego u nas.

Balassi urodził się w 1554 r. w arystokratycznej rodzinie protestanckiej. Razem z ojcem uczestniczył w wojnach z Turcją i Siedmiogrodem. Wtedy został wzięty do niewoli przez Stefana Batorego. Kiedy ten ostatni został królem Polski, zabrał więźnia ze sobą. Poeta przebywał w naszym kraju przez trzy lata. W tym czasie tworzył poezję nie tylko po węgiersku. Napisał także kilka wierszy po polsku.

W 1577 r. wrócił na Węgry. Przeszedł na katolicyzm, tworzył liryki religijne i miłosne, walczył w husarii. W 1589 r. znów znalazł się w Polsce. Przez dwa lata mieszkał w Krakowie i Braniewie. Zginął w roku 1594, śmiertelnie ranny przez Turków podczas oblężenia Esztergomu.

W kilku miejscach w Polsce, gdzie przebywał, znajdują się dziś tablice upamiętniające jego pobyt, m.in. w Rymanowie, Nowym Żmigrodzie i na Zamku Kamienieckim w Odrzykoniu, gdzie gościny udzieliła mu rodzina Bonerów.

JAROSŁAW

Jednym z największych bohaterów narodowych Węgier był siedmiogrodzki książę Franciszek II Rakoczy, który w 1701 r. jako 25-latek został aresztowany przez Austriaków za działalność niepodległościową. Przed śmiercią uratowała go brawurowa ucieczka z więzienia w Wiener Neustadt. Rakoczy zbiegł do Polski, gdzie prowadził dyplomatyczną akcję antyhabsburską. Kiedy w 1703 r. wybuchło na Węgrzech powstanie chłopskie, stanął na jego czele. Jeszcze z terenu Polski wydał odezwę „do wszystkich prawdziwych Węgrów”, „szlachciców i nieszlachciców”, wzywając ich do walki „o ojczyznę i wolność”. Przekroczył granicę węgierską w Karpatach, a jego wojska szybko zdobyły prawie cały Siedmiogród i górne Węgry. Rok później obwołany został najpierw księciem Siedmiogrodu, a następnie Węgier.

Powstanie ostatecznie zakończyło się klęską Węgrów, a Rakoczy znów musiał uciekać do Polski. Szczególne dużo czasu spędził w Jaworowie, Wysocku, Gdańsku, a przede wszystkim w Jarosławiu. Król Francji Ludwik XIV, który był jego sojusznikiem, wykupił dla niego i przekazał mu na własność Jarosław wraz z okolicznymi dobrami. To właśnie w tym mieście Rakoczy spotykał się z carem Piotrem I. Otrzymał wtedy propozycję korony polskiej. Odmówił jednak z uwagi na szacunek dla Polaków i schronienie, jakie mu udzielili.

Przez pewien czas Rakoczy miał romans z Elżbietą Sieniawską – córką Stanisława Lubomirskiego i Zofii Opalińskiej. Zakochana para spotykała się na potajemne schadzki w domu Orsetich w Jarosławiu, który zachował się do dziś.





NIEDZICA

W Pieninach znajdował się najdalej wysunięty na północ zamek węgierski. Ta średniowieczna warownia została wzniesiona na początku XIV w. przez madziarskiego rycerza Rykolf Berzevichę ze Strążek. W późniejszych wiekach przeszła na własność rodu Drugethów, a następnie Zapolyów. Jej panem był m.in. żupan spiski Emeryk Zapolya, dziadek Barbary, królowej Polski, pierwszej żony Zygmunta Starego. Jego wnuk, Jan Zapolya, został w 1526 r. królem węgierskim. Swe zwycięstwo w walce o tron zawdzięczał w dużej mierze dyplomacji Hieronima Łaskiego, któremu w dowód wdzięczności podarował Spisz z Kieżmarkiem, Gelnicą i właśnie Niedzicą. Przez 60 lat zamek był w posiadaniu Łaskich.

Po nim fortecę przejęły węgierskie rody: najpierw Horváthowie, a w XIX stuleciu Salamonowie. Po I wojnie światowej zamek znalazł się na terytorium Polski, ale jego właścicielami byli nadal Salamonowie. W swoich dobrach aż do 1931 r. utrzymywali pewne formy pańszczyzny, zwane żelarką. Zostali wywłaszczeni dopiero przez komunistów w 1945 r.

Dziś obiekt pełni funkcje muzealno-hotelowo-gastronomiczne. W części muzealnej oglądać można np. komnaty Salamonów czy zamkowe lochy, które służyły m.in. jako więzienie. Wiele eksponatów jest darem od jednego z madziarskich „autostopowiczów” – Ákosa Engelmayera, który w 1962 r. osiedlił się w Polsce, a po upadku komunizmu został pierwszym ambasadorem Węgier w Warszawie. Przez ponad pół wieku jeździł po naszym kraju, zbierając różne hungariki, by następnie przekazać je muzeum w Niedzicy.

SZCZECIN

Z tym miastem związana jest Ilona Korompay – córka polskiego oficera pochodzenia węgierskiego. W czasie wojny zginęły dwie jej siostry: Marta jako sanitariuszka podczas bombardowania stolicy we wrześniu 1939 r., oraz Elżbieta, ps. Grażyna, zakatowana w 1943 r. przez gestapo za udział w akowskiej konspiracji.

Ich ojciec, Aldar Emanuel Korompay, wykładowca języka węgierskiego na Uniwersytecie Warszawskim, trafił w 1939 r. do sowieckiej niewoli. Więziony był w Starobielsku. Ponieważ w tym czasie obowiązywał pakt Ribbentrop–Molotow, a Węgry były sojusznikiem Niemiec, więzień mógł zostać zwolniony. Musiał spełnić tylko jeden warunek: zadeklarować się jako Węgier i wyrzec polskości. Nie zrobił tego i został zamordowany w Charkowie przez NKWD w kwietniu 1940 r. Jego żona Mieczysława, wywieziona do obozu w Oświęcimiu, zmarła w styczniu 1944 r. na tyfus.

Ilona została sama. Działała w AK i była poszukiwana przez gestapo. Podczas powstania warszawskiego pomagała ranym. Po wojnie mieszkała m.in. w Częstochowie, we Wrocławiu, Gietrzwałdzie i Szczecinie. Przez cały czas pamiętała o zobowiązaniu swojego ojca, który tuż przed wybuchem wojny (w podziękowaniu za uzdrowienie) przyrzekł wybudować kaplicę ku czci Matki Bożej. Postanowiła wypełnić jego przyrzeczenie. W parafii, w której mieszkała, włączyła się więc w budowę sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej. Jeździła po całej Polsce z prośbą o modlitwę i ofiary na ten cel. Ostatecznie świątynia powstała na osiedlu Słoneczne w Szczecinie. Ilona Korompay czuła, że spełniła w ten sposób ostatnią wolę ojca. Zmarła w 2010 r. w Warszawie.



Trudny powrót do normalności

Włoski rząd traktuje przeciwników szczepień bez pobłażania. Osoby niezaszczepione zostaną pozbawione możliwości podjęcia pracy, pójścia do kina czy wejścia do supermarketu. Chyba że będą się co trzy dni testować, ale to summa summarum byłaby bardzo kosztowna i raczej nierealna zabawa

Z *Magdaleną Wolińską-Riedi*, pisarką, dziennikarką, korespondentką TVP z Rzymu i Watykanu, rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy turyści wrócili już do Włoch?

Magdalena Wolińska-Riedi: To zależy od miejsca. Jeśli chodzi o sam Watykan, w którym żyję na co dzień (mam na myśli nie teren za Spizową Bramą, lecz przylegające uliczki, plac św. Piotra), to trzeba przyznać, że te miejsca wciąż świecą pustkami. Owszem wieczorami wypełniają się okoliczne restauracyjki i pizzerie, ale to rzymianie, którzy po miesiącach ogromnych restrykcji chcą się cieszyć tradycją wychodzenia na kolację z domu. Turystów jak na lekarstwo. Inie da się uciec od pytania: kiedy to się zmieni? Cała masa ludzi: sklepikarze sprzedający pamiątki, restauratorzy, pracownicy agencji turystycznych, którzy sprzedają objazdowe wycieczki

po Rzymie, siedzą i płaczą. Jest trochę lepiej w stosunku do ubiegłego roku, gdy jeszcze nie mówiło się nawet o szczepionce, a panowało, zwłaszcza latem, lekkie odmrożenie ze względu na spadek zakażeń. W ub.r. Włosi w turystyce stracili prawie 90 mld euro. Teraz zaczynają się pojawiać zorganizowane grupy. Jednak gdy porównać dzisiejszą sytuację do tej sprzed pandemii z 2019 r., gdy były tu miliony turystów, to jest po prostu marnie. 2019 r. został uznany za absolutny rekord w turystyce, a sama branża, po raz kolejny, za kopalnię złota włoskiej gospodarki. W turystyce zatrudniano ponad 4 mln osób. Teraz sektor stracił jedną czwartą miejsc pracy. To efekt pandemii. Wielu pracowników

sezonowych i tymczasowych zostało zmuszonych do szukania pracy w innych sektorach, czego skutkiem jest to, że restauracje, hotele i obiekty turystyczne mają trudności ze znalezieniem wykwalifikowanego personelu.

Puste są tętniące niegdyś życiem place, świecą pustkami zatłoczone wcześniej boczne uliczki, nie ma tłumów w obleganych niegdyś knajpkach. Można spokojnie spacerować po miejscach i miastach, przez które niegdyś nie dało się przecisnąć. I to na pewno jest idealny czas, by wybrać się do Italii, do samego Rzymu i innych słynnych miast. Zaletą jest to, że od końca czerwca na powietrzu nie nosimy już maseczek. Optymistyczne jest także to, że sklepiki są pootwierane, ludzie próbują w jakiś sposób wracać do normalności, nawet jeśli obroty nie powalają.

Kto w tym momencie najchętniej odwiedza Watykan i Rzym?

Głównie są to oczywiście goście z krajów europejskich. Niemala jest Niemców, Francuzów. Widzę i słyszę stosunkowo dużo turystów z Polski w porównaniu z innymi nacjami. Co druga grupa pielgrzymów przy Watykanie to Polacy. Ale nie ma tych, którzy byli paliwem włoskiej turystyki.

Praktycznie nie ma Amerykanów. Funkcjonują co prawda loty „covid free”, kiedy na pokład są wpuszczani tylko pasażerowie z ujemnym wynikiem testu na obecność koronawirusa, ale to jakoś wiele nie zmieniło. W ogóle nie ma Azjatów, którzy tu szaleli z swoimi aparatami i kamerami.

Ogromna liczba Chińczyków przybyła do Włoch w 2019 r., a 2020 miał być rokiem kultury i turystyki włosko-



Fot. Materiały prasowe

Można spokojnie spacerować po miejscach i miastach, przez które niegdyś nie dało się przecisnąć. I to na pewno jest idealny czas, by wybrać się do Italii, do samego Rzymu i innych słynnych miast

-chińskiej, oczekiwania co do przybycia Chińczyków były bardzo wysokie. Znacząco zwiększono liczbę lotów z Azji do Rzymu, a potem... przyszła pandemia.

Opustoszał tylko Rzym czy również inne części Włoch?

Gdy byłam na siatkarskiej Lidze Narodów w Rimini, to były tam tłumy ludzi, zupełnie niezwiązane z siatkówką. Bardzo wiele osób zappełniało

tamtejsze plaże. Akurat Rimini i całe tamto wybrzeże ze względu na miejsce nad morzem, jakim dysponuje, zagwarantowało fantastyczne warunki sanitarne dla swoich gości, przestrzeń pomiędzy parasolami na plaży to 18 mkw., dezynfekcja wszystkich urządzeń, pryszniców. Można też zamówić kolację bezpośrednio na leżak, nie tłocząc się w barze czy restauracji. Natomiast generalnie w słynnych miastach sztuki jest pustawo.

Zresztą dzisiejsze pustki są także pokłosiem tego, co działo się podczas Euro. Podczas finałowego meczu Wielka Brytania – Włochy wszędzie były tłumy ludzi. Przy pubach, na placach były roztawione telebimy. Kibice chętnie wspólnie oglądali, świętowali, bawili się i teraz mamy wzrosty zachorowań. Po wygranej szaleństwo pod niebem Italii trwało do białego rana! Dominuje oczywiście także tu, we Włoszech, mutacja delta.

Chorują głównie (choć często bezobjawowo lub skąpoobjawowo) młodzi ludzie w wieku 16–25 lat, czyli ci, którzy najbardziej szaleli podczas Euro. To grupa społeczna o najmniejszym odsetku szczepień na tę chwilę, zaszczepiono ich niecałe 25 proc. Problem polega na tym, że oni nawet nie zauważają, że są chorzy, ale zarażają osoby starsze, z grup ryzyka, które jeszcze nie zdążyły lub nie mogą się zaszczepić. I stąd wzrost zgonów i hospitalizacji w ostatnim tygodniu. Obecnie w niektórych regionach Włoch, np. na Sycylii, która jest mekką włoskich wakacji, mamy wzrost zachorowań (tydzień do tygodnia) o 63 proc.

Włosi chętnie się szczepią?

Zdeklarowanych przeciwników szczepień jest ok. 5 proc., a jeszcze na początku roku było ich ok. 12 proc. Ponad dwie trzecie Włochów uważa, że nie ma innej drogi pokonania pandemii. Możliwość szczepienia przyczyniła się do podjęcia przez wielu decyzji o wyjeździe na wakacje. Niektóre regiony, jak Liguria czy Lombardia, dały swoim mieszkańcom możliwość zaszczepienia się drugą dawką w miejscach, gdzie spędzają urlop, aby narzucony termin szczepienia nie pokrzyżował ich rodzinnych planów. Przekonanie o konieczności szczepień rośnie dość szybko. Średnio dziennie szczepi się ponad 500 tys. osób. Od 6 sierpnia wchodzi w życie dekret o obowiązku posiadania green pass. Bez tego dokumentu nie będzie można wejść do restauracji, kina, teatru, pójść na basen czy siłownię. Wszędzie trzeba będzie okazać green pass. Efekt przepisów jest taki, że Włosi masowo zapisują się na szczepienia. Dzienna liczba osób rejestrujących się wzrosła w niektórych regionach nawet o 200 proc. Apteki zavalone są ludźmi, którzy proszą o szybkie szczepienia.

Włosi nie protestowali przeciw tym przepisom?

Protestowali, ale nie tak masowo jak Francuzi. Jednak włoski rząd traktuje ich bez pobłażania. Minister zdrowia powiedział nawet, że jeśli nie można wprowadzić ustawowego obowiązku szczepień, to życie zostanie tak zorganizowane, by antyszczepionkowcy zostali

wyłączeni z życia społecznego poprzez narzucanie obowiązku okazania green pass, choćby przy szukaniu nowego zajęcia czy też, jak wspomniałam, w różnych momentach życia towarzyskiego. Osoby niezaszczepione zostaną pozbawione możliwości podjęcia pracy, pójścia do kina czy wejścia do supermarketu. Chyba że będą się co trzy dni testować, ale to summa summarum byłaby bardzo kosztowna i raczej nierealna zabawa. Rząd wprowadził możliwość

Turyści chętniej wybierają się na włoską wieś niż do zatłoczonych niegdyś miast. Widać to np. po finansowym odbiciu agroturystyki, która w zeszłym roku straszliwie ucierpiała. Teraz nawet sami Włosi chętnie wyjeżdżają na zieloną trawkę

darmowych testów dla młodych osób chcących skorzystać z kina czy dyskoteki, jednak wyłącznie w sytuacji, gdy taka osoba będzie już zarejestrowana na szczepienie i będzie w stanie to udowodnić, okazując termin szczepienia. Z tego rozwiązania nie będą mogli więc skorzystać klasyczni antyszczepionkowcy.

Turystyka po pandemii się zmieni?

Już się zmienia. Turyści chętniej wybierają się na włoską wieś niż do zatłoczonych niegdyś miast. Widać to np. po odbiciu agroturystyki, która w zeszłym roku straszliwie ucierpiała. Teraz nawet sami Włosi chętnie wyjeżdżają na zieloną trawkę. Obcokrajowcy rozglądają się częściej za domami do wynajęcia niż kurortami typu all inclusive lub hotelami. Ludzie zaczęli bardziej doceniać unikatowość, wyjątkowość miejsc cichszych, spokojniejszych, bardziej indywidualnych. Chętniej korzystają z jedzenia od lokalnych gospodarzy, z lokalnego ogródka.

Co ciekawe, połowa z 55 włoskich obiektów UNESCO znajduje się w gminach poniżej 5 tys. mieszkańców. Rozwija się też jeszcze bardziej niż przed pandemią turystyka górską w Dolomitach i w innych miejscach na północy kraju oraz turystyka aktywna, np. rowerowa.

I w tym kierunku pewnie też będzie się rozwijać ta branża. Choć będzie się to wiązało z pewną ekskluzywnością takich miejsc. Zyskają zabytkowe małe miasteczka, zyska włoska wieś, już zy-

skuje. Ludzie chętniej będą odwiedzać lokalne atrakcje, które zawsze istniały, ale pozostawały w cieniu. To będzie zastępowało chęć pchania się, jak było dotychczas, do centrum Florencji, do Koloseum, muzeów watykańskich czy pod Wezuwiusza. Teraz ludzie chętniej odwiedzą lokalną piwniczkę z dobrym winem lub pensjonat, który serwuje domowe specjały. Wątpię jednak, żeby to był trend masowy.

A sami Włosi inaczej podróżują?

Inaczej. W tym roku w ciągu całego lata za granicę wyjeździe tylko 6 proc. z nich według najnowszych szacunków. Większość pozostała w kraju. Po pierwsze, jest świadomość, że sytuacja pandemiczna jest niepewna, a po drugie, jednak Włochów zwyczajnie w tym roku nie stać na podróżowanie. Według oficjalnych danych milion ludzi straciło pracę. A przecież tu masa ludzi pracuje na czarno. Turystyka daje Włochom 13 proc. PKB. Żyją z niej nie tylko hotelarze, lecz również np. właściciele pralni, którzy, gdy zamknięto hotele, też nie mieli z czego żyć. Jak mówiłam, biznes z wolna się podnosi, ludzie znajdują zatrudnienie, choćby na część etatu, wciąż jednak potrzebne są rządowe programy wsparcia. Niestety nie są to wielkie sumy, w dodatku przychodzące z ogromnym opóźnieniem.

Ceny bardzo wzrosły?

Jest bardzo drogo. Sama szukałam miejsca dla dzieci, gdzieś nad morzem niedaleko Rzymu i nie było łatwo. Jest jeszcze drożej, niż było rok temu. Za



miesięczny wynajem małego mieszkania trzeba średnio zapłacić 500 euro więcej niż w 2020 r. To też wynik desperacji. Skoro turystów i tak jest mniej, to trzeba wykorzystać tych, którzy są. Jednak cóż mają zrobić sami Włosi, gdy dzieci mają trzy miesiące wakacji? Zapożyczają się, oszczędzają, wszystko po to, żeby jakoś dzieci nad morze wysłać. Nikt więc nie próbuje walczyć o turystów niższą ceną, tylko zyskać maksymalnie w zaistniałej sytuacji. Jednocześnie przy wzroście cen poziom usług jest dość opłakany. W małym domku, który wynajęłam, a nie był tani, nie było piekarnika ani zmywarki, standard bardzo słaby. I nie mówimy tu o Capri ani Positano, tylko o podrzymskich miejscowościach. A Włosi będą się starali jak najszybciej wrócić do tego, co było, czyli sprzedawać jak najwięcej usług jak najniższym kosztem. Taką mają mentalność. Dostali w darze od Stwórcy piękny kraj i piękną pogodę oraz rewelacyjne jedzenie. I to jest ich mocna karta przetargowa. Na tym zbijają pieniądze, bo to turystów kosztuje, a ludzie mimo wszystko są gotowi sporo za takie

Obecnie w niektórych regionach Włoch, np. na Sycylii, która jest mekką włoskich wakacji, mamy wzrost zachorowań (tydzień do tygodnia) o 63 proc.

atrakcje zapłacić. Nieraz się zastanawiam, jak wyglądałyby Włochy, gdyby zarządzaniem zajęli się uporządkowani i precyzyjni Szwajcarzy. Mógłby to być istny raj na ziemi. Oczywiście musiałaby tu pozostać włoska dusza i spontaniczność w przyjmowaniu gości! Bo właśnie to podbija serca wszystkich.

Jaka jest forma psychiczna Włochów po pandemii?

Daje się zauważyć niepewność, desperację, oswiałość, lęk o przyszłość. Na

szczęście znalazły kolejki do Caritasu, bo jednak mamy pewne ożywienie, choć turystów jest znacznie mniej. Niestety wiele osób musi zrezygnować z życia w mieście, bo ich już po prostu na to nie stać. Muszą szukać tańszych lokalizacji, poza miastem lub przynajmniej poza centrum, bo zwyczajnie nie mają pieniędzy na opłaty. Ucierpiało wiele rodzinnych biznesów. Poupadały rodzinne warsztaty, pracownie. Poznałam kobietę, której rodzina od trzech pokoleń, od 150 lat, prowadzi mały antykwariat. Mówiła, że teraz nikt do nich nie zagląda i chyba będzie musiała zamknąć interes. To jest dramat i takich historii jest więcej. Poza tym, jeśli ludzie od miesięcy nie dostają wypłat, to nawet do szewca chodzą rzadziej, bo liczą każdy grosz. Przyglądałam się też piekarni blisko mojego domu, która żyła z turystów, biurowców. I teraz nawet piekarz ma problem, żeby się utrzymać. Trudne chwile pomagają wszystkim przetrwać klimat, pogoda, piękne otoczenie.

A jak pandemia przekłada się na politykę?

Z jednej strony jest premier Mario Draghi, z bardzo rygorystycznym nastawieniem wobec antyszczepionkowców, który jest przekonany, że jedyną drogą wyjścia z kryzysu są szczepienia. Z drugiej jest Matteo Salvini, z populistycznym i łagodnym podejściem do tych, którzy szczepić się nie chcą, który krzyczy, że przymus nie ma nic wspólnego z demokracją. Ale ten drugi świeżo się zaszczepił, podobnie jak Giorgia Meloni. Mamy kolejne dekrety wsparcia, ale

pieniądze przychodzą z opóźnieniem, i na to ludzie się buntują, bo nie czują, żeby rząd wspierał ich wystarczająco mocno. Jest na pewno dużo napięć i niepewności. Oby zbliżająca się czwarta fala epidemii nie odbiła się na gospodarce tak dramatycznie jak poprzedni sezon. Minister zdrowia Roberto Speranza zapewnia, że do września zaszczepione będzie 80 proc. społeczeństwa, co zagwarantuje odporność zbiorową. Wtedy nie trzeba będzie na szczęście myśleć o kolejnym lockdownie. ▲

Rewolucja pożera Amerykę

Stany Zjednoczone przeszły w ciągu ostatniego półwiecza metamorfozę, w której wyniku dawna potęga zamieniła się – głównie wskutek wewnętrznych konfliktów – w państwo, które trwoni dziś swój autorytet u sojuszników i budzi coraz mniej respektu u wrogów. To prawda, że Ameryka, nawet w szczycie swojej wielkości, nie była wolna od poważnych problemów społecznych. Zbudowane na twardych, protestanckich zasadach społeczeństwo było podporządkowane kultowi pracy i pieniądza, co – owszem – przynosiło zyski i stało się fundamentem ekonomicznego sukcesu, lecz jednocześnie miało swoje skutki uboczne. Ogromne nierówności, rasizm, niewolnictwo, a także silnie patriarchalna struktura społeczna doprowadziły do gwałtownych napięć i ostatecznie przechyliły wahadło w drugą stronę, stając się podłożem społecznej i kulturowej rewolucji tłącej się w Ameryce już od ponad 50 lat. To wystarczająco długo, aby naruszyć dotychczasową strukturę społeczną i mocno osłabić państwo.

Ostatnio proces ten nabrał przyspieszenia. Jest to w dużej mierze pokłosie prezydentury Donalda Trumpa, który wdarł się do hermetycznego świata amerykańskich elit, opierając swoją władzę na głosach wzgardzonego dziś tradycyjnego białego elektoratu z prowincji. Nie powstrzymało to zmian, wręcz przeciwnie, doprowadziło do kontrofensywy elit, które – byle tylko pozbyć się Trumpa – zgodziły się na dopuszczenie do głosu najbardziej radykalnych skrzydeł amerykańskiej lewicy. Ruch Black Lives Matter był jedną z konsekwencji tego antytrumpowego radykalizmu. Inną jest pojawienie się

Zrewoltowane Stany Zjednoczone miały po odsunięciu Donalda Trumpa powrócić do normalności. Jednak pierwsze półrocze rządów Joego Bidena pokazuje, że nowy prezydent nie zdołał powstrzymać lewicowych radykałów. Problem w tym, że z uwagi na globalny zasięg polityki amerykańskiej konsekwencje tłącej się tam rewolucji społecznej mogą się okazać poważne dla nas wszystkich



KONRAD KOŁODZIEJSKI

w amerykańskim mainstreamie silnie lewicowego nurtu z jego postulatami sprawiedliwości społecznej (niekiedy zresztą dość specyficznie rozumianej). W pogoni za Trumpem wyciągnięto dzina, którego będzie już bardzo trudno zapędzić z powrotem do butelki. O ile to w ogóle jeszcze możliwe.

WOLNOŚĆ PŁCI

Trudno powiedzieć, na ile administracja Joego Bidena czuje się zakładnikiem swoich niedawnych lewicowych sprzymierzeńców, jest jednak faktem, że postanowiła spłacić część zaciągniętych u nich zobowiązań i zrealizować niektóre postulaty.

Szczególnymi względami obecnej ekipy w Białym Domu cieszą się mniejszości seksualne. Przy czym o ile udało już się zaspokoić główne postulaty gejów i lesbijek, o tyle w kolejce czekają dalsze literki ze skrótu LGBT+. Administracja Bidena rozpoczęła więc swoje urzędowanie od skrupulatnego przeglądu przepisów federalnych dotyczących płci, który – zgodnie z zapowiedziami ogłoszonymi podczas kampanii wyborczej – miałby zostać zwieńczony wydaniem tzw. ustawy o równości.

Ten przegląd już się zaczął, o czym świadczą decyzje prezydenta poszerzające prawa osób transpłciowych. Jednym z jego pierwszych posunięć po zaprzysiężeniu było wydanie zarządzenia, dzięki któremu uczniowie płci męskiej, którzy zadeklarują, że są kobietami, mogą startować w kobiecych zawodach sportowych, korzystać z damskich szatni i łazienek itp. To samo – tyle że w przeciwną stronę – dotyczy dziewcząt, które zdecydują, że są chłopcami.



Inne zarządzenie zniszło z kolei zakaz służby wojskowej osób transpłciowych, wprowadzony w 2017 r. przez Trumpa. Nowa administracja argumentuje, że wszyscy Amerykanie są równi, dlatego nikt nie może być dyskryminowany z powodu swojej orientacji. Jest to zresztą bardzo ładnie przedstawione. Mówi się bowiem o tym, że w wolnym kraju nie wolno źle traktować osoby na podstawie tego, kogo i jak ta osoba kocha. Zatem – tak jak nas przekonują zwolennicy „tęczowej rewolucji” – nie o ideologię tu chodzi, lecz o wyższe uczucia.

Ameryka Bidena zamierza walczyć o wolność wyrażania tych uczuć – niczym Związek Radziecki o pokój – na wszystkich frontach i na całym świecie. Świadczy o tym zapewne nie demokratów, że wsparcie dla praw społeczności LGBT+ będzie odtąd jednym z priorytetów amerykańskiej polityki zagranicznej. Na naszym polskim gruncie dowodzi tego chociażby nadmierna aktywność obecnego *chargé d'affaires* ambasady USA w Warszawie. Nowa ekipa deklaruje również, że osoby prześladowane z powodu swojej orientacji seksualnej będą mogły liczyć na ułatwienia w przyznaniu im azylu w Stanach Zjednoczonych.

Demokraci, jak wynika z ich programu, silnie wchłonęli progresywną agendę domagającą się zmiany tożsamości całego społeczeństwa. Feministki, homoseksualiści, Afroamerykanie, rdzenni Amerykanie – teraz nadszedł ich czas. To te grupy mają zająć miejsce białej patriarchalnej rodziny. Ich uprzywilejowanie ma być uzasadnione dawnymi – prawdziwymi i wymagowanymi – krzywdami. Inaczej – twierdzi ekipa Bidena – nie

Wsparcie dla społeczności LGBT+ należy dziś do priorytetów amerykańskiej polityki zagranicznej. Dowodzi tego nadmierna aktywność obecnego *chargé d'affaires* ambasady USA w Warszawie

da się zbudować prawdziwie sprawiedliwe społeczeństwo. Nowej wielkiej Ameryki będącej inspiracją dla całego postępowego świata.

RASIZM À REBOURS

Demokraci zastanawiali się podczas lipcowej debaty programowej w 2020 r., co należy zrobić, aby mniejszości rasowe i etniczne (Afroamerykanie, Latynosi i rdzenni Amerykanie) żyły w Ameryce na podobnym poziomie co białe rodziny. I doszli do wniosku, że jedną z metod wyrównywania szans

powinno być skierowanie pomocy finansowej wyłącznie do biznesów należących do przedstawicieli mniejszości. Inaczej mówiąc, o wsparciu udzielanym przez państwo decydowałoby kryterium rasowe. Jednak zarzut dyskryminacji rasowej – tyle że à rebours – odbija się od pomysłodawców jak echo od ścian. Wyjaśniają oni bowiem, że uprzywilejowanie ofiar 250 lat „nie-wolnictwa” jest dziś całkowicie usprawiedliwione.

Taka postawa wynika z coraz popularniejszej za oceanem tzw. krytycznej teorii rasy. Teorię tę sformułował w latach 70. Derrick Bell, pierwszy czarny profesor prawa na Uniwersytecie Harvarda. Bell stwierdził, że dyskryminacja jest utrwalona w prawie i w ten sposób wpływa na nierówność szans w społeczeństwie, gospodarce, kulturze i polityce.

Teoria Bella początkowo była wykładana w ramach zajęć z prawa, jednak w ciągu ostatniego ćwierćwiecza zaczęła przenikać do innych dziedzin. Dziś weszła ona już do kanonu lewicowych teorii społecznych w Ameryce i teraz, w następstwie ruchu BLM, jest coraz częściej przekuwana w realne postulaty.

Zgodnie z tą teorią za całe zło na świecie – najprościej mówiąc – odpowiada biały człowiek. Dlatego eliminacja zła musi być zawsze związana z ograniczeniem bądź eliminacją wpływu białego człowieka na rzeczywistość. Wynika z tego również, że w każdej dziedzinie ludzkiej aktywności kryterium rasowe jest decydujące. Niezależnie od tego, czy – tak jak w akcji afirmatywnej – chodzi o limit miejsc na uczelniach wyższych czy o subwencje na budowę dróg (jasne, że większe środki dostanie to miasto, gdzie jest większy procent czarnych mieszkańców). Wszystko po to, aby zlikwidować strukturalny rasizm wobec niebiałej ludności.

Zresztą na uczelniach też już nie chodzi o limit miejsc, ale o program nauczania. Uniwersytet Princeton – jedna z najszaconiejszych i najlepszych uczelni na świecie – postanowił np. ułatwić naukę studentom z mniejszości etnicznych i specjalnie dla nich zrezygnował z obowiązkowych kursów łaciny i greki na wydziale filologii klasycznej. Jednocześnie w zamian rozwijają się studia afroamerykańskie, a niedawno na wydziale politologii wprowadzono egzamin z przedmiotu „Rasa i polityka Stanów Zjednoczonych”.

„PRZEFORMUŁOWANA” HISTORIA

Największy problem z krytyczną teorią rasy pojawia się właśnie w edukacji, która staje się dziś głównym polem starcia kulturowego. Trump zakazał finansowania tych szkół publicznych, w których wykładano elementy krytycznej teorii rasy, jednak Biden cofnął decyzję swojego poprzednika. Dziś amerykańskie dzieci mogą się więc dowiedzieć, że biały kolor skóry jest gorszy od innych, a cała historia Ameryki to po prostu dzieje zbrodni popełnianych przez białych ludzi, którzy nie zasługują na żadną pamięć potomnych (nic więc dziwnego, że obala się ich pomniki). W niektórych szkołach zaleca się też lekturę książki autorstwa lewicowej aktywistki Anastasii Higginbotham. Wyjaśnia ona dzieciom, że „każde miejsce, w którym są biali ludzie, ma w sobie agresywną białą supremację”. Co gorsza, biali nie mogą uciec od swojej nędznej tożsamości, przejmując elementy „wyższej” czarnej kultury, bo byłoby to jej „zawłaszczeniem”, a więc formą kolonializmu.

Krytyczną teorię rasy uzupełnia tutaj tzw. projekt 1619, jak nazwano serię artykułów zamieszczonych w „The New York Times”, w których postulowano „przeformułowanie historii Stanów Zjednoczonych poprzez umieszczenie w jej centrum konsekwencji niewolnictwa i wkładu czarnych Amerykanów”. Liczba 1619 oznacza rok, w którym jakoby sprowadzono do Ameryki pierwszych czarnych niewolników. To właśnie od tego momentu, a nie od ogłoszenia Deklaracji niepodległości w 1776 r., powinno się – zdaniem autorów projektu – liczyć historię Stanów Zjednoczonych, a historia ta powinna się koncentrować głównie na rdzennych oraz czarnych mieszkańcach państwa. Oczywiście byłoby to niezgodne z faktami,

ale chodzi przecież o coś znacznie ważniejszego niż fakty, bo o wyrównanie historycznych krzywd i niesprawiedliwości.

Eksperymenty edukacyjne amerykańskiej lewicy będą protesty wielu rodziców oraz niektórych władz stanowych i konserwatystów. Ale nie tylko. Zaniepokojeni są również liberałowie, którzy uważają, że budowanie hierarchii społecznej według kryterium rasy jest całkowicie niezgodne z duchem równości. Lewica odpowiada na to liberalom, że równość nie ma znaczenia, jeśli nie jest oparta na sprawiedliwości społecznej.

NOWY DUCH RÓWNOŚCI

Zrewoltowane Stany Zjednoczone miały po odsunięciu Trumpa powrócić do normalności. Jednak pierwsze półrocze rządów Bidena pokazuje, że nowy prezydent nie zdołał albo po prostu nie chciał powstrzymać lewicowych radykałów.

Zgodnie z zasadami liberalnej demokracji rządy radykalności powinny być ograniczone prawami mniejszości. W obecnej Ameryce mamy jednak pójście krok dalej. Radykalna le-

wica zmierza bowiem do tego, aby – w imię „historycznej sprawiedliwości” – większość po prostu oddała realną władzę mniejszościom. Taki eksperyment, o ile byłby kontynuowany, oznaczać będzie rzeczywiste ograniczanie demokracji. To z kolei sprawi, że główny atut Ameryki, jakim jest – przy wszystkich niedociągnięciach – rola lidera wolnego świata, zacznie przechodzić do historii. A wraz z nim zmniejszy się polityczne znaczenie Stanów Zjednoczonych. Można już zresztą dostrzec pierwsze oznaki tego procesu, choć jeszcze nie jest on chyba nieodwracalny.

Oczywiście z perspektywy amerykańskiej liberalnej lewicy i bliskich jej ideowo środowisk na świecie rzecz wygląda zapewne inaczej. Przyjmuje się bowiem, że postulowana „sprawiedliwość dziejowa” czy też „wyrównywanie szans” wprost wynikają z ducha liberalizmu. Równość – jak się powiada – jest fikcją, jeśli każdy członek społeczeństwa ma do pokonania inny dystans. To oczywiście prawda, tyle że radykalna lewica wcale nie wyrównuje tych dystansów, lecz jedynie inaczej rozstawia uczestników wyścigu. Białego umieszcza np. w miejscu czarnego, a homoseksualistę w miejscu heteroseksualisty. Nadal jest więc nierówno i niesprawiedliwie.

Promowanie takiego „rewolucyjnego ducha wolności i równości” będzie więc budzić naturalny sprzeciw w świecie, tak jak budzi go już w samych Stanach Zjednoczonych. Oczywiście Ameryka pozostaje na tyle potężnym państwem, że jest w stanie przeforsować nowe „wartości”. Byłaby to jednak miara upadku Ameryki. Wywieranie presji świadczy bowiem jedynie o niskiej atrakcyjności własnej oferty. Problem w tym, że z uwagi na globalny zasięg polityki amerykańskiej konsekwencje tłącej się tam rewolucji społecznej mogą wkrótce się okazać poważne dla nas wszystkich.

Stany Zjednoczone są wystarczająco potężne, aby przeforsować nowe „wartości”. Byłaby to jednak miara ich upadku. Wywieranie presji świadczy bowiem o niskiej atrakcyjności własnej oferty

KUP e-wydanie

z wybraną edycją diecezjalną



**Czytaj
na komputerze,
smartfonie,
tablecie**

Zapłać przelewem
lub SMS-em

**Zamów e-wydanie na:
e.niedziela.pl**

Hańba kapitana

*Wybitny piłkarz i gangster
na usługach III Rzeszy.
W winnych czasach Alexandre
Villaplane byłby zapewne
celebrytą i miliarderem.
Kapitan reprezentacji
Francji, a przy okazji
towarzyski, hojny i przystojny
mężczyzna – postać
wyjątkowo medialna. Został
jednak kolaborantem,
szmalcownikiem
i zbrodniarzem*



WOJCIECH ŁADA

W grudniu 1944 r. Alexandre Villaplane miał 39 lat i wiedział już, że nie dożyje czterdziestki. Mniej więcej od miesiąca ciążył na nim wyrok śmierci za udział w co najmniej dziesięciu morderstwach, choć po prawdzie obciążało go znacznie więcej.

Był przedwojenną gwiazdą francuskiego futbolu, zaliczył 25 meczów w reprezentacji kraju, w tym podczas olimpiady w Amsterdamie w 1928 r., nie wspominając o dziesiątkach wy-

FOL, FRANCE PRESSE VOIRI / AFP / East News



stępów klubowych. Jego życie poza boiskiem było jednak mało sportowe. Fortunę stracił na wyścigach konnych, resztę przepijał w modnych kabaretach. Ciągłe zadłużony utrzymywał kontakty z przestępczym światkiem, zdarzało mu się trafiać do aresztu. Wszystko to przedstawiało go zapewne jako postać wyjątkowo barwną – „gwiazdę” w pełnym wymiarze, uznanego piłkarza, niepohamowanego hulaka, ale też niebezpiecznego bandziora. Sytuacja zmieniła się jednak o 180 stopni z chwilą zajęcia Francji przez wojska niemieckie. Villaplane nie grał już wówczas w piłkę, pozostał jednak gangsterem. Tym razem na usługach III Rzeszy.

GWIAZDORSKIE ŻYCIE

Najprawdopodobniej grał w piłkę od dziecka. Musiał być naprawdę dobry, skoro już w wieku 16 lat występował w drużynie FC Sète, z którą doszedł nawet do finałów Pucharu Francji. Jego życie wówczas to pasmo samych sukcesów, których ukoronowaniem było wejście w 1929 r. do ekipy paryskiego Racing Clubu. Od trzech lat grał już w reprezentacji Francji, również jako kapitan drużyny. „Był bardzo energicznym i twardym zawodnikiem – dokładnie takim, jakich uwielbiają kibice. Z miejsca okrzyknięto go jednocześnie najlepszym piłkarzem w kraju i największą nadzieją francuskiego futbolu” – pisano o nim na łamach dziennika „The Guardian”. To o tyle ciekawe, że Villaplane był jednocześnie pierwszym zawodnikiem arabskiego pochodzenia – urodził się w Algierii – który zagrał w reprezentacji Francji.

Był gwiazdą i żył po gwiazdorsku, a to kosztuje. Dopóki grał i zarabiał naprawdę duże pieniądze, nie miał większego problemu z pożyczaniem pieniędzy od paryskich gangsterów,

z którymi zresztą się przyjaźnił i spędzał sporo czasu w nocnych lokalach. Pod koniec lat 30. XX w. zakończył jednak karierę, co nieustannie wpędzało go w długi – nie zmienił bowiem przyzwyczajeń. Po raz pierwszy do więzienia trafił już w 1935 r. za przekręty dokonane na wyścigach. Od tego momentu już zawsze był na bakier z prawem. Zwłaszcza wtedy, gdy w pierwszych dniach niemieckiej okupacji spotkał Henriego Lafonta.

Byli niemal w tym samym wieku i mieli identyczne podejście do życia – z miejsca przypadli sobie do gustu, stając się nierozłącznym tandemem na najbliższe lata. Imponował zapewne sportową sławą, ale i Lafontowi jej nie

Przez pierwsze okupacyjne lata w życiu Villaplane’a i członków jego gangu niewiele się zmieniło. Tropili członków podziemia i czerpali pełnymi garściami z uroków nocnego życia Paryża. Utrzymywali się z haraczy, a zwłaszcza szantażu – tym razem mogli wszak uchronić swoje ofiary nie tylko przed konkurencją, lecz także przed aresztowaniem i śmiercią

brakowało – tyle tylko, że w jego przypadku była to sława kryminalna. Swoje pierwsze przestępcze kroki stawiał już w wieku 11 lat, jako typowy młodek ulicznik, nieróżniący się zapewne od tych sportretowanych choćby w filmie Sergio Leone „Dawno temu w Ameryce”. Kolejne odsiadki, a może i lokalne porachunki sprawiły, że na początku lat 20. XX w. uciekł z Paryża do północnej Afryki, gdzie próbował się ustakować, założyć rodzinę i podjąć normalną pracę. Zderzył się tam jednak z prozą życia – żona go zostawiła,

pracy nie znalazł, znów pojawiły się problemy z prawem. Nie mając nic do roboty w Afryce, wrócił tam, gdzie zawsze czuł się najpewniej – do Paryża. Twardy i bezwzględny, teraz już także doświadczony, szybko zdobywał kolejne strefy wpływów, wkrótce stając się prawdziwym królem miasta. I w takiej właśnie sytuacji poznał go Villaplane.

DAWNO TEMU WE FRANCJI

W okupowanej Europie gangsterzy zachowywali się różnie, nierzadko świadcząc usługi organizacjom konspiracyjnym. Lafont i Villaplane mieli jednak inny pomysł na życie. Początkowo do stałego repertuaru przestępstw dołączyli bardzo lukratywne wówczas szmalcownictwo. W ten sposób udawało im się jakoś utrzymać na przedwojennej fali. Wkrótce jednak się przekonali, że niemiecka policja jest znacznie bardziej precyzyjna i bezwzględna niż francuska, szafuje też znacznie surowsze wyroki. Skoro już opowiedzieli się po jednej stronie, jedynym wyjściem było dla nich podjęcie jakiejś formy współpracy z okupantem. Kiedy do gangu przystąpił Pierre Bonny – uznawany za jednego z najlepszych francuskich oficerów śledczych okresu przedwojennego – plan został skonkretyzowany. Gangsterzy nawiązali kontakt z szefem niemieckiej policji bezpieczeństwa, tzw. Sipo (połączenie Gestapo i Kripo), Helmutem Knochenem i w ten sposób powołano do życia na wpół legalną

organizację oficjalnie zwaną Carlingue lub Corps d’Autoprotection français, ale lepiej znaną jako gang Lafonta-Bonny’ego lub wprost – Francuskim Gestapo.

Byli bezkarni i mogli wszystko. Szybko rosły ich fortuny, a jeszcze szybciej wpływy, jakie mieli w niemieckiej administracji okupacyjnej – dość wspomnieć, że w 1943 r. Lafont domagał się wyznaczenia go na mera Paryża. Villaplane nie miał tak ambitnych planów. Całkowicie się zadowalał bezkarnym rabowaniem handlarzy złotem,

szantażowaniem ukrywających się Żydów, przy okazji wykonując specjalne zlecenia Sipo. W tej ostatniej kwestii byli dla Niemców bezcenni. Doskonale znali miasto, wszystkie jego meliny, wszędzie mieli też swoje „oczy” i „uszy” w postaci setek drobnych złodziejasków, prostytutek czy barmanów. Szacunki nie mogą być precyzyjne, ale mówi się o co najmniej 60 wydanych przez nich Niemcom członkach niepodległościowej konspiracji francuskiej – Résistance.

Przez pierwsze okupacyjne lata w życiu Villaplana i członków jego gangu niewiele się zmieniło. Tropili członków podziemia i czerpali pełnymi garściami z uroków nocnego życia Paryża. Utrzymywali się z haraczy, a zwłaszcza szantażu – tym razem mogli wszak uchronić swoje ofiary nie tylko przed konkurencją, lecz także przed aresztowaniem i śmiercią.

Sytuacja skomplikowała się w 1944 r., kiedy wraz z porażkami niemieckimi, zwłaszcza na froncie wschodnim, bardzo uaktywniły się siły partyzanckie w całej niemal Europie – również we Francji, gdzie podziemie było niezwykle rozbudowane. Odizolowane działania dywersyjne w poszczególnych krajach nie były dla Niemców bardzo groźne – zsumowane przynosiły jednak ogromne straty: setki wysadzonych transportów broni i amunicji, kilometry zniszczonej sieci trakcyjnej i komunikacyjnej oraz całe tony przechwyconej żywności... Była to siła, która miała realny wpływ na działania wojenne.

Oddziały partyzanckie były bardzo trudne do zwalczania. Ich członkowie doskonale znali teren, na którym działali, bez problemu rozpraszali się lub wtapiali w lokalne społeczności, często zbierając się dopiero na konkretną akcję. Byli też wspierani przez miejscową ludność – co niesłychanie utrudniało znalezienie informatorów, zwłaszcza wobec bariery językowej. Dlatego Niemcom tak bardzo zależało na znalezieniu kolaborantów. Z tego właśnie powodu w styczniu 1944 r. powołali do życia tzw. Brygadę Północnoafrykańską – kilkusetosobowy od-

ział złożony głównie z francuskich obywateli Algierii i dlatego też często nazywani SS Mohamed. Formalnie jego dowódcą był Mohamed el-Maadi – skrajny algierski nacjonalista – w rzeczywistości jednak całością dowodził gang Lafonta-Bonny'ego. A jednym z najaktywniejszych członków brygady był Alexandre Villaplane.

Oddziały partyzanckie były bardzo trudne do zwalczania. Ich członkowie doskonale znali teren, na którym działali, bez problemu rozpraszali się lub wtapiali w lokalne społeczności, często zbierając się dopiero na konkretną akcję

ARABSKIE ODDZIAŁY SS

Tworząc Brygadę Północnoafrykańską, Niemcy sprawnie grali na niepodległościowych sentymentach ludności muzułmańskiej. Nie pierwszy zresztą raz. Już 1942 r. rząd Vichy sformował oddziały tzw. Phalange Africaine do walki z aliantami w Afryce Północnej. Brygada Północnoafrykańska nie miała jednak walczyć z aliantami, lecz z francuską partyzantką. „Dowództwo powierzono Lafontowi, Bonny z kolei był odpowiedzialny za przesłuchiwanie jeńców, oznaczające w praktyce tortury” – pisał francuski historyk Jean Monage. Brygadę podzielono na pięć sekcji, z których jedną dowodził właśnie Villaplane – w tym momencie już w randze podporucznika SS.

Brygada działała na obszarach Limousin, Périgord i Franche-Comté, a jej obecność to właściwie nieprzerwany ciąg grabieży, gwałtów i masakr, z których największym echem odbiły się te dokonane w Brantôme 26 marca 1944 r., następnego dnia w Sainte-Marie-de-Chignac, ale też w Saint-Martin-de-

-Fressengeas, Saint-Germain-du-Salembre i Piles in Cornille. Za masakrę dokonaną w Oradour, gdzie 10 czerwca 1944 r. wymordowano ponad 600 mieszkańców, akurat nie byli odpowiedzialni – tej dokonali Niemcy. Ale w odpowiedzi na nią Villaplane rozkazał rozstrzelanie 11 schwytanych członków Résistance. „Jednostka Villaplana szybko zasłynęła z okrucieństwa. 11 czerwca schwytali w Mussidan, małej wiosce w Dordonii, jedenastu członków ruchu oporu, w wieku od 17 do 26 lat, zastrzelili i wrzucili nieopogrzebanych do rowu” – jak opisywano to w dzienniku „The Guardian”. I bynajmniej nie była to jedyna zbrodnia dokonana przez oddział Villaplana.

Podczas procesu wytoczonemu piłkarzowi już po wyzwoleniu Paryża prowadzący sprawę prokurator mówił: „Płądrowali, gwałcili, obrabowywali, zabijali i łączyli siły z Niemcami, wykonywali straszliwe egzekucje. Zostawili po sobie ogień i ruinę. Świadek powiedział nam, że widział na własne oczy, jak najemnicy zabierają klejnoty z wciąż drgających i zakrwawionych ciał swoich ofiar. Villaplane był w środku tego wszystkiego. Spokojny i uśmiechnięty”.

Brutalność żołnierzy Brygady Północnoafrykańskiej nie pozostała bez reakcji ze strony podziemia. Tym bardziej że licznie partyzanci mieli znaczną przewagę. W kolejnych starciach ginęło tak wielu kolaborantów, że już pod koniec wiosny 1944 r. zaczęto zdawać sobie sprawę z bezsensowności całego przedsięwzięcia.

Wspomniany prokurator uważał, że Villaplane „różnił się do pozostałych gangsterów”. Nazywał go „urodzonym oszustem”. Był inteligentny i zdawał sobie sprawę, że wydarzenia przybierają dla niego niekorzystny obrót, rozpoczął więc budowanie swojej legendy. Coraz częściej schwytanych partyzantów puszczał wolno – podkreślając swoją rolę w ich ocaleniu. Wystawiał też „gwarancje nietykalności” dla całych miejscowości. Inaczej mówiąc, tworzył mit jedynego sprawiedliwego w chaosie wojennej brutalności. Zaczął jednak zbyt późno i nikt mu nie uwierzył. Został rozstrzelany 26 grudnia 1944 r. Lafont i Bonny podzielili jego los. 

K

ULTURY

Jak połączyć w jednym obrazie fantastyczne stwory z płócien Jacka Malczewskiego, wizję króla Maciusia i most uratowany przed zakusami Toma Cruise'a? Odpowiedź przynosi „Republika dzieci” Jana Jakuba Koloskiego



Faun na moście

Fot. Płotka Miechowski/KPFA, TVP



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Ten film zaczął się od rozmów z moją małą córką Polą, kiedy nagle wyczerpały się wiersze Brzechwy, „Muminki” i „Kubuś Puchatek” – pisze w reżyserskiej eksplikacji reżyser. – Dziecko dało znać, że chce mieć udział w opowiadanych historiach, chce dawać imiona bohaterom, decydować o ich kolorze oczu i ulubionych zabawach. Zaproponowałem wyprawę w głąb obrazów malarzy Młodej Polski. Traf chciał, że właśnie uciekło z nich wielu mieszkańców – w dół, poślizgiem po malaturze, lub w górę, przez dziury w płótnie. Malczewskiemu uciekli fauni, czmychnęły chimery i strzygi, Wojtkiewiczowi dzieci na drewnianych koniach, Mehofferowi cały ogród magiczny...

OD WODNIKA DO DZIECI

W najnowszym filmie – którego Jan Jakub Kolski był reżyserem, scenarzystą i producentem – nie znajdziemy śladów słynnego Jańciolandu. Magiczno-realistycznego świata, do którego zapraszał widzów w swoich pierwszych obrazach. Bo chociaż „Republika dzieci” ma klimat baśni, bliżej jej do późniejszych produkcji reżysera: „Jasminum” (2006) czy „Serce, serduszek” (2014).



„Jańcio Wodnik”

38-letni reżyser podbił tym filmem zarówno widzów, jak i krytykę. Utrwalił wizję Jańciolandu – świata wypełnionego bohaterami odrzuconymi, odmiencami, którzy funkcjonują na obrzeżach polskiej wsi – pokazywanej często naturalistycznie, ale też dopełnionej przetworzonymi swojsko elementami realizmu magicznego. Z jednej strony baśniowej, z drugiej wpisującej się w charakter przypowieści, która sięga do metafor i symboli. „Jańcio Wodnik” zdobył na festiwalu w Gdyni w 1994 r. Nagrodę Specjalną Jury oraz za główną rolę męską dla Franciszka Pieczki.

Nie ma w tle „Republiki dzieci” silnego mężczyzny, który z uwagą pochyla się nad ułomnością czy słabością bohaterów. Ani człowieka (z pierwszego dokumentalnego filmu – „Najpiękniejszych jaskiń świata”, 1983) stawiającego sobie coraz bardziej ekstremalne fizyczne wyzwania (od speleologii po alpinistykę). Nie ma twórcy wchodzącego w męski autorski dyskurs z literaturą i historią („Daleko od okna” na kanwie prozy Hanny Krall, 2000; „Pornografia” – adaptacja „zuchwale, niemal bezczelnie” – jak sam o tym pisał – wprowadzająca zmiany w sens utworu Gombrowicza, czy „Wenecja” – czerpiąca z opowiadania Włodzimierza Odojewskiego, 2010).

W „Republice dzieci” nie widać mężczyzny boksującego się z kryzysem wieku średniego i różnymi wewnętrznymi rozdarciami, które znalazły odbicie w filmie „Zabić bobra” (2012). I nie ma tu też ojca przepracowującego traumę po śmierci dorosłej córki (jak w obrazach „Las, 4 rano”, 2016 i „Ułaskawienie”, 2018).

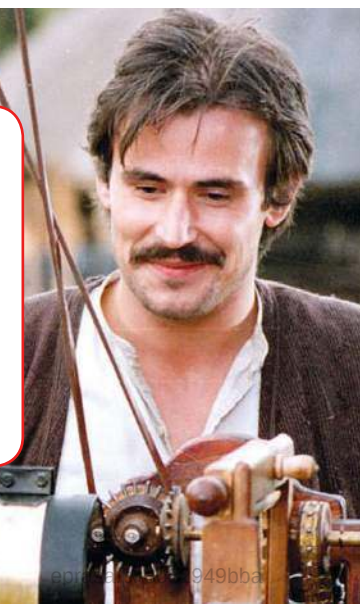
Jest za to, jak w wielu poprzednich produkcjach, umiejętność tworzenia magicznego autorskiego świata. I niezmienna fascynacja naturą, pejzażami, których człowiek nie zdołał jeszcze zepsuć. Jest czułość i „światłoczulość”, a w ich efekcie niekończąca się galeria cudownych kadrów. Także tych odwołujących się do dzieł konkretnych malarzy. Jest w „Republice dzieci” zarówno niezniszczona dziecięca wrażliwość artysty, jak i chęć oraz umiejętność spojrzenia na kreowany świat z perspektywy młodego odbiorcy i bohatera. Jak w 2006 r., kiedy narratorką „Jasminum” była pięcioletnia dziewczynka, a potem w „Wenecji” (2010), gdy filtrem dla wojennej grozy stały się odczucia 11-letniego Marka. Liczącą tyle samo lat Maszeńka, uciekinierka z domu dziecka, poprowadziła bajkową opowieść w filmie „Serce, serduszek” (2014).

ŹRÓDŁA PASJI

Kolski to twórca z wyraźnym charakterem filmowego pisma, a zarazem człowiek, można powiedzieć, renesansowy. Zafascynowany zarówno obrazem, jak i słowem. Świadomy ich możliwości. Często biorący do ręki kamerę, ale też zasiadający do klawiatury jako scenarzysta czy autor książek. Pasjonat techniki. Tej sprzed lat (oddal jej hołd m.in. w „Historii kina w Popielawach”) i współczesnej. Filmowo-technologiczny gadzieciarz (wystarczy popatrzeć, z jakim pietyzmem w „Republice dzieci” ograne zostały różnej wielkości Fletnie Pana albo z jaką uwagą kamera przygląda się lunecie z dworku Malczewskiego). To też tropiciel rodzinnej przeszłości. Dalszej i bliższej.

„Historia kina w Popielawach”

To za sprawą tego obrazu w 1998 r. Kolski porzucił Jańciolandię. O swoich wcześniejszych obrazach mówił, że wywodzi je z tradycji wiejskiej, którą poznał dzięki rodzinie ze strony matki. W „Historii kina...” sięgnął do linii ojca, do tradycji rodziny związanej z filmem. Prababka Kolskiego w 1907 r. założyła jedno z pierwszych kin w Łodzi, dziadek był producentem filmowym i dystrybutorem, ojciec i starsza siostra Kolskiego montażystami. Filmowa opowieść o pasji rzemieślnika Andryszka, który pół wieku przed braćmi Lumière buduje maszynę wyświetlającą ruchome obrazy, to hołd złożony X Muzie



To z niej – jak podkreśla – wyrósł jako człowiek i filmowiec.

W jednym z wywiadów mówił: – Jako dziecko z miasta trafiłem na wieś, od czwartej klasy szkoły podstawowej mieszkałem u dziadka na wsi. Wszystko tam dla mnie było i nowe, i czarowne. Dziadek był rymarzem, odwiedzali go różni ludzie. Wysłuchiwałem ich opowieści. W tej edukacji dziecięcej tkwią źródła mojej tajemnicy, zainteresowań.

Wiesz, w której spędził tak ważne dla siebie kilka lat dzieciństwa, to obecne w jego filmach, czasem wymieniane wprost w tytule *Popielawy*. To tam usłyszał m.in. rodzinną historię z drugiej połowy lat 40. ub. wieku – o rodzicach pragnących godnie pochować swojego syna. Gdy po latach przeniósł tę poruszającą opowieść na ekran, zyskała jeszcze jeden wymiar. Pozwoliła reżyserowi i jego pierwszej żonie Grażynie Błęckiej-Kolskiej domknąć żalobę po stracie jednej córki.

POWRÓT DO KRAINY ŚWIATŁA

Najnowszy projekt „Republika dzieci”, pierwszy po mrocznym „Ułaskawieniu”, które „obciążyło reżysera zmęczeniem i depresją” – miał wyprowadzić Kolskiego „do krainy światła”. Mimo że baśniowo przedstawiony świat nie do końca budzi nadzieję. Mali bohaterowie, którzy – by ich nie rozdzielono – postanawiają założyć własną republikę (tu wyraźny ukłon w stronę Janusza Korczaka i „Króla Maciusia Pierwszego”), myślą, że to proste... – Wystarczy napisać konstytucję, wybrać rząd i już ma się ojczyznę. A potem odkrywają, jak wiele w tej ojczyźnie jest deficytów – zauważa reżyser.

Punktem wyjścia do historii, która miała połączyć przed ekranem młodych i starszych odbiorców, była wspomniana już spektakularna ucieczka z obrazów Malczewskiego, Mehoffera i Wojtkiewicza. Niestety teren Zarzecza we współczesnej Polsce, do którego dotarły fauny, chimery, utopce, rusalki oraz inne niezwykle postaci, czeka zalanie. Powstałe jezioro ma być atrakcją dla luksusowego hotelu. Przeciwno planom inwestora protestują mali mieszkańcy domu dziecka (któremu również grozi zalanie), a gdy to nie pomaga, uciekają do lasu, dokąd trafiły wcześniej postaci z obrazów.

– Poszliśmy za uciekinierami do lustrzanej wioski – opowiada Kolski. – Sprawdziliśmy, jak żyją i czy ich sprawy są podobne do naszych. Potem wędrowaliśmy (...) przez bagienną gęstwę Zarzecza, wpadaliśmy razem z bohaterami w rozmaite opresje i ratowaliśmy się z nich (...). Kiedy robiło się nudno, Pola... zasypiała. Musiałem bardzo uważać, korzystać z podpowiedzi, iść za wskazówkami przedstawicielki „targetu”. Nie wiedziałam, kto to Malczewski, Wojtkiewicz czy Mehoffer, ale nieomylnie odróżniała głędogłód od ciekawej, angażującej emocjonalnie historii. W rezultacie powstał zapis wartkiej, zmiennej, migotliwej akcji – dla dużych, mniejszych i... najmniejszych. Reżyser zapewnia, że zrobił film „bez puszczenia oka do mniejszych od siebie”. A co w obszarze przesłania? – Żadnej myśli nachalnej – przekonuje. – Całkowita nieobecność wywyższania się i pouczenia...

JAK URATOWANO MOST

Zdjęcia do filmu powstawały na Dolnym Śląsku, w krainie – jak mówi reżyser – pięknych miejsc i dobrych ludzi. To tam Kolski zobaczył most w Pilchowicach „na rok przed tym, nim znaleźli go hollywoodzcy skauci”. Wokół niego zaczął „budować ojczyznę swoich bohaterów”.

Niestety, gdy wyobrażony świat był już prawie kompletny, zamknięto drogi, a przy moście zaczęli majstrować jacyś obcy ludzie. – Szybki wywiad i rozmowa z kolegami z branży wyjaśniły nam, że most wraz z jadącym przezeń pociągiem będzie... wysadzony w powietrze dla Toma Cruise’a i jego ekipy, i że wszyscy na tym skorzystają, a najbardziej ja, bo będę mógł na to popatrzeć i nauczyć się, jak się robi filmy. Nie uwierzyłem. Zainicjowałem batalię, która uratowała most i „Republikę dzieci”. Mało kto wie, że to my, więc się teraz tym chwalę – dodaje.

Uratowany most w Pilchowicach pięknie zagrał w filmie. Wypełnionym fantastycznymi postaciami, w które wcieliła się gromadka cudownych dzieciaków, a także całkiem okazała grupa aktorska, m.in. z Andrzejem Grabowskim, Marianem Opanią, Olgierdem Łukaszewiczem, Grzegorzem Damięckim, Łukaszem Simlatem, a także – choć w małej roli – z Grażyną Błęcką-Kolską i Mariuszem Saniternikiem.

Na koniec warto przywołać podsumowanie reżyserskiej eksplikacji: „Republika dzieci” to inwestycja w emocje pokolenia, które będzie się nami opiekować, będzie mieć dla nas szacunek za pokazany im kształt świata lub pretensję za krótkowzroczność i egoizm.

„Ułaskawienie”

Opowieść zainspirowana losami dziadków reżysera. Zasyłana w dzieciństwie, w ich domu w Popielawach. Akcja toczy się tuż po II wojnie światowej. Rodzice zamordowanego przez UB syna (rewelacyjni w tych rolach: Grażyna Błęcka-Kolska i Jan Jankowski) wyruszają w daleką drogę, by zapewnić swojemu dziecku godny pochówek. Film uhonorowano na festiwalu w Gdyni 2018 r. nagrodami: za najlepszy scenariusz dla Jana Jakuba Kolskiego, główną rolę kobiecą i kostiumy



7 tajemnic

Tak naprawdę jest tylko kilka, może kilkanaście dobrych opowieści. Oto najlepsza z nich. Najważniejsza historia w dziejach świata.

W Jerozolimie 1969 lat temu, 7 kwietnia 30 r., umarł zamęczony w potworny sposób 36-letni mężczyzna. Kara śmierci, na którą został skazany, jest chyba najpotworniejszym rodzajem egzekucji wymyślonej przez człowieka. Wykorzystuje najsilniejszy ludzki instynkt, samo pragnienie życia, do przedłużania w nieskończoność potwornej męki przed i tak nieuchronną śmiercią. Im silniejsza wola życia, tym śmierć okrutniejsza.

Dlaczego los jednego z setek, tysięcy skazańców, ofiar aparatu rzymskiego państwa jest tak ważny? Kosmicznie wręcz ważny? Niewinnie ofiary mordowane w potworny sposób są przecież zawsze, w każdym systemie. Otóż ten mężczyzna uratował swoją śmiercią miliardy istnień.

Mamy materialnego świadka tej historii. Negatywy „fotograficzny” zapis zmartwychwstania wysokiego mężczyzny. Skąd wiemy, że całun turyński jest prawdziwy? Dzięki wierze? Nie tylko. Głównie dzięki nauce.

Dziś już mamy pewność, że historia Jezusa, syna cieśli z Nazaretu, o którym zaświadczały Ewangelie, jest historią człowieka całunu turyńskiego. Mówią o tym badania naukowe kilkunastu najlepszych na świecie instytutów naukowych, wskazują na to ekspertyzy i trójwymiarowe rekonstrukcje specjalistów z NASA oraz dziesiątki drobnych faktów układających się w nieskończenie wielkie prawdopodobieństwo.

Krzew, z którego gałęzi upleciono koronę cierniową człowieka całunu, a właściwie wschodni kolpak koronny, jest endemiczny, a sekwencja pyłków roślin z całunu po nałożeniu ich zasięgów na siebie zawęża obszar, w którym płótno było pierwotnie przechowy-

wane, do okręgu o promieniu 30 km z centrum w Jerozolimie. Nie znamy opisu ani jednego innego ukrzyżowania w historii, przed którym skazaniec byłby torturowany koroną cierniową. Wszystkie autoryzowane przez Kościół relikwie św. krzyża to fragmenty pnia sosny czarnej, *pinus nigra*.

Układ 120 identycznych ran na ciele człowieka całunu mówi, że jego kaźni dokonano za pomocą dwóch trójrzemiennych biczów – flagrum romanum. Biło dwóch żołnierzy, wyższy i niższy. Niższy próbował Jezusa zabić. Ślady jego ciosów koncentrują się wokół serca skazańca. Celem torturującego było przebicie się do osierdza, co wywołałoby dość szybką śmierć. Biczowanie było w Rzymie wstępem do ukrzyżowania. Część skazanych nie przeżywała tej tortury.

Kształt śladów krwi na całunie wskazuje ponadto na dwa mało znane, a bardzo masywne zranienia. Pierwsze to rana barku – belka krzyża niesiona przez skazańca zdarła skórę ze szczytu jego pleców wraz z warstwą mięśni, praktycznie aż do kości. Druga to zdruzgotane kolano. Tradycja mówi o upadkach Jezusa w drodze na Golgotę. Możliwe jest, że prawie całkowite zniszczenie stawu kolanowego, a tym samym właściwie niezdolność do opierania ciężaru ciała na zranionej nodze, spowodowało, iż eskortujący Jezusa na Miejsce Czaszki Rzymianie zmusili przypadkowego przechodnia do zanieśienia belki krzyża na miejsce finalnej kaźni, co opisały Ewangelie. Prawdopodobne jest też, że walczący o oddech, przybity do krzyża Jezus zmarł bardzo szybko. Był osłabiony biczowaniem i mógł – dusząc się pod ciężarem własnego ciała – unosić się, by zaczerpnąć oddechu, tylko za pomocą jednej nogi. Ewangelie opisują zdziwienie Pilata, że Jezus zmarł już po kilku godzinach po ukrzyżowaniu.

Człowiek całunu umarł w pozycji nazywanej przez anatomopatologów *emprothotonus*. Tężec w tym przypadku



ROBERT TEKIELI

zachodzi błyskawicznie, a powodem jest skrajne zakwaszenie mięśni w wyniku ponadludzkiego wysiłku. Jezus na krzyżu walczył o oddech kilka godzin. Jednak zmarł gwałtownie, najprawdopodobniej w wyniku pęknięcia komory mięśnia sercowego, co było skutkiem skrajnego fizycznego obciążenia i stresu.

Jedynym sposobem wytłumaczenia obecności na płótnie całunu turyńskiego trójwymiarowego obrazu ciała zmarłego człowieka w negatywie jest pojawienie się bardzo mocnego promieniowania wydobywającego się z jego wnętrza. Czas wypromieniowania był kontrolowany z dokładnością do mikrosekund. Gdyby promieniowanie trwało ułamek sekundy dłużej, całe płótno byłoby zaczernione – kształty człowieka byłyby niewidoczne. Gdyby było o ułamek sekundy krótsze, zarys ciała byłby również niewidoczny. Nawet dziś nie ma technologii pozwalającej na powtórzenie procesu, w wyniku którego pojawił się obraz zarejestrowany na całunie turyńskim.

Taki z grubsza kształt ma synopsis reportażu ze śmierci i zmartwychwstania rabiego Joshui z Nazaretu. Mojego filmu zatytułowanego „7 tajemnic”. Zobaczcie, jakim cudem jest Eucharystia: „On zrobiłby to, gdybyś był jedynym człowiekiem na świecie. Gdyby to musiał przejść tylko dla Ciebie”. Mit boga poświęcającego się dla człowieka, mit, który wydarzył się naprawdę. 



WOJNA

CYWILIZACJI

Warte Wakacje w pełni, dzień ma już tylko 15 godzin, jest ponad godzinę krótszy od najdłuższego w roku. Zobaczymy więc, co da się obejrzeć w coraz dłuższe, sympatyczne wieczory.

Teresa Mendoza ucieka z Meksyku do USA po zamordowaniu chłopaka przez mafię. Uciekając przed narkotykowymi bandytami, dostaje się pod opiekę konkurencji. Zaczyna od samego dołu uniwersum zła, od niczego, od bycia niewolnicą, „mulem” przenoszącym towar w żołądku. Dzięki inteligencji i sprytowi pnie się w górę morderczej hierarchii. Dochodzi na sam szczyt. Wyżej jest już tylko silna kobieta i silny mężczyzna. Mąż i żona. Szefowa kartelu i gubernator – jednocześnie szef identycznej, konkurencyjnej struktury zła. Małżeństwo w separacji. Połączeni miłością do córki. I czymś więcej? Epifanio bowiem mimo wszystko nie wydaje wyroku na Camilę, co cieszy scenarzystów, bo postać jest ciekawa.

Lojalność, miłość, zemsta, zdrada. Ambicje i kariera. Latynoskie twarze. Zero ideologii LGBT. Przemoc, tequila po kilka tysięcy USD za butelkę, seks. O dziwo, werystycznego seksu są może ze dwie sceny na wszystkie pięć sezonów. I kolejny plus tej produkcji: czynione zło ma tu swoje kalejące konsekwencje również dla krzywdziciela. Obserwujemy z sezonu na sezon, jak główna bohaterka powoli moralnie się stacza. Na początku nie chciała wziąć pistoletu do ręki, troszczyła się o bezradnych, słabszych. Dziś zabija bez mrugnięcia okiem. Ale tylko w obronie własnej i nadal pomaga potrzebującym tego ludziom.

Oto jedna z perwersyjnych struktur popkultury. Odkąd umarł westernowy podział na złych i dobrych chłopców, mamy lubić badboyów. Bo system, bo takie jest prawdziwe życie... Oczywiście również w tym prawdziwym życiu niekoniecznie dobrzy są dobrzy. Jednak nieprzekraczalną granicą warunkowej akceptacji dzieł „popkultur noire” jest apoteoza zła. Zła podawanego odbiorcom dzięki wytworzeniu pozytywnych emocji wobec tych złych, jak małe dawki strychniny dosypywane cesarzowi do jedzenia przez zaufanego medyka. I w końcu mamy zdezorientowanego moralnie konsumenta.

Denerwuje mnie bezradność ludzi wobec argumentu: w przyrodzie też występuje homoseksualizm, więc to normalne naturalne zachowanie. W przyrodzie występuje również kanibalizm.

Na szczęście w „*Queen of the South*” znany z „Urodzonych morderców” poziom pomieszania – jestem niewinnym mordercą, który doznaje orgazmu, zabijając – nie jest osiągnięty.

I, żeby nie było, ten serial to nie jest level „*Peaky Blinders*” czy nawet „*Synów anarchii*”. Przeciętnie, da się oglądać.

„Masz dobre serce” – mówi Teresie szef innego kartelu – guru sekty. Wcześniej przyjęła sok z żuka. Haluny przez cały – może i najlepszy przez to – odcinek.

Ten amerykański dramat akcji, kryminał, thriller jest adaptacją powieści „*Królowa Południa*” Artura Péreza-Revertego i emitowany od pięciu lat przez USA Network. Do obejrzenia na Netflixie. Być może.

Warte Pisałem tu o wielkich popkulturowych hitach: „*The Walking Dead*”, „*Grze o tron*” czy „*Wiedźminie*”. O niektórych z nich z zachwytem. Choćby o „*Peaky Blinders*” czy „*Ripper Street*”. Te serie są formą sztuki. Inne: „*House of Cards*” czy „*Stranger Things*”, da się obejrzeć z satysfakcją. Nie zawsze mam z widownią podobne zdanie. „*Sherlock*” mnie znudził. Jest „zbyt”. Zbyt szybko cięty, zbyt efektowny, więc efekciarski. Jak hiperbola patriotyzmu – nacjonalizm. Przypomina mi „*Doktora Who*”. Eklektyzm estetyczny, wydumane uniwersum. Jak w „*Alicji z krainy czarów*”. Przeciwnieństwo choćby wczesnej prozy Stephena Kinga. Jeśli s.f. nie jest opowieścią o świecie realnym, do czego może służyć? Do lechtania synaps? To wolę pograć na flipperach albo podglądać zimorodki.

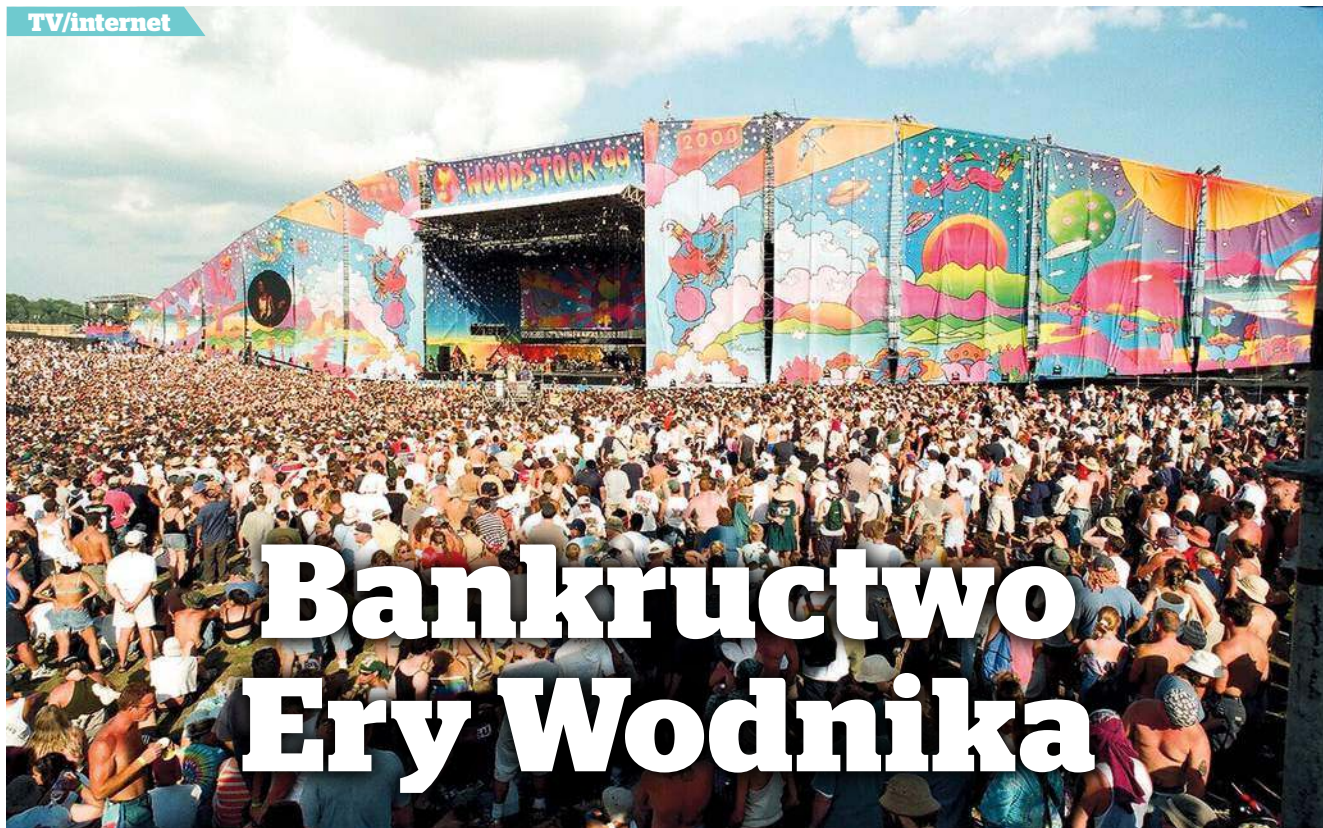
Mam nadzieję wyrobić się w wakacje i jeszcze w tej rubryce trochę poopowiadać o popkulturze. Przyjrzyć się bliżej najpewniej takim produkcjom jak „*Byeol-e-seo on gue-dae*” czy „*Elementary*”. Czuję się zachęcony oglądającymi odcinkami „*Wikingów*” i „*Fargo*”. Wiem, że wszyscy dawno już je oglądali, ważne, że dalej streamowo pracują.

Serie pełnią dziś funkcję komiksów dla Amerykanów XX w., teatru dla antycznych Greków czy powieści dla europejskiej inteligencji. Formatują wyobraźnię. Kształtują bądź deformują zmysł moralny. Jakie jest dziś główne zadanie rodzica? Selekcjonowanie bodźców do czasu, aż dziecko będzie umiało wybierać i nie da się skrzywdzić. Oto nasza rola: chronić przed cyfrowym smogiem. Do pewnego wieku rodzice mogą kierunkować wyobraźnię dzieci. Co więcej, uważliwanie moralne na wytwory popkultury się opłaca. Jeśli dziecko uzna, że nienormalne jest normalne, to mamy kulturowego marksistę w domu. Niewolnika bossów marksistowskiego kapitalizmu. Słabo.

Robert Tekieli
Polskie Radio



TV/internet



Bankructwo Ery Wodnika



Rok 1999 był w moim życiu przełomowy. Pierwsze poważniejsze imprezy w liceum. Wchodzenie w iluzję dorosłości i wyjazd do szkoły do USA. To też magiczny rok pod kątem filmowym. Tylko w 1999 r. na ekrany kin weszły takie filmy jak „Fight Club”, „American Beauty”, „Matrix”, „Oczy szeroko zamknięte”, „Magnolia”, kinowy „South Park”, „Nie czas na lzy”, „Szósty zmysł”, „The Blair Witch Project”, „Przekleństwa niewinności”, „American Pie”, „Być jak John Malkovich”, „Utalentowany pan Ripley”, „Notting Hill”. Moja filmowa formacja miała w dużym stopniu miejsce właśnie w amerykańskich kinach ostatniego przełomu wieków.

Dlatego rzuciłem się tak chętnie na będący pierwszym z serii Music Box dokument HBO „Woodstock '99: Pokój, miłość i agresja”. Zorganizowany w 30. rocznicę legendarnego Woodstock koncert był częścią „mojego” magicznego lata 1999. Oglądałem transmisję na żywo tuż przed wylotem na dłuższy czas za ocean. Wtedy poznałem towarzyszącego mi do dziś na słuchawkach Kid Rocka i śp. DMX-a. To właśnie na Woodstock '99 pierwszy raz zobaczyłem Limp Bizkit, polubiłem Red Hot Chili Peppers, a Korn mnie przeraził. Teraz możemy zajrzeć za kulisy imprezy, która zakończyła się płonąca sceną w rytm covera Jimiego Hendrixa „Fire” w wykonaniu „Papryczek”. Symboliczna kłamra z obrazem Hendrixa grającego na Woodstock '69 amerykański hymn. Trzy dekady

później zostały pusty ogień i pusty gniew. Został odór błota pomieszanego z odchodami z niedziałających toalet, w których taplali się uczestnicy festiwalu. Został widok gołych piersi kobiet wstydzających się zgłaszać gwałty.

To najlepsza część tego dokumentu. Pokazanie od kulis tego, co działo się na fatalnie zorganizowanej imprezie. Brak wody, 40-stopniowy upał, amatorzy ochroniarze wzięci z łapanek, którzy za 20 dolarów łapówki przymykali oko na przemycane narkotyki, fatalnie dobrany skład artystów grających po sobie. Jak pogodzić z sobą tych, którzy jednego dnia przyszli na agresywną Metallicę i Rage Against The Machine z fanami Jewel i Alanis Morissette? Jak traktować naładowanie złością publiki przez Freda Dursta zachęcającego do burd, z całonocnym ćpaniem na Rave z Mobym? Reżyser Garret Price pokazuje, jak Michael Lang, który organizował też pierwszy Woodstock, pozostał narcystycznym hipisem z ustami pełnymi frazesów rodem z czasów rewolucji roku 1968, John Scher zaś przed kamerami cynicznie winę za niepowodzenie imprezy zwała na nagonkę MTV, „idiotyzm Freda Dursta” i kondycję moralną samych uczestników imprezy. Dokument „Woodstock '99: Pokój, miłość i agresja” wychodzi poza samo oddanie klimatu imprezy zorganizowanej w bylejedenstce wojskowej w mieście Rome w stanie Nowy Jork. Ten dokument jest mocno ukąszony ideologią. I jest ukąszony w bardzo typowy dla dzisiejszych czasów sposób.

Zaczyna się obiecująco. Z ekranu pada stwierdzenie, że Woodstock '69 jest zupełnie zmitologizowanym wydarzeniem, które w zbiorowej świadomości zostało ukształtowane przez propagandowy dokument „Woodstock” Michaela Wadleigha (jednym z montażyistów był sam Martin Scorsese). Nie pamiętamy, ile zła działo się za kulisami tej najważniejszej imprezy rewolucjonistów pokolenia '68. Gwałty, śmierć, przedawkowania – to inny obraz festiwalu Ery Wodnika. Tyle że ostatecznie te same wydarzenia na Woodstock '99 zostają przeciwstawione właśnie imprezie sprzed 30 lat. To uproszczenie i utwierdzenie mitologii oryginalnego festiwalu. A kontekst obu imprez jest szalenie ciekawy. Oryginalny Woodstock niespodziewanie okazał się zmierzchem rewolucji ery dzieci kwiatów, a przecież odbył się w samym środku najgorętszego okresu Ameryki w XX w. Przegrywana wojna w Wietnamie, zamieszki rasowe, zabójstwa Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga, Czarne Pantery, kryzys naftowy i nadchodząca kontrrewolucja Richarda Nixona zakończona aferą Watergate. Festiwal odbył się niecały tydzień po brutalnym mordzie przyjaciół i rodziny Romana Polańskiego przy Cielo Drive w Hollywood. Banda Mansona stała się symbolem końca infantylnizmu rewolucji '68. Doskonale klimat tego okresu pokazał Quentin Tarantino w swoim arcydziele „Pewnego razu w Hollywood”.

Nie można jednak zapominać o spuściźnie rewolucji właśnie w kontekście seksualnym. „Wolna miłość”, wyzwolenie seksualne, nagość – to wszystko było elementem zniszczenia starego porządku. Seksualna swoboda podzieliła zresztą już wtedy środowiska feministyczne. Dla części seksualizacja każdego aspektu życia stała się zrzućciem kajdan, dla innych uprzedmiotowiła kobiety. Porównując ze sobą dwa Woodstocki, trudno nie widzieć kompletnego bankructwa rewolucji hipisowskiej. Rewolucjoniści walczyli z konkretnymi hasłami na ustach: wolność, pokój i miłość. Zderzyli się ze ścianą i zostało im tylko kilka dni iluzji w oparach narkotyków i muzyki najważniejszych kapel lat 60. Potem przyszedł pokraczny Nixon i w końcu udana kontrrewolucja Ronalda Reagana. Zwyciężył kapitalizm w wydaniu neoliberalnym. Hipisi ubrali się w garnitury japiszonów z Wall Street i pozakładali rodziny, niczym czarnoskóry bohater najlepszego filmu o końcu Ery Wodnika, czyli „Hair” Miloša Formana.

Ich dzieci bawiły się już w inny sposób. Błoto z pierwszego Woodstocku, mające być elementem pełnej cielesnej wolności, zmieszało się (dosłownie) z odchodami niespranej kanalizacji. Dzieci lat 90. taplały się w nim w imię obrazków z poprzedniego

Woodstocku. Przeciwno czemu miały się zresztą buntować? Lata 90. to okres największego prosperity Ameryki. „Chciwość jest dobra” – mówi Gordon Gekko z lewicowego moralitetu Olivera Stone'a „Wall Street”. Niskie bezrobocie i niska inflacja, boom gospodarczy ery neoliberala Billa Clintona, pokonany Związek Radziecki, ogłoszenie przez neokonserwatystów „końca historii” to powłoka. Pod nią mamy jednak rewolucję postmodernizmu w kinie. Na Sundance rodzą się Tarantino, Rodriguez i Linklater. Dekadę kończy nihilistyczny „Fight Club”, w którym słyszymy, że

nie jesteśmy wyjątkowi, oraz „Matrix” nakazujący wyrwanie się z iluzji. Iluzja pęka 11 września 2001 r. Zanim to się stanie, jest jednak Woodstock '99. Impreza swoich czasów. Czasów karnawału, bez postu.

Twórcy dokumentu HBO wyciągają jednak wnioski dalej idące. Głębsze? Nie. Podlane za to mdłymi uproszczeniami politycznej poprawności. Znakiem rozpoznawczym obu festiwali były rozebrane kobiety. W dokumencie widzimy obrazy uśmiechniętych i upojonych kobiet, które pozwalają się obmacywać naćpanym i pijanym mężczyznom. Winni molestowania są wyłącznie oni. Jest w tym wiele prawdy. Przecież na festiwalu ganiłi też nadzy faceci i nie słycać było o zgwałceniu ich przez kobiety. Jednak twórcy dokumentu zupełnie zamykają oczy na kontekst oryginalnego Woodstocku, który w swoim krwiobiegu ma przyzwolenie na seks bez zobowiązań. Seks wy-

rywany z etycznych, moralnych kajdan. Winą obarczone jest tutaj kino (komedia „American Pie”), telewizja (program „Girls Gone Wild”) i... gniew białego heteroseksualnego mężczyzny, uosobiony przez ociekające seksem klipy Kid Rocka i agresję Limp Bizkit. Ba, widzimy nawet zmarłego w tym roku rapera DMX-a, którego szlagier „My Nigga” był na całe gardło wykrzyczany przez publikę Woodstocku. Teza reżysera? Biała publika bezkarnie krzyczała słowo „czarnuch” przez przyzwolenie na rasizm. Serio? Naprawdę to jest tak proste? Pada w filmie teza, że zaproszono tylko trzy kobiety na festiwal, co tłumaczy erupcję agresji. Moby mówi w filmie o homofobii i seksizmie tłumu. To naprawdę takie jednowymiarowe? Nie pornografizacja przestrzeni publicznej, przeciwko której lewica specjalnie latami nie protestowała? Nie wulgaryzacja popkultury i relatywizacja każdego aspektu życia? Nie. Winni tego, że Woodstock '99 okazał się katastrofą, są biali, gniewni młodzi mężczyźni, którzy potem, według twórców, rozłali swój hejt w internecie. Pewnie tym alt-prawicowym?

Warto „Woodstock '99: Pokój, miłość i agresja” obejrzeć. Zsentymalizmu, ale też, by zobaczyć, jak daleko posunęła się ideologizacja popkultury. Skoro Woodstock '99 był festiwalem białych seksistów, to znaczy, że... No właśnie. Co to znaczy? ➤

**„WOODSTOCK '99: POKÓJ, MIŁOŚĆ I AGRESJA”,
REŻ: GARRET PRICE, DOSTĘPNY NA HBO GO**



Obłąd

Któregoś dnia wzięła nożyczki i ścięła swoje długie lśniące włosy. Do samej skóry. To był krzyk! Krzyczała ze wszystkich sił, lecz nikt jej nie słyszał



**KRZYSZTOF LOGAN
TOMASZEWSKI**

Zapamiętał ją, gdy siedziała w kucki na górnym oparciu beżowej kanapy i oglądała bajki w telewizji. Mogła godzinami gapić się na ociekające naiwnością kreskówki. Może się wymądrzał, nie doceniał tego gatunku? Dla dzieci były i są zawsze cudowne. W rolach głównych: „Myszka Miki”, „Kaczor Donald”, „Miś Uszatek”, „Królowa Śniegu”, no i „Król Lew”. Jej córka miała siedem lat. Była drobnej budowy ciała, jak jej matka, o niebieskich oczach, wiecznie milcząca, jakby ktoś ją zaklął w kamień.

Matka zawsze w pracy, ojciec w pracy. Nie poświęcali małej zbyt wiele czasu. Dorastała wśród głuchej ciszy, bez marzeń i kreacji życia. Wciśnięta niczym owad w swoją kanapę. Nikomu niepotrzebna, niezauważalna, bezbronna. Wokół szum nieznanego, obcego świata: niezrozumiałe właśnie i dziwne namiętności dorosłych, codzienne wędrowanie do szkoły, dreptanie wokół domowych sprzętów, za oknem cudowna przyroda – cztery pory roku – jak u Vivaldiego. Zmienność w przyrodzie. Niezmiennność w dziecku. Czasem dzwonek u drzwi. I wiecznie włączony telewizor – świątynia współczesnego plebienia. W szarym bloku, gdzie gnieźdzą się setki podobnych rodzin. Znów „Bolek i Lolek”, „Reksio”, „Muminki”. Życie, które przecieka przez paluszki. Nikt z rodziców nie próbował zaszczyć dziecku ambicji. Opowiedzieć o świecie. Pokazać, czym jest sztuka. Wy tłumaczyć, że każde istnienie: ptaka, słonia, jaszczurki, człowieka, składa

się nie tylko z chłodnych barw bezgranicznego smutku, że prócz zamętu i chaosu nabiera czasami żywszych kolorów. Nie opowiadali dziecku o rywalizacji, która pozwala młodym ludziom uwierzyć w siebie. Że warto mieć pasję. Gdyby zapisano małą na lekcje rysunku, malarstwa, do klubu sportowego, może wówczas zatłłoby się przedwcześnie stłumione życie? Zgasłoby w niej wrodzone onieśmienie? Obudziłaby się chęć poznawania świata? Od rodziców i nauczycieli zależy, czy w młodym człowieku wybuchnie płomień. Czy potem będzie się tylko tlił – zanim zgaśnie. To się nigdy nie spełniło. Żadne z rodziców nie podsuwało dziewczynce mądrych książek. Żyła wśród nakazów: „Zrób to, zrób tamto!”, „Wyłącz telewizor!”, „Czy odrobiłaś lekcje?”.

Pomyślał: wszystkiemu winne są geny. To klucz życia – tajemnica każdego z nas. Czy odziedziczyłeś po dziadkach siódmy zmysł? Inteligencję, przedsiębiorczość, hart ducha, lenistwo, strach, obłąd, chciwość, szlachetne serce? A może niejeden talent? Nasze DNA jest niepowtarzalne. Determinuje całe życie. Obwiniamy nasze geny o niedostatki w naszych możliwościach. Są niczym

program komputerowy. To on sprawia, że człowiek jest tym, kim jest.

Tak, tak, mądrało, dumał. Nie każdy rodzi się Mozartem, Chopinem, Jackiem Londonem, Conradem, Buninem czy Cohenem. Nie wszyscy mogli być tak wybitni jak Ewa Demarczyk, Aznavour, Piaf czy Marek Grechuta. Kto miał przed laty i obecnie wielką szansę, aby dostać się do Actor's Studio? Nieliczni. Al Pacino, Robert de Niro, Natalia Wood, Eli Wallach, Faye Dunaway. Te aktorskie warsztaty słono kosztują.

Warto zajrzeć do własnych korzeni, myślał, spróbować odpowiedzieć na pytanie, skąd się wzięliśmy. Poszperać w starych dokumentach i fotografiach, które czyjaś dłoń umieściła w rodzinnym albumie. Geny. Oto jeden z sekretów tego, co posiadamy. Coś niesłychanie odrębnego.

Wiele lat później, gdy dziewczynka podrosła, a matka rozeszła się z ojcem, zabrał obie któregoś letniego popołudnia do Wilanowa na lody. Panie wybrały podwiegalki owocowych, on – czekoladowe z polewą. Siedzieli na ławce pod parasolem. Dumał o swoim potarganym losie. Jesteś kozak? – myślał. Zafajdany inteligent. Taki chojrak, tak? Co ty, narwany inteligencja, osiągnąłeś? Osiągnąłeś wielkie NIC! Jego dzieci były dorosłe. Wyprowadziły się z domu. Sam był świeżo po rozwodzie i śnił o matce dziewczynki. Była jego muzą, inspiracją, kochanką. Gdy brał ją w ramiona, zamieniał się w tygrysa. Gdy oświadczył się jej po raz piąty podczas wycieczki do Berlina, nagle zbladła i odparła: „Zobaczmy”. Nie wiedział, dlaczego go zwodziła. Kobiety są nieodgadnione, myślał. Jej postępowanie wobec niego przypominało grę. Wygrywała ją w świetnym stylu. To było mistrzostwo świata. Nie pobrali się.

Dziewczynka z poczwarki przemieniła się wkrótce w barwnego motyla, a potem w dorodną dziewczynę. Znow nikt nią nie pokierował. Na krótko została modelką. Nie miała charakteru, by wziąć życie za rogi, jeździć po świecie, zarabiać dobre pieniądze, dzielić pokoje z młodzieńkami Rosjankami w tandetnych hotelach, pokazywać swe anorektyczne ciało na wybiegach, rywalizować w niezliczonych sesjach fotograficznych nad brzegiem Pacyfiku, na Teneryfie, w Mediolanie, Monte Carlo, Tokio czy Szanghaju. Żywot modelki nie jest idyllą. Młodzieńskie, przypominające modraszki, urodzive

kobiety dla projektantów to tylko wieszaki, na których umieszczają kawalki naturalnego jedwabiu, a na stopach szpilki w kolorze krwi lub bugenwilli. „Modelki”, myślał o swojej córce, która również została modelką w wieku 17 lat, „łakomy łup dla wszelkiej maści fotografów, hochsztaplerów, agentów reklamowych”.

Gdy ukończyła 25 lat, zaczęła zdradzać pierwsze symptomy choroby. Przyspieszyło ją rozstanie z jej pierwszym mężczyzną. Traktował ją jak zabawkę. Zalamana, zaszyła się w swoim pokoju. Jej życie ograniczyło się do słuchania piosenek w sieci. Uzależniona od laptopa, pograżała się w coraz większej melancholii, która przeistoczyła się w czytelną depresję. Przypominała owada – piękny odpychający insekt wciśnięty w cztery ściany kolorowego pokoju. Zaczęła malować kwiaty. Te prace matka zawiesiła na ścianach. Prócz niej nikt ich nie oglądał, nie pochwalił. Żyła w klatce jak piękny samotny słowik. Nigdy nie miała przyjaciół. Choćby jednej koleżanki. Żyła w modnej dzielnicy, z podawanym przez matkę służącą obiadem, paletą wszelkich wygód. Któregoś dnia wzięła nożyczki i ścięła swoje długie lśniące włosy. Do samej skóry. To był krzyk! Krzyczała ze wszystkich sił, lecz nikt jej nie słyszał. Oprócz powabnej matki, która po pracy wpadła w zdumienie, później w rozpacz, następnie w otepiałą bezradność.

Wkrótce znalazła się w szpitalu psychiatrycznym. Zaaplikowano jej lek, który miał wytłumić emocje, wyciszyć agresję. Zaczęła chodzić na zajęcia. Wśród chorej młodzieży byli osobnicy z zaburzeniami afektywnymi dwubiegunowymi, samobójcy, schizofrenicy, ludzie z niską oceną własnej wartości. Młode, nadwrażliwe zagubione dusze karmiono psychotropami. Próbowano wytłumić ich manie prześladowcze.

A dzisiaj – zadawał sobie niewinne pytanie – czy współczesna psychiatria jest w stanie kogokolwiek uleczyć? Te zadbane młodzieńskie kobiety, chłopaków z dobrych domów, którzy przedwcześnie poznali seks, zażywali LSD i kokainę, nigdy nie skalali swych dłoni pracą? Którzy nie mają pojęcia, czym są pokora i harówka? Tym bardziej pomoc schorowanym rodzicom. Czy przypadkiem dobrze sytuowani rodzice nie robią swoim dzieciom ogromnej krzywdy, wyręczając je w codziennych

obowiązkach, nie potrafiąc rozbudzić w nich zainteresowań, a później nie posyłając na studia czy do najzwyczajszej pracy w sklepie, fabryce, w biurze? Dając pieniądze, żywiąc, placąc rachunki za gaz, światło, telefony komórkowe, internet, nie żądając niczego w zamian? We Włoszech takie dorosłe dzieciaki nazywają „bambocioni”. Ta zdegenerowana młodzież jeździ lamborghini, bawi się w nocnych klubach, uczestniczy w orgiach. Marzenia zepsutych młodych starców sprowadzają się do posiadania rzeczy.

W jednym z artykułów przeczytał, że księżna Diana miała koszarne dzieciństwo. Jako dziewczynka czuła się niezrozumiała i wyobcowana. Wspominała: „Raz w tygodniu chodziłam do szpitala psychiatrycznego. Wychowywałam się bez matki. Miałam fatalną relację z macochą. W przypływie nienawiści zrzuciłam ją ze schodów”.

Znow toczył z M. dawny dialog:

– Twoją córkę uleczyć może tylko psychoterapia. By mogła na własnej skórze się przekonać, że nie jest jedną, jedyną, która ma problem, że obok są inni. Zagubieni, samotni, pozornie przegrani. Tylko wówczas ma szansę się otworzyć, poznać siebie. To trochę tak, jakby otworzyć drzwi, wpuścić promień światła. Ci młodzi ludzie stracili wiarę w siebie. Nikt nie daje im dobrego przykładu. Widzą dokoła przestępstwa. Pelzającą obłudę. W mediach, gdzie nieustannie ktoś kogoś łaje, obraża, oskarża, wyśmiewa. Gdzie podziało się piękno tego świata? Gdzie zniknęła poezja? Co stało się z magią miłości? Dlaczego ta ostatnia sprowadzona została do mechanicznej kopulacji? W imię czego człowiek kaleczy najbliższe osoby? A w rezultacie siebie. Czy istnieje jeszcze miłosierdzie? Gdzie ukryło się człowieczeństwo?

Młodzi ludzie przestali się ze sobą komunikować. Swoją język sprowadzili do narzecza dzikich plemion. Dziewczeta przeklinają jak chłopaki. Ten nieustający jazgot wypacza w człowieku jego wiarę, odbiera nadzieję, że istnieje jeszcze inny, wspaniały szlachetny świat.

Mówił, ciskał się jak oszalały, lecz z każdą sekundą słabł. Nagle poczuł, że ogarnia go bezradność. Jak poskładać, jak wyleczyć tę dziewczynę, pomyślał, dziecko, które dotąd nie zakwitło? Dziecinę, która jak dzika róża na pustyni usułuje otworzyć płatki?



Płacić jak chcesz, czyli jak mieć wybór między gotówką a innymi formami płatności

Jeśli nic się nie zmieni, to według szacunków NBP już za kilkanaście lat gotówka może niemal zniknąć z obrotu płatniczego. Może zatem Polacy powinni mieć zagwarantowany dostęp do gotówki i zapewnioną jej powszechną akceptację? Jaki jest bezpieczny poziom obecności gotówki na cyfryzującym się rynku? Na te pytania odpowiadali uczestnicy debaty „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarce.pl zatytułowanej „Gotówka i obrót bezgotówkowy – jak uzyskać równowagę i zachować bezpieczeństwo?”

Narodowy Bank Polski dostrzega wagę problemu związanego ze swobodnym dostępem do gotówki i dlatego prowadzi intensywne prace nad zagwarantowaniem statusu gotówki jako bezpiecznego oraz powszechnie dostępnego i akceptowanego środka płatniczego – tak powstaje Narodowa Strategia Bezpieczeństwa Obrotu Gotówkowego, której stworzenie zapowiedział prezes

NBP prof. Adam Glapiński. Tymczasem w ostatnich latach obrót bezgotówkowy stał się synonimem modernizacji i postępu gospodarczo-społecznego. Polska włączyła się dynamicznie w ten trend, budując nowoczesny, zrównoważony i bezpieczny system płatniczy. Pogram Polska Bezgotówkowa, uruchomiony w 2017 r. przez uczestników rynku i wspierany przez administrację, przesunął Polskę do awangardy

najszybciej rozwijających się rynków płatności bezgotówkowych w Europie z korzyścią dla klientów, przedsiębiorców i całej gospodarki.

Czy jednak dostęp do gotówki i możliwość płacenia nią powinny być czymś gwarantowanym prawnie? Apele prof. Glapińskiego i stanowisko NBP w tej sprawie promuje też prezydent Andrzej Duda. Z rynku znikają bankomaty i placówki bankowe. Wynika to zarówno

ze zmiany naszych zwyczajów, jak i globalnych trendów. Tymczasem z różnych badań, w tym NBP, wynika, że 7–9 proc. Polaków w czasie pandemii spotkało się z odmową przyjęcia gotówki. Jak ocenia bank centralny, to nie były zdarzenia incydentalne, tylko problem bardziej systemowy. Trzeba pamiętać, że nieco większy odsetek Polaków (11,5 proc.) nie posiada też konta w banku, a jeszcze większy karty płatniczej (18,3 proc.). Dla takich osób płatność gotówką to jedyny sposób dokonywania płatności. Jak podkreślają uczestnicy debaty w redakcji „Gazety Bankowej”, nikt nie może zostać wykluczony. Czy to oznacza konieczność stworzenia systemu i przepisów chroniących dostęp do gotówki i możliwość płacenia nią we wszystkich punktach – od sklepów spożywczych po apteki?

GOTÓWKA MUSI BYĆ

– Chciałbym powiedzieć jasno i zdemontować nieprawdziwe informacje – ani Ministerstwo Finansów, ani minister finansów nie chce likwidacji gotówki. Jest wręcz odwrotnie. Popieramy inicjatywę pana prezydenta, żeby tę kwestię wyraźnie uregulować. To, co chcemy dać konsumentom w Polsce, to wybór. Wybór, nie nakaz czy zakaz. Czy jesteśmy w awangardzie? Patrząc na liczby. W Polsce mamy 2,2 mln kas fiskalnych. I można przyjąć, że w każdej akceptujemy gotówkę. Mamy też milion terminali POS, co oznacza, że w ponad połowie miejsc sprzedaży można płacić tylko gotówką. Jeśli z danych NBP wynika, że 8 proc. konsumentów spotkało się z odmową przyjęcia gotówki, to oznacza, że w 80 tys. sklepów nie można było zapłacić gotówką. Ja nie znam takich przypadków. Gotówka musi być i tu wszyscy się zgadzamy, ale do pewnego poziomu transakcji. Nie bez limitu. Uważam również, że obbligo akceptacji gotówki powinno być do określonej wyliczonej kwoty. To, że narodowa strategia obrotu gotówkowego jest, to dobrze, ale myślę, że powinniśmy mieć taką samą strategię dla obrotu bezgotówkowego. Nie możemy jednak wymuszać na konsumentach tego, jak ma płacić. To jest jego decyzja – mówi Tadeusz Kościński, minister finansów, funduszy i polityki regionalnej, podkreślając jednak, że

prawo wyboru musi też mieć przedsiębiorca, którego trudno zmusić do niebiznesowych, nieopłacalnych działań. – Konsument będzie używał płatności takiej, jaka dla niego jest najwygodniejsza. Dla wielu osób najwygodniejsze jest płacenie np. smartwatchem i chciałbym, by miały tę możliwość wszędzie, gdzie dokonują transakcji. Jednocześnie wyobrażam sobie, że ktoś kupuje bułkę i płaci 100-złotowym banknotem. Rozumiem, że sklep w takiej sytuacji namawia do płacenia bezgotówkowego – dodaje.

Udział gotówki w obrocie pieniężnym w Polsce w 2020 r. wynosił ok. 46 proc. To mniej niż w niektórych krajach strefy euro. Jeszcze kilka lat temu gotówka wyraźnie jednak dominowała.

– Trzeba pamiętać, że gotówka to też koszt dla gospodarki – to ok. 22–23 mld zł rocznie. Ten koszt ponosimy wszyscy, a w przypadku „bezgotówki” płacią tylko strony transakcji – przypomina minister Kościński.

AKCEPTACJA I DOSTĘP DO GOTÓWKI

– Problem z akceptacją gotówki jest dostrzegalny i choć nie jest to jeszcze zjawisko masowe, niepokoić może to, że od kilku lat, a zwłaszcza w 2020 r., ta podstawowa zasada, że znaki pieniężne emitowane przez Narodowy Bank Polski są prawnym środkiem płatniczym w Polsce, napotyka na ograniczenia – mówi Adam Tochmański, dyrektor Departamentu Systemu Płatniczego NBP. – Nie chcemy popełnić błędów innych krajów, gdzie w wielu sklepach nie można już płacić gotówką, a jednocześnie chcemy skorzystać z doświadczeń tych krajów, które uzupełniły swoje przepisy o zasadę, że akceptant nie może, poza pewnymi określonymi sytuacjami, odmówić przyjęcia gotówki. Stąd projekt NBP dokonania zmian w ustawie o usługach płatniczych mających na celu zapewnienie, z nielicznymi wyjątkami, powszechnej akceptacji gotówki, które poparł prezydent RP.

– Konsument musi mieć wybór, czy płaci gotówką czy kartą. I te obie formy płatności, tu zgadzam się z ministrem Kościńskim, dziękując też, że popiera ten projekt, powinny być do-

stępne dla klientów – podkreślił Adam Tochmański.

Problemy z akceptacją gotówki i zmniejszający się dostęp do niej, wyrażający się w spadku liczby bankomatów i oddziałów banków, były jednymi z najważniejszych powodów zainicjowania przez prezesa NBP w 2020 r. prac nad kluczowym obecnie projektem NBP – Narodową Strategią Bezpieczeństwa Obrotu Gotówkowego. Dyrektor Tochmański wskazał, że jednym z ważniejszych zagadnień analizowanych w ramach tych prac jest kwestia możliwości dokonania, poprzez samoregulację lub regulację, modyfikacji w niezmiennych od 10 lat poziomach opłaty bankomatowej, ustalanych przez organizacje kartowe.

KORZYŚCI Z CYFRYZACJI

Polska podjęła wiele inicjatyw, żeby wzmocnić dostępność transakcji bezgotówkowych, w tym najnowocześniejszych systemów płatności telefonem. Pogram Polska Bezgotówkowa sprawdził się – zwłaszcza w czasie pandemii, gdy okazało się, że chętniej piliśmy zblizeniowo. „Bezgotówce” pomogła też pandemia i obawy związane z przenoszeniem się wirusa przez korzystanie z gotówki. Był to wynik m.in. mylnie odczytanych rekomendacji WHO, która zalecała zachowanie higieny i mycie rąk przez pracowników obsługi klienta. Ale też obrazy z Chin z początku 2020 r., gdzie władze rozpoczęły proces fizycznego prania i dezynfekowania monet oraz banknotów w lęku przed wirusem. Przyczyniły się do tego także rekomendacje amerykańskich władz sanitarnych, które do dziś zalecają korzystanie z płatności bezdotykowych w sklepach stacjonarnych.

Sporo zamieszania wywołała też nie do końca zweryfikowana informacja pochodząca z artykułu autorstwa Billa Gardniera z brytyjskiego „The Telegraph”, że gotówka jest nośnikiem koronawirusa i w związku z tym trzeba po każdym dostępie do niej dezynfekować ręce, a najlepiej płacić w sklepie tylko kartą. Kilka dni później WHO wystosowała stanowcze dementi, mówiąc, że w publikacji dokonano daleko idącej nadinterpretacji słów przedstawiciela

WHO. Jednak nawet w Polsce, po tej wiadomości, ogłoszono wiele apeli o dokonywanie tylko płatności bezgotówkowych oraz publikacji także o tym, że banki nie dezynfekują gotówki. Przy okazji przeprowadzono badanie, z którego wynikało, że aż połowa Polaków nie boi się zarażenia koronawirusem przez gotówkę. Równocześnie w sklepach, w których jeszcze kilka lat temu wieszano kartki z napisem „Płatność kartą od 20 zł”, zaczęły się pojawiać informacje „Płatność tylko kartą”. Jak podkreślali uczestnicy debaty – takie komunikaty są oczywiście bezprawne.

ZMNIEJSZYĆ SZARĄ STREFĘ

Transakcje cyfrowe, oprócz wygody, dają jeszcze inne niewątpliwe korzyści. Jedną z nich jest transparentność obrotu finansowego. Płatności gotówkowe pozostają poza kontrolą instytucjonalną, co sprzyja tym, którzy działają w szarej strefie. Płatności cyfrowe są jednym z narzędzi, dzięki którym udało się ograniczyć szarą strefę w krajach południa Europy.

– Zgodnie z szacunkami ekspertów EY, w wyniku działań Fundacji Polska Bezgotówkowa do końca 2020 r. pojawiło się w Polsce ponad milion dodatkowych kart płatniczych oraz 920 tys. indywidualnych kont bankowych. Nasza działalność przynosi też inny, dość istotny efekt. Bez programu Polska Bezgotówkowa tylko w 2019 r. tzw. pasywna szara strefa (czyli taka, gdy nabywca płaci pełną kwotę za usługę lub towar w gotówce, z należnymi podatkami, ale nie są one odprowadzane) byłaby w Polsce wyższa o 4,1 mld zł (czyli 0,2 proc. PKB). Z kolei dochody podatkowe państwa byłyby niższe o 0,7–0,9 mld zł (0,03–0,04 proc. PKB). Łącznie w latach 2018–2019 działalność programu Polska Bezgotówkowa wygenerowała 1,0–1,3 mld zł dodatkowych dochodów podatkowych – informowała podczas debaty Grażyna Ciurzyńska, prezes Fundacji Polska Bezgotówkowa.

– W Unii Europejskiej, w krajach walczących dziś z szarą strefą, obrót bezgotówkowy stanowi ok. 80 proc. wszystkich transakcji – zaznacza Piotr Arak, dyrektor Polskiego Instytutu Ekonomicznego. – To efekt uszczelnia-

nia systemu podatkowego w Portugalii, Grecji i we Włoszech, by zmniejszyć udział szarej strefy w gospodarce. Dziś jest tak, że w Grecji wszędzie jest dużo więcej napisów o nakazie wydawania rachunku, znacząco wzrosły kary za niepłacenie VAT, a większość punktów płatniczych przyjmuje już płatności bezgotówkowe. My też mamy nadal bardzo wiele transakcji dokonywanych poza obiegiem, także w relacjach biznes–biznes, a cała szara strefa to ok. 18 proc. PKB – dodaje. – To nie jest tak, że osoby starsze są wykluczone, nie stygmatyzujemy też osób poza dużymi miastami. Wiele z tych nich doskonale radzi sobie z cyfryzacją, a będzie jeszcze lepiej, bo od stycznia 2022 r. ZUS będzie domyślnie przelewał świadczenia na rachunki bankowe. Przed nami ogromna dyskusja nad cyfryzacją walut na świecie, w której już uczestniczą 83 kraje – zgadzam się z ministrem Kościńskim, że powinniśmy być tam, gdzie rynek dopiero będzie, a nie gdzie już był.

Przedstawiciele NBP wskazują jednak Szwecję jako antyprzykład procesu cyfryzacji transakcji, bo tam już dziś gotówka znika z obiegu. Stąd zabiegi NBP nie tylko o powszechną akceptację gotówki, ale i o jak największą liczbę punktów, w których można pobrać gotówkę – od oddziałów banków, poprzez bankomaty, po punkty cashback, umożliwiające wypłacanie gotówki z kas sklepów. Na koniec 2020 r. w Polsce działało ponad 260 tys. punktów, które umożliwiały wypłatę gotówki przy okazji płatności kartowej.

– Dla mnie cashback jest wciąż mocno niedoceniany, brakuje z pewnością edukacji w tej dziedzinie. To system z olbrzymim potencjałem – umożliwiający wypłatę gotówki wszędzie tam, gdzie można też dokonać transakcji bezgotówkowej. Na koniec 2020 r. mieliśmy ponad ćwierć miliona punktów, które w standardzie i za darmo udostępniały wypłatę gotówki. Oczywiście mały sklep nie zawsze jest zainteresowany wypłatą gotówki, ale duże i średnie sieci detaliczne, jak choćby sklepy Żabki czy stacje Orlenu, inne stacje benzynowe, punkty handlowo-usługowe, to są już dziś miejsca, gdzie należy kierować do wypłat gotówki – ocenia Grażyna Ciurzyńska, prezes Fundacji Polska Bez-

gotówkowa. – To dobre dla wszystkich. Dzięki temu konsument ma dosłownie po sąsiedzku możliwość wypłacenia potrzebnej mu kwoty i nie musi jechać 20 km do najbliższego bankomatu. Dziś, nawet w rozmowach w małych grupach fokusowych, nie ma tej świadomości. Dlatego jako fundacja będziemy pracować nad dużą akcją edukacyjno-informacyjną na ten temat. Uważam, że tu jest pole do dobrej współpracy właśnie z Narodowym Bankiem Polskim, by wykorzystać ten potencjał dla dobra zarówno gotówki, jak i „bezgotówki” – dodaje.

IDZIEMY PO GOTÓWKĘ

Prezes Fundacji Polska Bezgotówkowa przyznaje, że jest problem ze świadomością Polaków co do miejsc, z których mogą pobrać gotówkę. Pytanie jednak, czy usługa cashback w sklepach jest w stanie zrekompensować znikanie z rynku bankomatów? Z perspektywy mieszkańców Warszawy czy dużych miast może się wydawać, że problemu nie ma. Wystarczy jednak wyjechać z miasta lub... sięgnąć po informację: według danych NBP za pierwszy kwartał 2021 r. na 4,5 mln transakcji cashback nadal przypada aż 110 mln wypłat z bankomatów.

– Odnosnie do obawy o wykluczenie płatnicze na wsiach zwracam uwagę, żeby nie generalizować, bo to się zmienia. Dziś prawie każdy rolnik ma rachunek bankowy, a wiele osób spoza miast kupuje w internecie. Natomiast „wykluczeni” w rzeczywistości mogą być np. ci, którzy mają do czynienia z komornikiem – zauważa minister Kościński.

W obliczu koronawirusa Polacy zabezpieczali się w gotówkę. Po ogłoszeniu pandemii przez WHO sektor bankowy przeżył obłęd, na szczęście krótkotrwały. Jak podawał NBP, apogeum przypadło na 12–17 marca 2020 r., gdy z banków wypłacono ponad 18 mld zł. Skala wycofywania środków była tak duża, że w niektórych bankomatach po prostu zabrakło gotówki. Po kilku dniach sytuacja się ustabilizowała, a wypłacane kwoty zmniejszyły, choć nadal utrzymywały się na wyższym niż w poprzednim roku poziomie. W połowie maja sytuacja wróciła do normy, ale



Tadeusz Kościński,
minister finansów,
funduszy i polityki regionalnej

Adam Tochmański,
dyrektor Departamentu
Systemu Płatniczego NBP

Piotr Arak,
dyrektor Polskiego Instytutu
Ekonomicznego

Grażyna Ciurzyńska,
prezes Fundacji Polska
Bezgotówkowa

było o krok od rozlania się społecznej paniki. Eksperti z banku centralnego podkreślali, że dzięki zgromadzonym wcześniej buforom gotówkowym nie wystąpiło zagrożenie płynności banków.

BEZPIECZNA RÓWNOWAGA

Na pytanie o pożądany poziom równowagi między gotówką a transakcjami bezgotówkowymi wszyscy uczestnicy odpowiedzieli, że rynek bezgotówki nie jest dobrym ani korzystnym dla obywateli rozwiązaniem.

– Gdybyśmy zeszli poniżej 20 proc. gotówki w transakcjach, mogłoby to oznaczać, że są osoby z utrudnionym dostępem do gotówki, ale do tego poziomu jeszcze daleko – mówi minister Kościński. – Jako minister finansów oczywiście jestem za jak najwyższym obrotem bezgotówkowym, bo on eliminuje szarą strefę, ale jako obywatel chcę mieć wybór sposobu płacenia.

– Nadal jest wiele do zrobienia i wciąż jeszcze nie osiągnęliśmy dobrego, pożądanego poziomu transakcji bezgotówkowych, dostępności płacenia kartą czy aplikacją wobec płatności gotówką – konstatuje prezes Grażyna Ciurzyńska. – Udało się wejść w relację i współpracę z ponad 290 tys. przedsiębiorców i liczba tych, którzy przekonują się do korzyści z posiadania terminala POS, wciąż rośnie. Przypomnę, że gdy za-

czynałam moją pracę z „cashlessem”, działaliśmy na poziomie 20 proc. transakcji bezgotówkowych. Dziś, żeby dać konsumentowi wybór i zachować bezpieczeństwo, także z perspektywy gospodarki makro i suwerenności gospodarczej, pożądanym poziomem relacji między gotówką a „bezgotówką” byłoby odwrócenie tamtych realiów, czyli pozostawienie 20 proc. gotówki. Nam jeszcze daleko do tej struktury, dlatego uważam, że program jest realizowany przez fundację dobrze, ale wymaga naturalnie dalszej pracy. Przy czym wkraczamy zdecydowanie w obszar szeroko rozumianej działalności edukacyjnej, m.in. w zakresie nowoczesnego i świadomego zarządzania finansami czy cyberbezpieczeństwa. Rzetelna finansowa edukacja społeczeństwa jest bardzo ważna. Mamy coraz więcej różnych instrumentów: gotówkę, „bezgotówkę”, ale także inne instrumenty inwestycyjne. Nie są to tematy proste, a czasem pewne osobiste decyzje mogą mieć dalekosiężne skutki. Dlatego w fundacji stawiamy właśnie na taką edukację.

– Z ostatniego badania przedsiębiorców posiadanego przez NBP z 2019 r. wynika, że ok. 43 proc. polskich przedsiębiorców akceptuje karty, to oznacza, że ponad połowa z nich nie akceptuje „bezgotówki” – mówi Adam Tochmański. – Jeśli mówimy o ogólnym udziale płatności gotówkowych i bezgotówkowych w transakcjach detalicz-

nych – trzeba zauważyć, że w 2005 r., gdy pierwszy raz badano ten wskaźnik, dane mówiły o 2 proc. transakcji bezgotówkowych i 98 proc. płatności w gotówce. W 2012 r. mieliśmy 18 proc. płatności bezgotówkowych i 82 proc. gotówkowych. W ub.r. we wrześniu to było 46 proc. dla gotówki i 54 proc. dla „bezgotówki” – po raz pierwszy płatności bezgotówkowe przekroczyły połowę. Oczywiście nie jest tak, że ktoś może sobie zaplanować, że to będzie 40–60 proc. albo odwrotnie. To konsumenci i przedsiębiorcy wybierają metodę płatności. Ale żeby dać konsumentom swobodny wybór sposobu płatności, to z punktu widzenia NBP gotówka powinna stanowić realnie dostępną i akceptowalną alternatywę wobec płatności bezgotówkowych.

Debata wykazała, że wszyscy dążą do zapewnienia prawa wyboru dla konsumenta i oddania w jego ręce decyzji, czy chce dokonać zapłaty w formie gotówkowej czy bezgotówkowej. W tym kontekście inicjatywa legislacyjna prezydenta zmierza w dobrym kierunku. Jak jednak zagwarantować konsumentowi prawo dokonywania płatności bezgotówkowych w każdym punkcie usługowo-handlowym w Polsce? Być może i tu przydałaby się lustrzana regulacja, nakładająca na przedsiębiorców obowiązek akceptacji płatności bezgotówkowych.

Notował Maksymilian Wysocki

Hit tygodnia

Smartfon Leitz Phone 1

Ilu amatorów fotografii chciałoby używać Leiki? Nawet nie mówię o cyfrowym dalmierzu, bo ceny tych modeli są astronomicznie wysokie, nie wspominając o obiektywach, wystarczyłby zwykły model na film (też tani nie jest). Może jakimś pocieszeniem będzie prawdziwy smartfon od niemieckiej firmy? Leitz Phone 1 ma 6,6-calowy wyświetlacz IGZO OLED o rozdzielczości 2730 x 1260, procesor Snapdragon 888 od Qualcomm, 12 GB pamięci RAM i 256 GB pamięci masowej, którą można rozszerzyć do 1 TB za pomocą karty micro SD, baterię o wcale nie małej pojemności 5000 mAh. Ale w tym smartfonie najważniejszy jest aparat, który ma 1-calową matrycę. Tylny obiektyw jest bardzo jasny – f/1.9 i robi zdjęcia w rozdzielczości 20 megapikseli oraz nagrywa filmy w 4K. Przedni aparat ma 12,6 megapikseli. Niestety, nie tak łatwo będzie go kupić, gdyż na razie ma być dostępny tylko na rynku japońskim, w cenie – ujmę to tak – jak na Leicę niekoniecznie wygórowanej, ok. 1,7 tys. dol., czyli mniej więcej 6,5 tys. zł.

Zapowiedź

Plusy i minusy

- + topowy smartfon do robienia zdjęć
- powiedzialbym cena, ale jak na Leicę – to niekoniecznie, zresztą flagowe smartfony niektórych firm kosztują podobnie, na razie ograniczona dostępność

Konsola Atari VCS

Czy ktoś pamięta gry na Atari? Już sporo czasu minęło... równie sporo, może trochę mniej, od momentu podania informacji o zaczęciu prac nad konsolą. Ale w końcu jest. Co ciekawe, konsola może działać pod systemami Windows, Linux, a także ChromeOS. Jeśli chodzi o gry, to mamy ich setkę: 18 pochodzi z automatów, pozostałe z Atari 2600. Konsola wspiera natywnie klawiaturę i myszkę, umożliwia także streaming. Oczywiście należy pamiętać, że to raczej zabawka dla fanatyków retro i nie należy oczekiwać od niej możliwości, jakie oferują najnowsze konsole. Cena podstawowej wersji konsoli to 299,99 dol. Jeśli chcemy mieć w komplecie džojstik i kontroler, to musimy dolożyć 100 dol. Do limitowanej wersji o nazwie Walnut.

Premiera

Głośnik Sony SRS-NB10

Firma Sony zaprezentowała nowy głośnik naramienny SRS-NB10, pomyślany jako ułatwienie dla osób pracujących z domu. Model ten opiera się na ramionach użytkownika, dzięki czemu jest wygodny w użyciu przez cały dzień, zarówno w czasie połączeń konferencyjnych, jak i słuchania muzyki czy chodzenia po domu. Technologia Precise Voice Pickup zapewnia dobrą słyszalność głosu użytkownika nawet podczas pracy w domowym zgiełku. Głośnik SRS-NB10 wytrzyma cały dzień rozmów służbowych, słuchania muzyki i oglądania telewizji. Działa bez ładowania do 20 godz. Gdyby jednak zabrakło energii, 10-minutowe ładowanie wystarczy, by pracować lub słuchać nawet dodatkową godzinę.

Zapowiedź

Przygotował Paweł Gadaczek





Forum Wizja Rozwoju

IV edycja
Gdynia 26 - 27.08.2021 r.

Patronat honorowy Prezesa Rady Ministrów



Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

Partnerzy merytoryczni



MINISTERSTWO
INFRASTRUKTURY



MINISTERSTWO
AKTYWÓW
PAŃSTWOWYCH



Ministerstwo Rodziny
i Polityki Społecznej



Ministerstwo
Klimatu i Środowiska

Partner Generalny



Partner Strategiczny



Partnerzy +

II Pomorskie Forum Kół Gospodyń Wiejskich

Partner



eprasa.pl 8082949bba

STASZEK KARPIEL-BULECKA

WOKALISTA, MUZYK

Gazdówka w Zakopanem



Jestem trochę włóczykiem, lubię jeździć po świecie, ale dom zawsze był w Zakopanem. I do domu się wraca. Choćby na jeden dzień. Dlatego moim marzeniem było, żeby tam, gdzie się wychowałem (to ostatnia gazdówka w centrum miasta Zakopane), powstał pensjonat.

Dom dostałem od mamy, która jest z Bachledów-Curusiów, i zaadaptowałem tak, żeby tradycja łączyła się w nim ze współczesnymi udogodnieniami. Podzieliliśmy dawną przestrzeń na apartamenty (jest ich w sumie dziewięć) oraz część dla domowników, w której mieszkam z moją ukochaną Anią i synem. Jak nie jestem w trasie, często można mnie spotkać w obejściu, bo – wiadomo – „jak se gazda nie upilnuje, to nie będzie miał”.

Dom wyrychtowaliśmy według projektu mojego starszego brata Jana. Jak zabraliśmy się za pracę, to wielu ludzi wokół myślało, że wszystko zmienimy, a potem zdarzyło się: przyszedł pod dom znajomy mojego dziadka – śp. Stefana Bachledy-Curusia – i zapłakał. Kiedy spytałem, co się dzieje, powiedział, że nie spodziewał się, że my młodzi, zupełnie inne pokolenie, będziemy mieli takie poszanowanie dla starego góralskiego stylu.

Nie mogło być jednak inaczej, bo ten dom wiele pamięta, przyjmował wspaniałych gości. Choćby Witkacego.

Przed pandemią wróciliśmy do Zakopanego. Kończyliśmy wtedy pensjonat. Otworzył się tuż przed trzecią falą, raptem na miesiąc, ale i tak mieliśmy w nim schronienie na czas lockdownu. To był też moment, ostatecznie, przeprowadzki. Pożegnałem Warszawę, do której przyjechałem na chwilę, a w sumie spędziłem 12 lat.

Bardzo lubię to miasto, zwłaszcza latem. Świetnie się tu czuję, tu poznałem fantastycznych ludzi. Stąd pochodzi moja narzeczona. Tu się urodził mój syn. W Warszawie wszystko się zaczęło – od muzyki po rodzinę. Również tu kręci się znaczna część show-biznesu (choć coraz więcej jest w nim show).

Mieszkalem z każdej strony Warszawy, na Pradze, Bemowie, potem przez dwa lata na Saskiej Kępie, aż zatrzymałem się na Ursynowie, w okolicach Lasu Kabackiego. Warszawa bywa piękna, ważne dać sobie szansę ją poznać. Nie każdy ma taką możliwość, jak pracuje od rana do wieczora w biurze. Ja w Warszawie robiłem to, co kocham – i lepiej nie może być – czyli muzykę.

Kiedy było można, zjeździliśmy z zespołem całą Polskę, wzdłuż i wszerz. Graliśmy też w Europie, w różnych miejscach, dla Polonii. I – jak to górale – dotarliśmy również do Ameryki. Ale najpierw poznałem Stany Zjednoczone z innej strony.

Była to tzw. kontraktorka, budowlanka. Dużo się nauczyłem, najwięcej chyba pokory. Człowiek, jak sam zarobi na siebie, to inaczej na wszystko patrzy. Trafiłem najpierw do Chicago. To był rok 2005. Pamiętam wielką tęsknotę za rodziną. Trudno mi było wytrzymać te trzy miesiące, ale honor i ambicja nie pozwoliły wcześniej wrócić, chociaż była taka możliwość.

Po dwóch, trzech latach znów pojechałem na zarobek do USA, też na budowlankę, a w ostatnim czasie byliśmy za oceanem w roli muzyków, artystów. I to był czad. Zaczęliśmy trasę, a jakże, w Chicago. Chcielibyśmy jeszcze tam kiedyś zagrać, poszerzając trasę o Florydę, Kolorado, Nowy Jork. Oby się spełniło.

Dzięki mojej Hani dużo zwiedzam. Wcześniej najczęściej wylegiwałem się na plaży, bo uwielbiam słońce, wodę. Dlatego tak kocham Grecję. Teraz co roku jeździmy w inne miejsce – każda wyspa oferuje coś nowego. Życie płynie tam wolniej i piękniej.

Teraz łączymy aktywny odpoczynek z wylegiwaniem się. I nawet jak wyjeżdżamy na krótko, to wydaje mi się, że jesteśmy tam dłużej, właśnie z powodu różnorodności, którą serwuje moja ukochana. Dzień wtedy inaczej mija. Jeszcze przed pandemią udało się nam polecieć do Grecji, było wspaniale, niewielu ludzi. Odwiedziliśmy ponownie Zakynthos, tym razem z synem. Był zachwycony zwiedzaniem wyspy, quadem, wykluwającymi się żółwikami. No i morzem. Nasze dziecko kocha wodę.

Podróżnicze marzenie – na razie odkładane ze względu na wiek synka – to Ameryka Południowa. I jest jeszcze pensjonat, którego chcę doglądać. Wszak jego klimat tworzą gospodarze.

Jolanta Gajda-Zadworna

Lek na gorąco



ANNA MONICKA

W upały nie chce się jeść. Organizm tyle energii zużywa na chłodzenie i utrzymanie właściwej temperatury ciała, że ma kłopoty ze strawieniem czegoś dużego i tłustego. Oczywiście są mocarze, którzy wtrąbią pół barana z tłustymi frytkami, popiją zimną wódką i pójdą do przodu, ale ja się do nich nie zaliczam. Od kilku dni ciągnę na naparach z moich ziół, głównie rozlicznych mięt (odmian jest podobno kilkaset, ja mam „tylko” pieprzową, marokańską, pomarańczową, czekoladową i ananasową) i zimnym kefirze ze szczyptą soli albo jogurcie, do którego wcieram ogórka i dodaję szczyptę suszonego czarnego czosnku. Można się tym najeść i napić za jednym zamachem.

Jedyną wadą jest potworna ilość plastikowych butelek. Nasze żółte worki wypełnione są nimi po brzegi. Ale i z tym da się coś zrobić.

Kultury bakterii kefirowych i jogurtowych w małych fiolkach do niedawna kupowałam tylko w internecie, ale ostatnio natknęłam się na nie w zwykłym sklepie. Złapałam od razu kilka opakowań. Czas przypomnieć sobie, jak w domu przyrządzić przepyszne przetwory z mleka. Wychodzi znacznie taniej, bo z jednej fiolki mam trzy litry, a własnym jogurtem mogę jeszcze zaszcześcić kolejne dwie porcje.

Mleko. Najlepiej dopaść wiejskie prosto od krowy. Takie, które zsiada się bez wsparcia z zewnątrz. Trzeba je tylko przegotować, żeby temperaturą wybić niepożądane bakterie, a potem ostudzić. Gdy jest letnie, mieszamy odrobinę z proszkiem w fiolce i wlewamy do garnka z mlekiem. W proszku są żywe kultury pożytecznych bakterii ścinających mleko na kefir lub jogurt. Naczynie musi stać kilka godzin w ciepłym miejscu, może to być lekko nagrany piekarnik, żeby ułatwić im pracę. Można je też owinąć kocem, jak kaszę, która ma być zrobiona na sypko. Ja mam do jogurtu szklany garnek, żeby mieć pewność, że kwaśniejsze mleko nie wejdzie w reakcję z metalowymi ściankami.

Taki jogurt czy kefir zachowuje świeżość przez kilka dni, do tygodnia, ale u mnie nigdy tak długo nie postał. Smaczno!



WILCZYM OKIEM

Pluszcz

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pluszcz *Cinclus cinclus* to osobliwy ptak śpiewający. Osobliwy, bo nurkuje, by polować, biegając po dnie pod powierzchnią wody. Najchętniej po dnie kamienistych, wartkich potoków w Karpatach i Sudetach. Pluszcz jest intrygujący także z wyglądu: nieduży, pękaty, z zadartym, krótkim ogonem, stalowoszarymi skrzydłami, ciepłobrową głową i brzuchem oraz z białym, wielkim „ślinakiem” na piersi.

W przyrodzie ważne jest znalezienie swojej niszy. My – ludzie – wybieramy okolicę na mieszkanie lub dom, znajdujemy odpowiadającą nam pracę, zdobywamy znajomych i przyjaciół, mamy swoje ulubione sklepy czy kawiarnie, pełnimy właściwą nam funkcję w społeczeństwie. Podobnie postępują inne organizmy żywe znajdujące swoje miejsce w przyrodzie, wyznaczone przez określone, odpowiadające im warunki, przez rodzaj i sposób zdobywania pokarmu itp.

Nisza, którą wybrały pluszcze, jest specyficzna. Ich życie związane jest ściśle z potokami góorskimi. Gniazdzą w miejscach ukrytych za wodospadami. Polują na rozmaite organizmy wodne – to wśród ptaków nie rzadkość – jednak na swój własny sposób.

Kiedy potok jest niezamarznięty, bieganie pod wodą po dnie wydaje się ciekawostką. Zalety takiej metody łowieckiej ujawniają się podczas długiej górskiej zimy. Wystarczy niewielka przerębel, niezamarznięte bystrze itp., żeby wnikać w głąb. Podczas gdy brzegi skrywa śnieg, pod wodą czekają larwy widelnic, chrzączek i jętek. W postaci dorosłej owady te ujawniają się w sezonie wegetacyjnym i giną po krótkiej rójce. Jako larwy żyją jednak pod wodą kilka lat, stanowiąc pożywienie dla pstrągów, głowaczy, rzęsorków i pluszczy właśnie.

Jeżeli znaleźć sposób, górski potok może się okazać wprawdzie surowym i wymagającym, lecz niezłym miejscem do życia. Nagrodą za wytrzymałość jest mniejsza konkurencja (do podobnych wniosków doszły niegdyś niewielkie grupy ludzi, które wybrały do życia daleką Północ lub góry właśnie).

Łato jest dobrym okresem do zaobserwowania pluszczy na góskim potoku. Są teraz bardzo aktywne – młode pluszcze opuściły już gniazda i kręcą się przy nawołujących donośnym piskiem rodzicach, czekając na karmienie i próbując pierwszych polowań – na dnie góskiego potoku oczywiście.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Przyszła wojna

Zespół Dokumentacji i Analiz Reduty Dobrego Imienia przedstawił raport na temat hipotetycznej wojny w krajach bałtyckich i w Polsce. Raport zatytułowany jest „Si vis pacem – para bellum”. Stara rzymska sentencja „Jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny” jest zawsze aktualna. A to dlatego, że nadal mamy do czynienia ze starym jak świat zjawiskiem – homo homini lupus est (człowiek człowiekowi wilkiem).

Rosja zajęła 20 proc. terytorium Gruzji, sieje zamęt w Abchazji, Osetii, na wschodniej Ukrainie, którą de facto okupuje. Oficjalnie nie było żadnej agresji ani wypowiedzenia wojny, ale za pomocą tzw. zielonych ludzików zmieniono terytorialne status quo i Krym stał się rosyjski, wraz z nową strefą morską. Władimir Putin twierdzi, że naród ukraiński nie istnieje, a Ukraińcy to południowo-wschodni Rosjanie. Rosjanie żyją także w Estonii, na Łotwie i Litwie. Pewnie znalazłby się także i w Polsce, gdyby wkroczyła tu armia rosyjska.

I o tym jest ten raport, który łączy z sobą dwa opracowania. Amerykańskiego Instytutu IISS i brytyjskiego politologa Barry’ego R. Posen, wykładowcy z MIT. Uniwersytet w Massachusetts to prestiżowa uczelnia w świecie. Oba raporty zakładają czasową okupację Polski przez połączone siły militarne Rosji i Białorusi, zestawiają potencjały wojskowe stron konfliktu zbrojnego i kolejne scenariusze rozpisane na dni i tygodnie wojny. Wygranej czy przegranej? – chciałoby się od razu zapytać. Odpowiedź oczywiście nie jest jednoznaczna, choć niewątpliwym pocieszeniem jest pełna zgoda autorów obu raportów, że Warszawa nie będzie przez Rosję okupowana. Innym zgodnym ich wnioskiem jest wykazanie, że bez zaangażowania USA NATO niewiele zrobi dla bezpieczeństwa Europy. Wiedział o tym Donald Trump, gdy wytykał Niemcom zbyt małe finansowanie własnych zbrojeń, no i forsowanie budowy gazociągu Nord Stream 2 dającego Rosji rocznie 2 mld dol. przychodów, z których znaczna część pójdzie na zbrojenia. O ile Trump znał scenariusze realnego zagrożenia Europy, o tyle obecny prezydent USA udaje Greka. Wydaje mu się, że Niemcy będą wspierały finansowo Ukrainę i zabezpieczą dla niej rosyjski gaz jak dawniej, gdy nie działał bałtycki rurociąg. Zdaje się, że Joe Biden osiągnął coś, co nie udało się żadnemu prezydentowi USA: pozbawił Europę amerykańskiej dominacji. Tymczasem Unia Europejska nie jest w stanie samodzielnie obronić militarnie państw członkowskich. Będą one musiały same zadbać o swoje bezpieczeństwo.



I tu Polska poszła w dobrym kierunku. Budowa magazynów US Army w Powidzu pomieści sprzęt dla całej amerykańskiej brygady zmechanizowanej. Wiąże się z tym zakup czołgów Abrams, samolotów F-35, tureckich dronów z pociskami samonaprowadzającymi, no i dwie pierwsze baterie rakiet Patriot w ramach programu „Wisła”. Do tego polskie armatohaubice Krab i moździerz kołowe Rak. Jak piszą autorzy raportu RDI, Polska posiada największe siły na wschodniej flance i jedne z większych wojsk lądowych spośród europejskich państw NATO. Razem z jednostkami WOT Wojsko Polskie liczyło dwa lata temu ponad 144 tys. żołnierzy.

WOT powstały w styczniu 2017 r. Opozycja wojska te wyśmiała, nadal ośmiesza i deprecjonuje ponad 30 tys. patriotycznych Polaków, którzy dobrowolnie zdecydowali się zostać żołnierzami gotowymi bronić kraju w miejscu swojego zamieszkania, zgodnie z ich dewizą „Zawsze gotowi, zawsze blisko”. Nie dziwi więc wyposażenie tych żołnierzy w przeciwpancerne pociski kierowane Javelin. Opozycja próbowała zatrzymać ten zakup jako bezprzetargowy, pod pretekstem obrony interesów polskiego przemysłu.

Polska za rządów Tuska, który stale oskarża PiS o propupitowskie inklinacje, zlikwidowała polską armię na wschodniej flance NATO. Wojsko Polskie miało bronić wschodniej granicy Niemiec, a dziś jest znów w Braniewie, Giżycku, Orzyszu, Bartoszycach, Morągu, Elblągu, Przasnyszu, Zamościu. Nowo utworzona 18 Dywizja Zmechanizowana, dla której sprowadza się czołgi Abrams, będzie broniła Warszawy, gdyż nie jest przesądzone, że Rosja i Białoruś zatrzymają się tylko na Przesmyku Suwalskim.

Celem agresora jest rozbicie jedności NATO, tak aby nie zadziałał art. 5 traktatu waszyngtońskiego.

Ten cel można osiągnąć zbrojnie, ale także propagandowo. Akurat jest to wojna, w której bierze udział każdy z nas, akceptując ją lub się jej przeciwstawiając. Polska jest oczerniana na arenie międzynarodowej oskarżeniami o faszyzm, antysemityzm, rasizm, homofobię, niszczenie sądów, wolności słowa, demokracji itd., itp. Może się okazać, że takiej Polski, wręcz totalitarnej, jakieś państwo NATO, np. Niemcy, nie będzie chciało bronić, ani tym bardziej za nią umierać. Dochodzą do tego oskarżenia o wywołanie II wojny światowej, a nawet o współudział w Holokauście. Równocześnie rośnie w siłę polska opozycja wspierana propagandowo i finansowo przez wrogów Polski.

I doprawdy trudno ocenić, które zagrożenie jest dla Polski bardziej destrukcyjne: militarne czy propagandowe. Nastawmy się na walkę z obu zagrożeniami.

WEJDŹ DO AKCJI

z Programem dla Akcjonariuszy
Indywidualnych PKN ORLEN



- **OSZCZĘDZAJ** na paliwie
aż do 540 zł rocznie
- **KUPUJ** taniej
na stacjach PKN ORLEN
- **ZYSKAJ WIEDZĘ** o rynkach finansowych
w Akademii Inwestowania
- **BIERZ UDZIAŁ** w wyjątkowych
wydarzeniach

Poznaj korzyści na **www.orklenwportfelu.pl**

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Kościół zamknięty

Wbrew tytułowi nie będzie o Kościele, ale o świątyniach. Zaczniemy zatem od początku. Przez większość swojego życia mogłem wchodzić do kościołów, kiedy tylko zechciałem. Zamykane były jedynie na noc, ale też nie wszystkie. Były takie, w których zamek zardzewiał od nieużywania, bo przyjmowały wiernych całodobowo. Kiedyś, jako student, wracałem przed północą do domu. Oczywiście pieszo, bo o aucie nie można było nawet marzyć. Był to też ten czas, że komunikacji nocnej w Toruniu chyba nie było, a takśówki były drogie. Przechodząc koło kościoła, wstąpiłem do środka. Była to zwykła świątynia parafialna, jakich w tym czasie w Toruniu było kilkanaście. Panował półmrok, paliło się tylko jakieś znikome oświetlenie. Po chwili skupienia przed ołtarzem poszedłem do wyjścia. Wtedy zauważyłem, że w jednym z konfesjonałów siedzi kapłan i przy takiej małej lampce czyta, zapewne brewiarz. I teraz sobie uświadamiam, że wtedy ani otwarty w środku nocy kościół, ani ksiądz czekający na penitentów nie dziwili. Normalka. W głębokiej komunie gierkowskiej kościół i ksiądz czuli się bezpieczni.

Kilka lat temu, gdy jeszcze chciało mi się jeździć po świecie, na zlaicyzowanym i coraz bardziej sceptycznym, krytycznym wobec chrześcijaństwa Zachodzie, ale także w kompletnie zateizowanych Czechach czy głównie prawosławnej Czarnogórze, kościoły były otwarte, przynajmniej w ciągu dnia. We Francji, Włoszech, Hiszpanii, Anglii czy na Litwie (zwłaszcza w Wilnie) kościoły są otwarte na oścież. Jedni zwiedzają, inni przychodzą się modlić, a jeszcze inni robią jedno i drugie.

W Polsce, która szczyti się byciem krajem katolickim, która wydała bohaterskich kapłanów, takich jak św. Maksymilian Kolbe czy bł. Wincenty Frelichowski, w tym „dalekim kraju”, z którego do Rzymu przyszedł papież w chwili, gdy świat takiego właśnie papieża potrzebował, w kraju, w którym procesje Bożego Ciała wypełniają szczelnie ulice wszystkich miast i miasteczek, w tej Polsce, której honor i ojczyzna bez Boga istnieć nie mogą, wiele kościołów wpuszcza wiernych nieledwie do kruchty. Potem jest już tylko mniej lub bardziej gustowna krata, przeszklone drzwi, bądź w ogóle świątynia jest zamknięta na głucho. Ileż to razy na pobożnym Podlasiu odbijałem się w wiejskich kościołach od takich krat, do których czasami łaskawy proboszcz dostawiał klęcznik. Do ilu kościołów o wyżłobionych przez stulecia kolanami



**Aleksander
Nalaskowski**

*Ileż to razy na pobożnym
Podlasiu odbijałem się
w wiejskich kościołach od krat*

wiernych posadzkach, świątyń o wspaniałych witrażach, freskach, rzeźbach nie wpuszczono mnie, zastępując gościńnię łańcuchem i kłódką. Nie zliczę. Oczywiście modlić się i rozmawiać z Bogiem można wszędzie, ale wszędzie oznacza również w kościele!

Rozumiem obawy przed wandalizmem. Chociaż zamykanie świątyń ma u nas znacznie dłuższą „tradycję” niż pstrzenie ich murów wulgarnymi bohomazami, kradzieże czy profanacje. Ale zamykać kościół, bo wpuszczanie tylko do kruchty jest de facto zamknięciem świątyni, jest najprościej. To zwykła łatwizna i budowanie społecznego przekonania, że każdy wchodzący do kościoła w czasie innym niż nabożeństwo to potencjalny szkodnik i profanator. A tak nie jest. Nie wolno się tak poddawać! Nie można zamykać Domu Pańskiego przed wiernymi! Chyba jest to wygodne. I jeśli to realizacja strategii „wilk syty i owca cała”, to wedle mnie wilk zżarł już owcę i tyle. Bo jeśli kruchta ma wystarczać za kościół, to po kiego licha było ten kościół budować?! Wystarczyło postawić kruchtę.

Nie rozumiem, dlaczego dla ochrony świątyń, jeśli gospodarz miejsca czuje aż takie zagrożenie, nie wykorzystuje się monitoringu z tabliczką uprzedzającą, że to „obiekt monitorowany”? Co stoi na przeszkodzie, aby taki sprzęt zamontować i na cały dzień otworzyć te złowieszcze kraty, kłódki i wrota? Agresja na obiekty sakralne się zdarza, ale stanowi promil przestępstw albo ułamek promila. Społeczności lokalne widzą i obserwują obcych. Tak jak widzą i obserwują sąsiadów, a tym samym strzegą się nawzajem. Pamiętam księdza, który pokazywał mi z dumą nową kratę mogącą strzec bodaj skarbcza z toną złota. Gdy zapytałem, czy to rzeczywiście potrzebne, usłyszałem, że żadnych niepożądanych zdarzeń na razie nie było, ale pani sprząająca przychodzi tylko dwa razy w tygodniu. No i wszystko jasne, wierni nabrudzą.

Jeśli naprawdę chcemy przywrócić normalność i zdrowe myślenie o przyszłości świata, to nie możemy zamykać kościołów. Nie wolno się dawać tak zapędzać do narożnika, bo stracimy znacznie więcej niż to, czego chcemy upilnować. Zostało powiedziane i zapisane, że „bramy piekielne go nie przemogą” i nie ma tam nic o kratkach i kłódkach. Jeśli chcemy przywracać normalność, to musimy to robić na każdym centymetrze kwadratowym naszego życia i nie ma innej drogi, jak walczyć o wszystko jednocześnie.

Psychoterapeuci poszukiwani

Naszym kolegom z zaprzyjaźnionego tygodnika „Peryskop Parlamentarny” (popularny „PP”), udało się przeniknąć do jądra środowiska Platformy Obywatelskiej. Oto plon tej szperaniny zawarty w krótkim reportażu.

– Od momentu powrotu Donalda Tuska do polskiej polityki wszystkie reflektory są skierowane na Platformę Obywatelską – powiedział przed kilkoma dniami Rafał Trzaskowski.

Mówiąc to, nie do końca pewnie zdawał sobie sprawę, że jednym z nowych, nieznanych wcześniej w tej partii „jupiterów” stała się psychoterapia, która coraz szerszym frontem wdzierą się w szeregi najbardziej znanych jej polityków. Dotyka nawet – jak się dziś mówi – polityczek. I to wybitnych. Rozpoczęło się od Ewy Kopacz. Drży o swój los Małgorzata Kidawa-Błońska już raz doświadczona odebraniem godności kobiecie przez kolegów partyjnych. Nie jest pewna swojej pozycji nieleciwa przecież jeszcze Agnieszka Pomaska. Nie może oczekiwać przywilejów tylko dlatego, że opala się na tej samej sopockiej plaży co przewodniczący.



**Jerzy
Jachowicz**

Niepokojące zjawisko można, a nawet trzeba, połączyć ze zdaniem zasłyszonym w piątek w ławach poselskich: „Już po pierwszych decyzjach nowego przewodniczącego Donalda Tuska na niemal wszystkich wysoko postawionych funkcyjnych kolegów w naszej partii padł błąd strach”.

W kulisach szepciuch króluje wzajemna wymiana nazwisk znanych terapeutów i ich telefonów. W okresie wakacji wiele gabinetów jest nieczynnych. Nikt się więc nie dziwi, że niektórzy, np. Ewa Kopacz, Cezary Tomczyk czy Kinga Gajewska, starają się zdobyć namiary na kilku terapeutów. Podobnie Sławomir Nitras.

Z ostatnich naszych informacji wynika, że o pomocy dobrego specjalisty z zakresu psychoterapii pracy przebąkuje sam przewodniczący. Coraz częściej narzeka, jak twierdzi, „na przemęczenie i dołki psychiczne z przepracowania”.

Choć to margines, warto dodać, że nadzwyczaj modne w kręgach PO, ale też jej sojuszników w Koalicji Obywatelskiej, zaczęły być noszone stale przy sobie krople waleriany.

PRZESWIETLIK

Lider na minutę

W rozmowie z Gazeta.pl – rozdarta między Donaldem Tuskiem a dżentelmenami przez niego brutalnie dominowanymi – Szymon Hołownia wypuścił z siebie żale wobec prezydenta Warszawy. „Gdyby Trzaskowski przyszedł wtedy do mnie i powiedział: „Słuchaj, Szymon, pomyślmy out-of-the-box i zaczniemy robić zupełnie inną politykę, ja w swoim ruchu, a ty w swoim”. Gdybyśmy rozegrali to w ten sposób, być może nie byłoby powrotu Tuska” – stwierdził lider swojej gasnącej właśnie formacji. Śmiem twierdzić, i mam na to pisemne dowody w formie felietonów, że przewidziałem marny koniec wielkiego projektu Hołowni i jego jako politycznego lidera.

I nie chodzi o samego Hołownię. Infantylny przekaz, z którego nic nie wynika, nie jest w polityce niczym nowym. Jest zresztą też celowym zabiegiem, bo były prezenter TVN i „katolicki dziennikarz” miał zgarniać zarówno z lewa, jak i prawa, więc tak naprawdę w żadnej sprawie dzielącej Polaków nie mógł zająć stanowiska, a Polaków – jak wiemy – dzieli dziś wszystko oprócz umiłowania ładnej pogody i rozczarowania olimpiadą w Tokio. Problem Hołowni leżał zupełnie gdzie indziej. Był figurą na przeczekanie, na pewien czas. Na podtrzymanie elektoratu, zamieszanie w Platformie. Osłabienie

rywali Tuska, niepozwolenie nikomu się wzmocnić. Zrobił swoje, jest już niepotrzebny, może zostać politykiem PO, może kiedyś zrobić go jakimś ministrem albo ambasadorem za to, że nie

będzie odbierał ze swoją partyjką kilku procent. Może zresztą znajdzie się na listach PSL. Liderem żadnym już nie będzie. Na jego obronę należy stwierdzić, że nie miał szans. Nie miał struktur ani niezbędnego poparcia oligarchii medialno-biznesowej zorientowanej na Tuska, a wciąż powiązanej z PO.

Historia wielkiego projektu Hołowni, który miał wyrzucić do góry nogami polską scenę polityczną, podobnie jak i kilku innych projektów w przeszłości, przypomina nieco odbiór seriali i filmów. W serialu lub filmie facet wskakuje na konia i w następnej scenie jest już na drugim końcu Ameryki, a statek kosmiczny wyrusza, by po chwili być na Marsie. Tak naprawdę pierwsze zajmuje tygodnie, drugie lata. Odbiorcy, także publicyści, naszej polityki za często opisują ją, jakby jej zegar właśnie tykał w tempie filmowym, a nie rzeczywistym. A czas sobie płynie – w końcu – „banalnym tik-tak”. Dla większości z nas zbyt szybkim, dla gwałtownie lansowanych nowych projektów politycznych – zbyt wolnym.



**Wiktor
Świetlik**

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Manifest Lennona

Wykonanie „Imagine” podczas otwarcia igrzysk w Tokio przywróciło spór o ten genialny utwór.

Bawi autorytatywne twierdzenie, że wykorzystano „manifest komunistyczny”. Hipoteza, że od momentu wydania tej pio-

senki w 1971 r. powstała niezliczona liczba wykonń ku chwale komunizmu, jest zdecydowanie naciągana. Można domniemywać, że ludzie śpiewają, nie rozumiejąc słów. Tak nie jest. Czego tu nie rozumieć? Przekaz jest ewidentny, a tekst doczekał się tylu analiz w do-

wolnym języku, że jest to wiedza ogólnie dostępna. Co prawda John Lennon powiedział, że można to traktować jako manifest komunistyczny, choć sam nie jest komunistą. I tu pojawia się clou sprawy.

Co John Lennon miał na myśli, używając słowa „komunizm”? Dla „New Musical Express” doprecyzował, że nie ma państw komunistycznych. Odżegnał się od ZSRR i Chin, za to bardzo chwalił piękny brytyjski socjalizm. Przypisywanie mu „manifestu komunistycznego” na modłę Marksa czy Engelsa sensu nie ma. Można mówić o prywatnym artystycznym komunizmie Lennona, niemającym nic wspólnego ze ściśle politycznym postrzeganiem tego zwrotu.

Czasem ktoś po raz enty wytknie Lennonowi świat bez religii, bez własności, bez państw. Pomijając, że chciał także świata bez wojen, głodu i chciwości. Widział braterstwo ludzi. Początek refrenu „You may say I’m a dreamer” jest ewidentnym wyznaniem, że śpiewa o swoim wymarzonej świecie i zaprasza do swojego „Imagine”. I warto to zaproszenie przyjąć i obcować z tą ponadczasową piosenką, zamiast w kółko przykładać „mędrca szkiełko i oko”.



Ryszard Makowski

Michał Korsun prezentuje:
Już za chwileczkę, już za momencik



Wycinki z przeszłości

W 1936 r. polską prasę obiegrała taka informacja z zagranicznych agencji: „Aby zbadać, ile kilometrów dziennie przebywają listonosze, Dyrekcja Poczty budapeszteńskich zaopatrzyła ich w krokomiery (na zdjęciu). Cyfry jednak, odczytane z tych krokomierzy,

nie będą miarodajne dla wysiłków fizycznych listonoszy, gdyż tracą oni zdrowie nie tyle wskutek ciągłego chodzenia, ile wspinania się po piętrach”.

Wiele się zmieniło, dziś zegarek liczący kroki i uderzenia serca można nabyć za parę złotych w każdym sklepie AGD, ale praca listonoszy i kurierów pozostaje niezmiennie ciężka. A w czasie pandemii nabrała szczególnie ważnej społecznie i gospodarczo roli. Miejmy zatem dla nich dobre słowo podziękowania!

(mk)



Wakacyjne podróże z Ildefonsem...

Konstanty Ildefons
Galczyński
1905–1953



„Gdy wschodzi księżyc”

Leszek Długosz

Strofa

Jedziemy pociągiem nocą
Przez okno wiatr wieje świeży
A z parowozu iskry migocą
A z nieba srebrny księżyc:
Czy srebrny, to jeszcze kwestia
nie widzę, gdzie jest ta próba,
lecz wschodzi księżyc, więc przestań
gadaniem ciszę zatruwać...

Refren

Gdy wschodzi księżyc, nie mów mi nic o Panufniku
Choć to dobry muzyk właściwie,
Gdy wschodzi księżyc, nie mów mi nic o „Czytelniku”
ani o „Marcu”, ani o PIW-ie

gdy wschodzi księżyc, nie mów mi nic o poematach,
które piszesz w Ustroniu Morskim
pozwól, niech księżyc mówi, niech księżyc gada
dzisiaj księżyc ma wieczór autorski

Strofa

Thucze się pociąg po stacjach
Polską majową nocą
Tak miło pachnie akacja
Tak miło czasem odpocząć.

O, nocy słodka bez granic
O, nocy wonna i czuła!
Cóż, kiedy to wszystko na nic,
Gdy z tobą jedzie gaduła.

Refren

Gdy wschodzi księżyc, nie mów mi nic o Panufniku
Choć to dobry muzyk właściwie,
Gdy wschodzi księżyc, nie mów mi nic o „Czytelniku”
ani o „Marcu”, ani o PIW-ie

gdy wschodzi księżyc, nie mów mi nic o poematach,
które piszesz w Ustroniu Morskim
pozwól, niech księżyc mówi, niech księżyc gada
dzisiaj księżyc ma wieczór autorski

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIĘCI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIĘCI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIĘCI i wSIĘCI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIĘCI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIĘCI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

„Zmienianie” świata

Na początku przemówienia zapowiada garść sugestii nadających się do zastosowania przez słuchaczy w ich drodze do lepszego świata, mówiąc, że opierają się one na jego doświadczeniach z okresu służby wojskowej. Ale zaraz dodaje, że mają one wartość dla każdego, niezależnie od tego, czy służy w wojsku czy nie, jakie są jego religia i społeczny status. Podkreśla związek doskonalenia, przebudowy samego siebie ze zmienianiem świata. Oferuje dziesięć lekcji/porad wywiedzionych, jak mówi, z treningu „fok” (SEALs).

UWAGI DWIE

Do tego pięknego przemówienia motywacyjnego mam tylko dwie uwagi. Pierwsza, nie każdy ma uwarunkowaną genetycznie konstrukcję, która pozwalałaby utrzymywać się na kursie, gdy przeciwności pojawiają się jedna za drugą. Tylko niektórzy. Taki fakt empiryczny. Mało znany?

Uwaga druga: w przypadku tych niektórych, tych szczęściarzy, rady admirała mogą być skuteczne – na drodze do ogarnięcia się, wzięcia się w garść (jak dawniej mówiono), ale w sumie mają się nijak do tworzenia potencjału zmieniania świata na bardziej ludzki. Raczej pomagają zrobić z siebie bardziej sprawną maszynę do przemieszczania się w górę po hierarchii wojskowej lub korporacyjnej.

Innymi słowy: takie metody automotywacyjne pewną skuteczność posiadają, jest ona jednak o wiele bardziej ograniczona, niż się to wydaje. Za nieprawość świata nie odpowiadają bowiem po prostu te ludzkie słabości, które dzięki instrukcjom można w sobie przezwyciężyć. O wiele bardziej (pokazują to liczne badania naukowe) odpowiada ludzka, genetycznie zdefiniowana natura. Samodyscyplina nie zależy jedynie od czyjejś woli.

Jako socjolog dopowiem, że za nieprawość tego świata w znacznie większym stopniu niż dające się przezwyciężyć słabości ludzkie odpowiadają społeczne instytucje. Te jawne oraz, często, te ukryte. Instytucje oraz mechanizmy życia społecznego, których za pomocą przemówień motywacyjnych nie da się ani poznać, ani zmienić. Takie instytucje jak naród, rodzina, wspólnota sąsiedzka, swoboda myślenia, uczciwe procedury wyborcze, wyraźne granice moralne, jasne reguły oddzielania *dobra* od *zła*, jakość edukacji publicznej. To o nich trzeba rozmawiać.

Tego dnia zwróciłem przed dopłynięciem do odległego brzegu.

Andrzej Zybertowicz

Pewnego dnia przypomina mi się 15-minutowy filmik. Tytuł: „Audytoryum admirała McRaven zaniemówiło. Jedno z najlepszych przemówień motywacyjnych”

Prawie wieczór. Pojezierze Brodnickie. Pompuję bojkę asekuracyjną. Opasuję się linką przypiętą do bojki i wchodzę do jeziora. Jest cicho. Jak przed burzą – wiele ich w tym roku. Jestem sam. Znów popłynę daleko, coraz dalej.

Pewnego dnia, gdy zmęczony myślę, czy nie zrezygnować z dotarcia do drugiego brzegu, przypomina mi się 15-minutowy filmik. Na YouTube ma ponad 22 mln wyświetleń. Tytuł: „Audytoryum admirała McRaven zaniemówiło. Jedno z najlepszych przemówień motywacyjnych”.

Admirał (rocznik 1955) ma za sobą długą służbę, pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji. Wielokrotnie odznaczany. Był w kultowych oddziałach Navy SEALs, czyli siłach specjalnych amerykańskiej marynarki wojennej.

DZIESIĘĆ LEKCJI

Pierwsza – rano łóżko ma być pościelone *precyzyjnie według instrukcji*. Tak, rekruci aspirujący na prawdziwych wojowników skupiali się na dokładnym układaniu pościeli! Mądrość tego zadania odsłoniła się później: ścieląc swe łóżko każdego ranka – masz już za sobą wykonanie pierwszego zadania na ten dzień. To ułatwi przejście do zadań kolejnych.

Druga – przywołując dobrze zsynchronizowane wiosłowania na pontonie w bardzo trudnych warunkach, wskazuje: jeśli chcesz zmienić świat, znajdź kogoś, z kimś będziesz wspólnie „wiosłował” przez życie.

Trzecia – jeśli chcesz zmienić świat, szanuj każdego – niezależnie od tego, kim jest.

Czwarta – jeśli chcesz..., pogódź się z tym, że w życiu nie zawsze potrafi cię sprawiedliwie, mimo to idź do przodu.

Piąta – jeśli..., nie lękaj się licznych niepowodzeń.

Szоста – jeśli..., podejmuj ryzyko.

Siódma – jeśli..., przeciwstawiaj się złym ludziom.

Ósma – w najtrudniejszych sytuacjach masz zachować spokój.

Dziwiątą – jeśli..., podnoś na duchu uciskanych, dawaj im nadzieję.

Dziesiątą – jeśli..., nigdy, przenigdy się nie poddawaj.

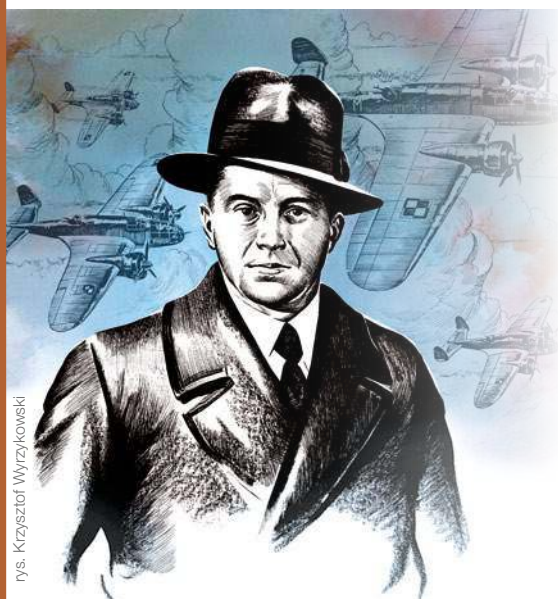


Już w poniedziałek 9 sierpnia

w tygodniku **SIECI** szósta część
nowego cyklu dodatków

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych



rys. Krzysztof Wyrzykowski

JERZY DĄBROWSKI – polski konstruktor lotniczy, twórca bombowca PZL.37 Łoś – najnowocześniejszego samolotu, jakim dysponowało polskie lotnictwo w chwili wybuchu II wojny światowej

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: **IPNtv**



PARTNERZY MERYTORYCZNI



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



PARTNER DODATKU





JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO2020
#TeamPolska



SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik